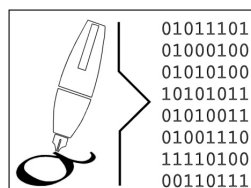


Jack Higgins

Nieubłagany wróg

Przełożył: Jan Koźbiał



*Dla młodego
Seana Pattersona*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dotarłszy do szczytu skalistego pagórka, wrzynającego się ostrym łukiem w błękit nieba, Yanbrugh zatrzymał się, by odpocząć. Usiadł na kamieniu i wyjął starą fajkę z korenia wrzośca oraz woreczek z tytoniem.

Był to wysoki, barczysty mężczyzna lat około czterdziestu pięciu, ubrany w tweedową marynarkę. Skronie miał lekko przyprószone siwizną; z całej postaci biło coś nieuchwytnego, jakaś mieszanina siły i powagi — w połączeniu z przenikliwym spojrzeniem jasnoniebieskich oczu wygląd ten zdradzał długoletnią służbę w policji.

Po chwili dogonił go sierżant Dwyer; ciężko dysząc, rzucił się na ziemię.

— Powinien pan to robić częściej — zauważył spokojnie Yanbrugh.

— Proszę mi dać urlop, a nie omieszkać — odparł Dwyer. — Chciałbym zauważyć, że od lutego haruję jak wół po siedemdziesiąt godzin na tydzień. Nie pamiętam już kiedy ostatnio miałem wolny dzień.

Yanbrugh wyszczerzył zęby w uśmiechu, nabijając fajkę.

— Nikt panu nie kazał wstępować do policji.

W oddali rozległ się głuchy odgłos detonacji i Dwyer gwałtownie usiadł.

— Co to?

— To w kamieniołomach.

— Brygada więźniów przy pracy?

— Właśnie.

Mrużąc oczy, Dwyer przyglądał się otaczającym ich wrzosowiskom i po raz pierwszy od dłuższego czasu czuł się na luzie. Wdychając ostre, czyste powietrze, pozbywał się mdłego zapachu Londynu. Nie mógł się nadziwić, że stary wybrał akurat taki piękny dzień, by osobiście złożyć tajemniczą wizytę w najsłynniejszym więzieniu Jej Królewskiej Mości. Ale jednego zdążył się już nauczyć podczas dwuletniej służby w Wydziale Specjalnym: główny nadinspektor Dick Yanbrugh sam ustalał reguły; w ciągu tych dwudziestu pięciu lat wielu uczestników tej wielkiej gry po obu stronach barykady odczuło to na własnej skórze.

— Idziemy — powiedział Yanbrugh.

Dwyer wstał i wzrok jego padł na szkielet owcy, tkwiący w krzaku janowca w kotlinie na lewo.

— Śmierć pośród życia — nawet tutaj, w taki dzień.

— Nie ma przed nią ucieczki — powiedział Yanbrugh, spoglądając w dal. — Kiedy spadnie mgła, to pustkowie staje się prawdziwym koszmarem. Po całodziennym marszu człowiek wraca do punktu wyjścia.

— Podobno stąd nie można się wydostać — powiedział Dwyer w zadumie.

— Tak mówią. Tylko raz się to komuś udało — ale pewnie i ten nieszczęśnik utonął gdzieś w bagnach. Są tu takie miejsca, gdzie nawet ciężarówka zapadnie się bez śladu.

— Dobre miejsce na więzienie.

— Dlatego je tu zbudowali!

Yanbrugh zaczął schodzić po zboczu; w dole, na skraju wąskiej dróżki, zaparkowany był samochód. Dwyer ruszył za nadinspektorem, stąpając po rzadkich kępkach trawy i zapadając się w grząskim gruncie. Woda tryskała spod stóp, wlewając się przez dziurki od sznurowadeł do eleganckich półbutów sierżanta.

Gdy wreszcie dotarł na dół, Yanbrugh siedział już w samochodzie. Dwyer usiadł za kierownicą, nacisnął starter i włączył bieg. Było mu gorąco, czuł się piekielnie zmęczony, miał przemoczone nogi, a przepocona koszula przylepiła mu się do grzbietu. Wzbięła w nim złość, ale starał się nie pokazywać tego po sobie.

— Sto siedemdziesiąt mil jazdy, mokro w butach i noga skręcona w kostce — mam nadzieję, że jest tego wart, panie nadinspektorze?

Yanbrugh odwrócił się raptownie i utkwiał w podwładnym chłodne spojrzenie swych błękitnych oczu.

— Tak sędzę, sierżancie.

Dwyer odetchnął z ulgą. Ominął go jeden z nagłych, gwałtownych wybuchów, z jakich znany był Dick Yanbrugh. Nadinspektor wsunął nową porcję tytoniu do cybucha, a Dwyer w skupieniu prowadził wóz, wypatrując owiec i kuców, które często wpadały na niezabezpieczoną drogę. W dziesięć minut później znaleźli się na szczycie łagodnego wzniesienia, skąd roztaczał się widok na więzienie w kotlinie poniżej.

* * *

Teren wydymał się i rozpląwał liliową smugą gdzieś daleko na horyzoncie; czerwona flaga na szczycie kamieniołomów powiewała w łagodnym podmuchu wiatru. Odgłosy detonacji przewalały się echem odbitym od wzgórz niby groźny pomruk burzy. Gdy jakieś siodło skalne rozpryskiwało się nagle na tysiące kawałków, biały całun dymu staczał się z krawędzi góry i snuł po ziemi, podobny do żywej istoty.

Ostry dźwięk gwizdka przeszył powietrze i więźniowie z brygady roboczej wyszli

zza osłaniających ich występów skalnych. W tej chwili na grzbiecie skarpy ukazał się landrover. Zjechał w dół po błotnistej drodze i zatrzymał się nagle. Za kierownicą siedział młody jasnowłosy policjant. Naiwne spojrzenie niebieskich oczu nadawało jego twarzy chłopięcy wyraz; czuł się nieswojo w nowiusieńkim mundurze. Wysiadłszy z samochodu, minął grupę więźniów ładujących urobek na ciężarówkę.

Oficer dyżurny Mulvaney z czarnym, brązowo podpalanym alzaczykiem u nogi wyszedł naprzeciw przybyszowi, uśmiechając się szeroko.

— Cześć, Drake! Gonia cię do roboty, co?

Drake skinął głową.

— Mam nakaz zabrania niejakiego Rogana. Naczelnik go wzywa.

Wyjął z kieszeni kartkę papieru, Mulvaney pokwitował i wskazał ręką niewielką jamę na dnie kamieniołomu.

— Rogan jest tam. Możesz go zabrać.

Więzień pracował w pocie czoła, rozebrany do pasa. Miał blisko dwa metry wzrostu, był barczysty, a mięśnie pleców napinały mu się, gdy podnosił potężny młot i uderzał w skałę.

— Boże, toż to prawdziwy tytan!

Mulvaney skinął głową.

— Jeszcze tu takiego nie było. Mózg i mięśnie — oto cały Sean Rogan.

Najniebezpieczniejszy człowiek, jaki kiedykolwiek przebywał w tym więzieniu.

— Nie dali mi nikogo do pomocy.

— Nie ma potrzeby, wychodzi lada dzień. Pewnie naczelnik po to go wzywa. W tym stanie rzeczy wątpię, żeby chciał skorzystać z okazji i prysnąć.

Drake zszedł do kamieniołomu. Spalony od słońca, sprawny, z ciałem muskularnym od ciężkiej pracy, Sean Rogan wyglądał naprawdę na niebezpiecznego typu. Po lewej stronie pierś jego szpeciły szramy po ranach postrzałowych. Drake zatrzymał się o kilka metrów od niego; Rogan podniósł głowę. Skóra na wystających kościach policzkowych, zdradzających rasę celtycką, była mocno napięta, zapadnięte policzki pokrywał kilkudniowy zarost, czoło miał wąskie, wysokie. Oczy — szare jak woda opływająca kamień lub jesienna mgiełka snująca się między drzewami — były spokojne i bez wyrazu, nieskore do zdradzania tajemnic duszy. Wyglądał na żołnierza lub uczonego, a już najmniej na kryminalistę.

— Sean Rogan? — spytał Drake.

Olbrzym skinął głową.

— To ja. Czego pan chce?

W łagodnym głosie Irlandczyka nie było cienia uniżoności i Drake nie wiadomo czemu poczuł się jak rekrut stojący na baczność przed oficerem.

— Naczelnik chce się z panem widzieć.

Rogan sięgnął po koszulę leżącą na kamieniu obok, wciągnął ją przez głowę i trzymając w ręku ciężki młot, poszedł za Drakiem. Znalazłszy się na górze, rzucił narzędzie pod stopy oficera dyżurnego mówiąc:

— To dla ciebie, na pamiątkę.

Mulvaney wyszczerzył zęby, wyjął z kieszeni srebrną papierośnicę i poczęstował Rogana papierosem.

— Czyżbyśmy już nie mieli się zobaczyć?

Przez twarz Irlandczyka przemknął ujmujący uśmiech.

— Wszystko jest możliwe na tym najgorszym ze światów. Czyżbyś tego nie wiedział, Patryk?

Mulvaney poklepał go lekko po ramieniu.

— Idź z Bogiem, Sean — powiedział miękko po irlandzku.

Rogan odwrócił się i ruszył zamaszyście w kierunku landrovera, Drake poczłapał za nim. Gdy mijali grupę więźniów ładujących bloki skalne na ciężarówkę, jeden z nich zawołał:

— Powodzenia, Irlandczyku!

Rogan uniósł rękę pożegnalnym gestem i wskoczył do samochodu. Drake usiadł za kierownicą i ruszył pełnym gazem; był skrępowany i zagubiony. Czuł się tak, jakby to Rogan przejął dowodzenie i w każdej chwili mógł kazać mu skręcić w prawo, zamiast jechać prosto do więzienia.

Irlandczyk zaciągnął się papierosem, przyglądając się wrzosowiskom. Drake zerkał na niego spod oka, próbując nawiązać rozmowę.

— Podobno ma pan nadzieję wkrótce wyjść?

— Nigdy nie trzeba tracić nadziei.

— Jak długo pan tu jest?

— Siedem lat.

Drake wzdrygnął się jak od uderzenia w twarz. Wyobrażał sobie te lata spędzone na pustkowiu, wiatr zacinający deszczem, szare poranki, krótkie lato, szybko ustępujące miejsca jesieni, mroźne zimy. Uśmiechnął się niepewnie.

— Ja jestem tu dopiero kilka dni.

— To pańska pierwsza praca?

— Nie, jakiś czas byłem w Wakefield. W zeszłym roku skończyłem szkołę. Nie udało mi się nigdzie zaczepić, więc kiedy się dowiedziałem o tej szkole dla oficerów więzienia, pomyślałem sobie, że warto spróbować.

— I co, nie żałuje pan?

Drake zarumienił się mimo woli.

— Ktoś musi to robić — bronił się. — Płacą nieźle, dają mieszkanie, emeryturę. Pan by pogardził czymś takim?

— Nigdy w życiu! — odparł Sean Rogan z przekonaniem. Odwrócił głowę, skrzyżował ręce na piersiach i zapatrzył się w otaczającą go szarość. Nie miał ochoty na dalszą rozmowę.

* * *

— Diabelnie przykra sprawa — powiedział naczelnik, spoglądając na leżące przed nim akta. — Ale komu ja to mówię? Myślałem, że tym razem pożegnamy go na dobre.

— Ja też — mruknął Yanbrugh.

— Są dni, kiedy naprawdę się cieszę, że za dziesięć miesięcy odchodzę na emeryturę. — Naczelnik odsunął krzesło i wstał. — Będzie tu za jakieś piętnaście minut. Mam parę spraw do załatwienia. Proszę się rozgościć, każę panom podać herbatę.

Gdy za naczelnikiem zamknęły się drzwi, Dwyer, stojący dotychczas pod oknem, podszedł do biurka.

— Niewiele wiem o Roganie, panie nadinspektorze, jestem za młody. Zdaje się, że był znaczną figurą w IRA?

— Zgadza się. W pięćdziesiątym szóstym skazany na dwanaście lat więzienia za organizowanie ucieczek z więzień w Anglii i Ulsterze. Pamięta pan tę słynną akcję w Peterhead w pięćdziesiątym piątym? Przedostali się przez mur pod osłoną ciemności i wprowadzili trzech towarzyszy. Słuch po nich zaginął.

— Był w to zamieszany?

— To on ich wpuścił. — Yanbrugh otworzył akta. — Wszystko tu jest. Młodość spędził we Francji i w Niemczech, jego ojciec był irlandzkim politykiem. Rogan studiował w Trinity College w Dublinie. Postrzelony i schwytany podczas walk niedaleko Ulsteru. Musiało to być tuż przed wojną.

— Ile dostał?

— Siedem lat. Zwolniono go w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym na wniosek Biura Wykonawczego do Zadań Specjalnych, ze względu na doskonałą znajomość francuskiego i niemieckiego. Wtedy po raz pierwszy z nim się zetknąłem. Pracowałem również dla Biura. Rogan został przeszkolony i przerzucony do Francji; organizował partyzantkę w Wogezach. Był w tym diabelnie dobry, doczekał zwycięstwa, nie przyjął medali i poszedł do cywila pierwszego dnia po zakończeniu wojny.

— A potem?

— Stara śpiewka. W czterdziestym siódmym złapany w Belfaście; dostał pięć lat. Otrzymał łagodny wymiar kary ze względu na zasługi wojenne. Ale jemu to nie robiło różnicy. Uciekł po roku odsiadki. — Yanbrugh skrzywił twarz w uśmiechu. — Weszło mu to w nawyk, ale nigdy nie udało mu się opuścić wyspy. W pięćdziesiątym szóstym Parkhurst. Rok później Peterhead. Wędrował trzy dni bezdrożami, póki psy nie trafiły na jego ślad.

— I dlatego w końcu przysłali go tutaj?

— Właśnie. Maksimum bezpieczeństwa. Żadnej możliwości ucieczki. — Yanbrugh nie spiesząc się nabijał fajkę. — Jeśli pan uważnie przejrzy akta, znajdzie pan na końcu poufną notatkę. Dotyczy ona pewnego incydentu, któremu wysocy komisarze woleli nie nadawać rozgłosu. Otóż w lipcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku Sean Rogan został złapany o świcie na terenie kwater oficerskich.

Dwyer zmarszczył brwi.

— Przecież to już za murami więzienia!

Yanbrugh skinął głową.

— Komisarz do rana grał w karty u kolegi. Miał ze sobą psa. Gdy wracał do domu, pies zwęszył Rogana.

— Ale w jaki sposób się wydostał?

— Nie powiedział. Władze chciały zatuszować sprawę, więc śledztwo było bardzo pobieżne. Oficjalna wersja brzmi, że ukrył się w samochodzie osobowym lub ciężarówce opuszczającej więzienie.

— O tak wczesnej porze?

— Spokojna głowa, nikt w to tak naprawdę nie wierzył. Przez parę lat pilnowali go ze zdwojoną ostrożnością. Gdy naczelnik wreszcie poluzował rygory, Rogan stwierdził, że to bez znaczenia, gdyż nie ma zamiaru próbować jeszcze raz. Wydostać się za mury to nie problem, mówił. Ale bez pomocy kogoś na zewnątrz ucieczka nie może się powieść. Myślę, że postanowił odsiedzieć karę, licząc na amnestię.

— Która właśnie została ogłoszona?

Yanbrugh skinął głową.

— Wstrzymując ataki terrorystyczne na Ulster, IRA uległa właściwie samolikwidacji. Większość jej członków, odsiadujących wyroki w angielskich więzieniach, została już zwolniona. Wywierane są naciski na Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, by zwolnić wszystkich więźniów politycznych.

— A co z Roganem?

— Wciąż się go boją jak ognia. Przyjechałem, by mu przekazać sentencję: dostał jeszcze pięć lat.

— Dlaczego właśnie pan?

Yanbrugh wzruszył ramionami.

— Pracowaliśmy razem w czasie wojny. Od tamtego czasu miałem przyjemność aresztować go trzy razy. W Scotland Yardzie jestem kimś w rodzaju specjalisty od Seana Rogana.

Podszedł do okna i długo wyglądał na podwórko więzienne.

— Czy pan wie, sierżancie, że Anglia jest jedynym krajem cywilizowanego świata, gdzie więźniowie polityczni nie mają specjalnych praw?

— Prawdę mówiąc, nie zastanawiałem się nad tym.

— A powinien pan!

Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł szybko naczelnik więzienia.

— Prowadzą go!

Usiadł za biurkiem, uśmiechając się z przymusem.

— Nie jestem uszczęśliwiony tą misją. Cieszę się, że pan tu jest, panie nadinspektorze.

W drzwiach ukazał się naczelnik straży.

— Już jest, panie naczelniku.

Naczelnik więzienia skinął głową.

— Wprowadźcie go.

Na zewnątrz czekał Drake z Roganem. Policjant stał przy drzwiach, Rogan zaś, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, opierał się niedbale o ścianę i wyglądał przez okno na końcu korytarza. Życie to sprawa wiary, gdzieś to kiedyś wyczytał. Ale dwadzieścia lat twardej szkoły przemocy i mroku sprawiło, że ograniczał się do myślenia o tym, co przyniesie jutro. Dzisiaj wszyscy omijali go z szacunkiem, nawet klawisze, toteż Rogan czuł, że coś jest nie w porządku. Gdy strażnik otworzył drzwi, był przygotowany na najgorsze. Obecność Yanbrugha potwierdziła jego obawy.

Rogan zatrzymał się przed biurkiem z rękami założonymi do tyłu i patrzył w okno ponad głową naczelnika więzienia. Z drzew porastających wzgórze za murami więzienia opadły wszystkie liście i widać było wyraźnie czarne, nieforemne i niezgrabne gniazda gawronów. Śledząc wzrokiem czarnego ptaka przeskakującego z drzewa na drzewo, Rogan usłyszał głos naczelnika.

— Przyszło rozporządzenie z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Rogan. Pan nadinspektor Yanbrugh pofatygował się osobiście z tą wiadomością.

Rogan zrobił pół obrotu w stronę Yanbrugha, a ten podniósł się, nagle zakłopotany.

— Przykro mi, Sean. Cholernie mi przykro!

— A więc nie ma o czym mówić.

Rogan był zupełnie spokojny, twarz miał nieprzeniknioną. Zapanowało niezręczne milczenie. Naczelnik rzucił nadinspektorowi bezradne spojrzenie, wzdychając ciężko.

— Myślę, że na jakiś czas trzeba cię zabrać z kamieniołomów, Rogan.

— Na zawsze? — spytał spokojnie Rogan.

Naczelnik przełknął ślinę.

— Zobaczymy, jak będziesz się sprawował.

— W porządku, panie naczelniku.

Rogan odwrócił się i ruszył ku drzwiom, nie czekając na polecenie naczelnika straży. W korytarzu zatrzymał się, twarz miał pozbawioną wszelkiego wyrazu, słyszał szmer głosów, gdy zamykały się za nim drzwi biura naczelnika więzienia.

— Możesz odejść, Drake — powiedział strażnik i zwracając się do więźnia, zakomenderował energicznie: — No to jazda, Rogan!

Zeszli po schodach, przecięli podwórko i zatrzymali się pod jednym z bloków więziennych, czekając na otwarcie bramy. Wyraz twarzy strażnika zdradzał, że wie o wszystkim. Nie zdziwiło to Rogana — w ciągu pół godziny dowie się o tym każdy więzień, każdy klawisz.

Było to typowe więzienie zbudowane w dziewiętnastym wieku, w erze reform, według systemu powszechnie stosowanego w więziennictwie brytyjskim. Trzy poziomowe bloki odchodziły promieniście od hali centralnej, wysokiej na trzydzieści metrów; jej ściany, przykryte żelazną kopułą, gubiły się w półmroku. Ze względów bezpieczeństwa każdy blok oddzielała od hali stalowa siatka. Naczelnik straży otworzył bramę, prowadzącą do bloku D, i popchnął Rogana przed sobą.

Weszli na górę po stalowych schodach i zatrzymali się na najwyższym podejściu. Schody otoczone były również stalową siatką, uniemożliwiającą wyskoczenie przez baliustradę. Cela Rogana znajdowała się w głębi korytarza; zatrzymał się, czekając, aż strażnik otworzy drzwi.

Strażnik przekręcił klucz w zamku. Rogan przestąpił próg, a strażnik powiedział:

— Nie próbuj żadnych sztuczek. Masz teraz wiele do stracenia.

Rogan odwrócił się gwałtownie, tracąc na moment panowanie nad sobą. Strażnik odskoczył przestraszony — szare oczy więźnia płonęły nienawiścią. Szybko zatrzasnął drzwi i przekręcił klucz w zamku.

Uspokoiwszy się Rogan popatrzył po celi. Była to klitka z małym okratowanym okienkiem; w ramach modernizacji dodano umywalkę i sedes. Na ścianach z obu stron umocowano opuszczane prycze.

Na jednej z nich leżał mężczyzna, czytając ilustrowany tygodnik. Wyglądał na jakieś sześćdziesiąt pięć lat, siwy, z żywymi, niebieskimi oczkami w pomarszczonej, wesołej twarzy.

— Cześć, Jigger — powiedział Rogan.

Uśmiech zgasł na twarzy Jiggera Martina, ręce opadły mu bezwładnie.

— Dranie! — powiedział. — Nędzne, plugawe dranie!

Rogan wyjrzał przez okratowane okno. Martin wydobyl spod materaca pudełko papierosów i poczęstował kolegę.

— I co teraz zrobisz, Irlandczyku?

Rogan wydmuchnął chmurę dymu i roześmiał się chrapliwie.

— A jak myślisz, chłopie?

* * *

Gdy wreszcie znaleźli się za bramą więzienia, Dwyer odetchnął z ulgą, jakby wielki

ciężar spadł mu z serca. Wyjął papierosa, poczęstował szefa, który tym razem prowadził wóz, lecz ten pokręcił głową. Gdy znaleźli się na szczycie wzniesienia, nadinspektor zahamował i obejrzał się — w dole widać było budynki więzienne.

— Jak pan myśli, co on teraz zrobi? — spytał Dwyer półgłosem.

Yanbrugh odwrócił się gwałtownie, wyładowując na podwładnym długo tłumiony gniew.

— Na miłość boską, niechże pan ruszy głową! Przecież go pan widział. Jest tylko jedna rzecz, którą taki człowiek może zrobić!

Zwolnił ręczny hamulec i ruszył pełnym gazem w dół zbocza.

ROZDZIAŁ DRUGI

Przez cały wrzesień było ciepło i pogodnie, ale ostatniego dnia miesiąca pogoda się popsuła. Rogan podszedł do okna. Nad całą okolicą zawisły groźne chmury, deszcz szumiał w rynnach, a na podwórku wiatr pędził zeschnięte liście, strącone z drzew w ogrodzie naczelnika.

Martin tasował karty na taborecie.

— Jeszcze jedno rozdanie, Irlandczyku?

— Nie warto — powiedział Rogan, nie odwracając się od okna. — Zaraz przyniosą żarcie.

Lekko marszcząc brwi, powiódł wzrokiem po linii dachu następnego bloku, zatrzymując spojrzenie na budynku szpitalnym. Martin stanął za jego plecami.

— Dałbyś radę, Irlandczyku?

Rogan skinął głową.

— Spokojna głowa! Ostatnim razem zajęło mi to trochę ponad dwie godziny.

Odwrócił się, spoglądając z góry na siwowłosego towarzysza.

— Ty byś tego w życiu nie zrobił, złamałbyś kark w połowie drogi.

Martin skrzywił się z niesmakiem.

— A po co miałbym przyskać? Jeszcze dziewięć miesięcy i mogą mi nadmuchać! Moja stara ma pensjonat w Eastbourne. Nigdy mnie tu więcej nie zobaczą.

— Już to słyszałem — powiedział Rogan. — Umiesz jeszcze tę sztuczkę z drzwiami?

— Do usług!

Martin wyjął spod materaca zwykłą łyżkę i podszedł do drzwi. Przez chwilę nasłuchiwał odgłosów na korytarzu, wreszcie ukląkł przy wejściu. Od strony celi zamek był osłonięty szeroką stalową płytą. Martin włożył trzonek łyżki między listwę a futrynę i przez kilka minut pracował w pocie czoła. Wreszcie dał się słyszeć cichy trzask, Martin pchnął lekko i drzwi się uchyliły.

— Nie mogę się nadziwić, jak ty to robisz — powiedział Rogan.

— Ćwiczyłem to przez trzydzieści lat. Jestem najlepszy w tej branży. Kłopot w tym,

że robię to za dobrze, zawsze wiedzą, że to ja — westchnął tamten.

Ostrożnie przymknął drzwi i znów zabrał się do roboty. Po chwili zamek zaskoczył z cichym trzaskiem. Martin wstał, ocierając pot z czoła.

— Dawniej mogłeś mi się na coś przydać — powiedział Rogan.

— W twoim wieku nie masz ochoty zadawać się z kryminalistami, co? — skrzywił się Martin. — To stara sztuczka, każdy recydywista to potrafi. Te stare zamki zapadkowe to dziecinna zabawka. Zastanawiam się, kiedy wreszcie pójda po rozum do głowy i wymienią je na nowe.

Podszedł do łóżka, wyjął paczkę papierosów i rzucił jednego Roganowi.

— Żeby wyjść na podwórko, trzeba sforsować co najmniej sześć bram, z których większość, jak wiesz, jest strzeżona. Trzeba czegoś więcej niż starej łyżki, by cię stąd wyprowadzić.

— Chcieć to móc! — powiedział Rogan. — Podejdz do okna, coś ci pokażę.

Martin gwałtownie machnął ręką i pokręcił głową.

— Nic z tego. Nie chcę! Czego się nie wie, tego nie można powiedzieć!

Rogan zmarszczył brwi.

— Chyba nie kablujesz, Jigger?

Stary wzruszył ramionami.

— W takim miejscu każdemu może się to przytrafić.

Drzwi zachrobotaly, Rogan odwrócił się szybko i zobaczył oko strażnika w szparze judasza. Ktoś przekręcił klucz w zamku i do celi wszedł naczelnik straży.

— Zbieraj się, Rogan, masz widzenie.

— Kto to? — zdziwił się więzień.

— Jakiś facet nazwiskiem Soames, adwokat z Londynu. Chyba chodzi o apelację. Wygląda na to, że masz na wolności przyjaciół.

Czekając na swoją kolejkę do pokoju widzeń, Rogan zastanawiał się, co to za facet ten Soames i co się kryje za nieoczekiwaną wizytą. Dobrze wiedział, że od decyzji ministra spraw wewnętrznych można się odwoływać dopiero po upływie roku. Poza tym był pewien, że nie ma nikogo, kogo mógłby obchodzić jego los. Z chwilą gdy organizacja dobrowolnie się rozwiązała, nazwisko Seana Rogana stało się już tylko pustym dźwiękiem.

Gdy nadeszła kolej Rogana, strażnik wprowadził go do rozmównicy. Sean czekał niecierpliwie, rozmowy prowadzone w sąsiednich kabinach dochodziły do niego jako niezrozumiały szmer. Wreszcie w drzwiach ukazał się Soames.

Był to niski, ciemnowłosy mężczyzna, z pedantycznie zaczesanym przedziałkiem i miękkimi, różowymi dłońmi. Miał na sobie elegancki garnitur w paski, na głowie melonik, pod pachą aktówkę.

Usiadł przy stoliku i uśmiechnął się do Rogana przez siatkę.

— Pan mnie nie zna, panie Rogan. Nazywam się Soames, Henry Soames.

— Słyszałem — powiedział Rogan. — Kto pana przysłał?

Soames rozejrzał się dokoła, chcąc się upewnić, czy nikt nie podsłuchuje rozmowy, ale ich słowa ginęły w ogólnym szumie głosów. Uspokojony, przysunął twarz do dzielącej ich siatki.

— Colum O'More.

Rogan drgnął. Jak na zawołanie zjawiło się wspomnienie z dawnych dni. Miał siedemnaście lat, gdy wstąpił do organizacji. Zabrali go na przeszkolenie, miał być „bojownikiem” — tak to się nazywało. Zawieźli go, nieopierzonego smarkacza, do jakiegoś domu na przedmieściach Dublina, gdzie miała się odbyć decydująca rozmowa. Czekał długo sam w małym pokoiku. Wreszcie w drzwiach stanął olbrzymi mężczyzna, uśmiechając się szeroko przez ramię do kogoś na zewnątrz. Obnosił się ze swoją siłą i odwagą, jakby to była średniowieczna zbroja. Był to właśnie „Wielki Człowiek” — Colum O'More.

— Czy jesteś pewien swojego wyboru, *avic*? — powiedział do Rogana. — Wiesz, w co się wdajesz?

Najświętsza Panienko, czy można było się wahać, stojąc oko w oko z takim człowiekiem?!

— A więc to Colum pana przysłał? — spytał Rogan.

— Nie osobiście — uśmiechnął się słabo Soames. — Zdaje się, że grozi mu jeszcze pięć lat więzienia. Przebywa w Anglii, ale się ukrywa. Tylko raz spotkałem go osobiście. Od tego czasu kontaktujemy się listownie przez osoby trzecie.

— Jeśli myśli pan o apelacji w mojej sprawie, to traci pan czas na darmo.

— Całkowicie się z panem zgadzam — uśmiechnął się Soames. — Mówiąc szczerze, Colum O'More pragnie zastosować mniej ortodoksyjne środki.

— To znaczy? — spytał Rogan spokojnie.

— Chce pana stąd wydostać bez pozwolenia ministra.

— A kto panu powiedział, że to możliwe?

— Człowiek nazwiskiem Pope — odparł Soames. — Zdaje się, że siedział z panem w jednej celi przez rok. Wyszedł sześć miesięcy temu.

— Do dziś czuję smród tego cwaniaczka — powiedział pogardliwie Rogan. — Mały, nędzny żigolak. Był wykidajką w Metropolitan. Załatwili go za korupcję. Sprzedałby własną siostrę, gdyby mu się opłaciło.

— Opowiedział mi interesującą historię, panie Rogan. Podobno w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym złapano pana za murami tego więzienia i władze po dziś dzień nie wiedzą, jak się pan stąd wydostał.

— Za dużo mówi — powiedział Rogan. — Kiedyś się doigra.

— Czy to prawda? — W głosie Soamesa pojawił się ton zniecierpliwienia. — Czy po-

trafi pan stąd wyjść?

— A gdyby tak było, to co?

— Colum O'More ucieszyłby się pańskim widokiem.

— Jakim sposobem?

Soames przysunął się jeszcze bliżej.

— Zna pan kamieniołomy i wieś, położoną między kamieniołomami a rzeką Hexton?

— Pracowałem tam przez ostatni rok.

— Poniżej kamieniołomów przez rzeczkę prowadzi żelazny mostek. Po drugiej stronie jest dom. Na pewno pan trafi, to jedyny budynek w okolicy.

— Czy będzie tam Colum?

— Nie, Pope.

— Dlaczego on?

— Jest bardzo przydatny. Będzie miał dla pana ubranie, samochód, | dokumenty.

W ciągu pół godziny wydostanie się pan z tej pustyni.

— Dokąd mam jechać?

— Pope przekaze panu dokładne wskazówki. Pojedzie pan do Columa O'More'a. Tylko tyle mogę panu powiedzieć.

Rogan milczał ze zmarszczonymi brwiami, zastanawiając się nad propozycją. Nie uśmiechała mu się współpraca z Popem, nie dowierzał Soamesowi. Ale czy miał jakiś wybór? Jeśli za tym wszystkim kryje się Colum O'More...

— No więc jak? — spytał Soames.

Rogan skinął głową.

— Kiedy Pope będzie gotów?

— Już jest gotów. Słyszałem, że jest pan człowiekiem, który nigdzie długo nie zagrzeje miejsca.

— Dzisiaj jest czwartek — powiedział Rogan. — Wolałbym niedzielę.

— Ma pan szczególny powód?

— O szóstej się ściemnia, o wpół do siódmej zamykają nas na noc w moim skrzydle. Od tego czasu służbę pełni tylko jeden klawisz, który obchodzi kolejno wszystkie bloki. Jeśli nie zauważą wcześniej, że zniknąłem — a nie ma powodu, by to zauważyli — odkryją moją ucieczkę dopiero o siódmej rano w poniedziałek, gdy przyjdą otwierać cele.

— To brzmi sensownie — powiedział Soames i po chwili wahania upewnił się: — Jest pan pewien, że da pan radę wydostać się stąd?

— Nic nie jest pewne na tym świecie, panie Soames. Jeszcze pan go nie wie?

— Święta prawda — odparł Soames, biorąc melonik, aktówkę odsuwając krzesło.

— Chyba wszystko już omówiliśmy. Ciekaw jestem poniedziałkowych gazet.

— Ja też — powiedział Rogan.

Odprowadził wzrokiem Soamesa, czekając na strażnika. Po chwili nik straży i wyprowadził Seana na korytarz. Gdy szli spytał więźnia:

— Pomyślne wieści?

Rogan wzruszył ramionami.

— Wie pan, jak to jest z prawnikami. Dużo obiecują, a nic z tego nie wynika. Nauczyłem się, że nie należy mówić hop, póki się nie przeskoczy.

— To najsensowniejszy sposób patrzenia na te sprawy.

Gdy dotarli na górny pomost, rozległ się dzwonek obwieszczający porę obiadową. Rogan wrócił do celi, gdzie Martin już siedział przy stoliku, zabierając się do jedzenia. Począł chwilę, a gdy strażnik wyszedł, spojrzął pytająco na Rogana.

— O co chodziło?

Rogan już miał mu się zwierzyć, gdy przyszły mu na myśl wcześniejsze słowa starego więźnia. W miejscu takim jak to każdy może zostać kablem. Oczywiście miał rację. Jeśli Rogan nauczył się czegoś w ciągu trzynastu lat spędzonych za murami, to właśnie tego, że nie ma ludzi niezawodnych.

— Przyjaciele wytrzasnęli skądś prawnika — powiedział, wzruszając ramionami.

— Chciał spotkać się ze mną, zanim wystąpi z apelacją do ministra.

Twarz Martina rozjaśniła się owym wiecznym uśmiechem nadziei, tak charakterystycznym dla długoletnich więźniów.

— Do diabła, Irlandczyku, może coś się wreszcie ruszy?

— Wiara przenosi góry — odparł Rogan, podchodząc do okna.

Deszcz wciąż padał, lekka mgiełka zasnuła wierzchołek wzgórze w dole pod murami, tam gdzie znajdowały się kamieniołomy. Gdy się dobrze wsłuchać, można było usłyszeć szum rzeki — ciemnej, niosącej okruchy torfu, toczącej po kamieniach swe bystre wody hen, ku odległemu morzu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Deszcz bębnił o szyby; Rogan stał przy oknie, próbując przeniknąć wzrokiem ciemności. Po chwili podszedł do drzwi i nasłuchiwał. Na dole trzasnęła głucho stalowa kratka, gdy naczelnik straży, opuszczając Więzienie, zamknął ją za sobą. Wtedy Rogan odwrócił się, a uśmiech przemknął mu po twarzy, ledwie widocznej w rozproszonym świetle.

— Okropna noc jak na takie przedsięwzięcie.

Martin leżał na swojej pryczy, czytając książkę. Uniósł się na łokciu.

— Jakie przedsięwzięcie? — spytał.

Kucnąwszy obok niego, Rogan powiedział spokojnie:

— Pyskam, Jigger. Po czyjej jesteś stronie?

— Jak to? Po twojej! Dlaczego pytasz?

Stary był niezwykle podniecony. Usiadł na łóżku i spuścił nogi na podłogę.

— Co chcesz, żebym zrobił?

— Otwórz drzwi — powiedział Rogan. — Tylko tyle. Kiedy wyjdę, zostaw je uchylone, włącz pod kołdrę i nie ruszaj się, póki W poniedziałek rano nie przyjdą otwierać cel.

Martin nerwowo oblizał wargi.

— A co będzie, jak mnie zaprowadzą do naczelnika?

— Powiesz, że wpadłeś w szok, gdy usłyszałeś, jak otwieram drzwi, i że myślałeś o własnej skórze. — Rogan uśmiechnął się zimno. — W gruncie rzeczy, właśnie tej odpowiedzi od ciebie oczekują. Każdego, kto w takiej sytuacji mówi co innego, chłopcy załatwiają w ciągu dwudziestu czterech godzin. Naczelnik wie o tym równie dobrze jak ty.

W tych słowach zawarta była ukryta groźba i Martin pośpiesznie zeskoczył z łóżka.

— Do diabła, Irlandczyku, wiesz dobrze, że nie zdradziłbym przyjaciela!

Rogan podniósł materac, włożył rękę do środka przez szparę w szwie i wyciągnął nylonową linkę i pętlę z karabińczykami — taką, jakich używają alpiniści.

— Skąd ty to, u diabła, wytrzasnąłeś? — spytał Martin.

— Używa się tego w kamieniołomach do zakładania ładunków w rozpadlinach skalnych.

To mówiąc, Rogan wyjął z materaca śrubokręt oraz nożyce do przecinania drutu i wetknął narzędzia za pas.

— A to, że tak powiem, ze sklepu żelaznego. — Wskazał głową na drzwi. — No, Jigger, ruszaj się. Mam napięty program.

Martin wyjął łyżkę i zabrał się do roboty przy drzwiach; ręce mu drżały. Wydawało się, że tym razem nie poradzi sobie, ale po chwili rozległ się charakterystyczny trzask i drzwi ustąpiły. Martin odwrócił pobladłą twarz i skinął Roganowi głową.

Ten szybko poprawił poduszkę, ułożył na łóżku parę wyciągniętych z szafki starych ciuchów, tak że z daleka sprawiały wrażenie śpiącego człowieka, po czym ruszył ku wyjściu.

— Coś mi się przypomniało — powiedział Martin. — Wiesz, jak klawisz potrafi się podkraść bezszelestnie w tych swoich bamboszach.

— No to co? Najwyżej zajrzy przez judasza — uspokoił go Rogan. — A jeśli się zorientuje przy tym świetle, że to nie ja leżę w łóżku, to znaczy, że ma lepsze oczy ode mnie.

Nagle w wyglądzie Martina zaszła zmiana. Wydawało się, że ubyło mu z dziesięć lat. Wyprostował plecy i roześmiał się cicho.

— Nie będę mógł doczekać się ranka, żeby zobaczyć wyraz twarzy klawisza!

Klepiąc Rogana po ramieniu, powiedział miękko:

— Idź, synu, zabieraj się stąd do diabła, a spiesz się!

Na korytarzu panował półmrok, całe skrzydło pogrążone było w ciszy. Rogan wahał się przez chwilę, przytulony do ściany, wreszcie ruszył ku schodom w końcu korytarza i zszedł na dół.

W wielkim hallu paliła się tylko jedna żarówka. Wysoko w górze stalowa kopuła dachu ginęła w ciemnościach. Rogan wspiął się na balustradę i wdrapał się po metalowej siatce aż pod sam dach bloku D. Wpiął w siatkę uchwyty pętli, którą był opasany, i tak zabezpieczony wyjął zza pasa nożyce do cięcia drutu.

Pracował szybko i sprawnie. Przeciąwszy siatkę wzdłuż ściany, przecisnął się na drugą stronę. Znów przypiął się karabińczykami do siatki i starannie złączył jej oka, jedno po drugim, tak by nikt nie zauważył uszkodzenia. Ostatnim razem wydostał się przez blok B; minęły trzy lata i nikt nie odkrył drogi ucieczki.

Wysoko w górze stalowe słupy podtrzymujące dach zbiegały się z betonowymi występami ścian nośnych konstrukcji. Rogan bez trudu uchwycił się najbliższego wspornika i, przywarłszy do ściany, mierzył wzrokiem półtorametrową odległość dzielącą go od następnej belki. Zaczepnąć powietrza — skok w ciemność i... udało się! Powtarzając trzykrotnie tę operację, pokonał półokrąg ściany, dzielący go od bloku B.

Gdzieś pod nim trzasnęły drzwi. Rogan spojrział w dół i zobaczył oficera dyżurnego z naczelnikiem straży. Szli do dyżurki, doskonale widoczni na tle jasnej plamy światła na posadzce. Do uszu Rogana dochodziły stłumione odgłosy rozmowy. Oficer dyżurny zanotował coś w dzienniku dyżurów. Rozległ się głośny wybuch śmiechu i po chwili strażnicy zniknęli w drzwiach wartowni.

Rogan przeciągnął koniec pętli między ścianą a wspornikiem i spiąwszy oba karabińczyki, odchylił się mocno w tył i zaczął wspinać się po stalowej belce. Cała trudność polegała na tym, że na pewnej wysokości wspornik wyginał się, powtarzając kształt ściany, i biegł tak i blisko muru, że pętla ledwie mieściła się w szparze. Uciekinierowi przydała się teraz ogromna siła i doskonała kondycja fizyczna. Zaciskając zęby, pełzł do góry, a krąg światła w dole kurczył się stopniowo. Wreszcie więzień osiągnął cel — dotarł do stalowej kraty wentylatora, mającej kształt kwadratu.

Była ona umocowana dwiema dużymi śrubami. Rogan zaparł się nogami o ścianę, odchylając się do tyłu w zabezpieczającej go pętli, wyjął zza pasa śrubokręt i zabrał się do pracy. Mosiężne śruby oddały się łatwo obrotom śrubokręta; Rogan wykręcił jedną z nich, pozostawiając drugą do połowy w gwintowanym otworze, tak że krata zawisła bezpiecznie, odsłaniając wlot wentylatora.

Uciekinier miał teraz przed sobą najtrudniejszą część zadania. Ostrożnie rozpiął karabińczyki, zwolnił pętlę i włożył ją do szybu wentylatora. Następnie, wciskając palce między żelazny wspornik i ścianę, podciągnął się w górę i wsunął, nogami naprzód, do ocynkowanego szybu wentylatora. Uniosły się tumany pyłu, kurz drapał w gardle i łaskotał w nosie, aż Rogan na chwilę wysunął głowę na zewnątrz i odkaslnął. Wsunąwszy się głębiej w szyb, podciągnął na miejsce zwisającą kratę i przełożywszy ostrożnie dłoń między prętami, wkręcił drugą śrubę. W ten sposób całkowicie zatarł za sobą ślady.

W czasie poprzedniej próby ucieczki miał ze sobą latarkę elektryczną, ale teraz nie mógł nawet o tym marzyć. Toteż od tej chwili musiał się poruszać w ciemności, zdany całkowicie na swoją pamięć.

Marszrutę ustalił na podstawie planu wentylacji więzienia. Miał szkic przed oczami tylko przez dziesięć minut — palacz zostawił go przez nieuwagę w maszynowni. Ale to było trzy lata temu i w tym czasie w systemie wentylacyjnym dokonano pewnych zmian. Rogan miał nadzieję, że zmiany nie dotknęły drogi, którą wybrał.

Posuwał się wolno do tyłu, oczy i gardło miał pełne suchego pyłu, krople potu spływały mu po twarzy. Wreszcie dotarł do rozgałęzienia szybu. Wsunął się głową naprzód do drugiego otworu — szyb opadał ukośnie w dół. Rogan zapierał się rękami o ścianki, aby nie opaść zbyt szybko. Po pewnym czasie zatrzymał się — otaczała go ciemność. Przyszło mu na myśl, że leży tu jak w trumnie. Starając się o tym nie myśleć, zaczął powolutku przesuwać się do przodu.

Dotarł wreszcie do bocznego szybu i natrafił na kolejny przewód. Szósty czy może siódmy? Nie, szósty był ten, którym zsunął się w dół do pierwszego poziomu. Uciekinier znów podjął wędrówkę, licząc mijane otwory, aż dotarł do rozgałęzienia z lewej strony. Począł macać ręką wzdłuż przewodu. Natrafił na ten sam wspornik, z którego korzystał w czasie poprzedniej ucieczki. Podpełził nieco do przodu, po czym wsunął nogi w otwór szybu. Opierając się na rękach, rozwinął nylonową linę, zahaczył pętlę o występ i opuścił się ostrożnie w dół. Dziesięć metrów niżej natrafił na poziomą odnogę i zaczął nią pełznąć na brzuchu, nogami do przodu.

Stopniowo szyb rozjaśniał się światłem. Wreszcie Rogan dotarł do małej kratki wentylacyjnej — w dole znajdowało się główne pomieszczenie kuchenne. Kuchnia była jasno oświetlona, lecz pusta. Rogan przesunął się do przodu i dotarłszy do szerszego odcinka, odwrócił się i począł pełznąć na kolanach, głową naprzód, podpierając się rękami.

Znajdował się teraz na końcu bloku centralnego; musiało minąć ze czterdzieści minut od chwili, gdy opuścił celę. Ruszył żwawiej do przodu i wkrótce znalazł się u podnóża szerokiego przewodu wznoszącego się pionowo do góry. Co kilka metrów w bocznej ścianie szybu umocowana była kratka, rzucająca snop żółtego światła.

Przewód był wyłożony blachą cynkową, którą na krawędziach przytrzymywały żelazne pręty. Stanowiły one doskonałe oparcie dla stóp, toteż Rogan zaczął wspinać się szybko do góry. Zamierzał dotrzeć do bocznego szybu u samej góry, który prowadził wzdłuż dachu więzienia, ponad podwórkiem, na drugą stronę do budynku szpitalnego.

Wtem uderzył go prąd świeżego powietrza i usłyszał cichy szum. Zmarszczył brwi. Było to coś nowego — uciekinierowi serce podeszło do gardła. Po chwili znalazł się u wylotu szybu i oto potwierdziły się jego najgorsze przeczucia. Tam gdzie przedtem znajdowało się wolne przejście do szybu łączącego hali z budynkiem szpitalnym, teraz zamontowana była kratka, osłaniająca wyciąg elektryczny. Przez chwilę badał ręką pręty, wiedząc doskonale, że to się na nic nie przyda, a następnie zaczął schodzić w dół.

Pierwsza kratka w bocznej ścianie szybu miała zaledwie trzydzieści centymetrów szerokości. Następna była dwa razy większa; może tędy udałoby się jakoś przecisnąć. Przytknął oko do kraty i zobaczył pusty, słabo oświetlony korytarz. Znajdowały się tu prawdopodobnie kawalerki dla nieżonatych strażników.

Wahał się tylko przez chwilę, po czym, zapałszy się mocno nogami, wyjął śrubokręt i trzymając go za uchwyt, przełożył ostrożnie rękę przez kratę. Końcem śrubokręta wymacał główkę śruby — na szczęście poszło całkiem gładko i po chwili śruba upadła na podłogę; napierając na kratę rękami, Rogan odchylił ją w dół.

Wspinał się nieco wyżej, po czym przełożył nogi przez otwór wentylatora. Przez chwilę zdawało się, że utknie w ciasnym przejściu, ale przecisnął się jakoś gwałtownym ruchem i wylądował na podłodze korytarza dwa metry poniżej przewodu.

Podniósł się szybko, umocował kratę wywietrznika i ruszył przed siebie korytarzem. Gdzieś grało radio, do uszu Seana dochodziły stłumione wybuchy śmiechu. Dotarłszy do podestu schodów na końcu korytarza, przechylił się przez balustradę i spojrzął w dół. Trzy piętra niżej widać było drzwi wejściowe prowadzące do hallu. Korytarz był nadal pusty i oświetlony jedną jedyną żarówką. Rogan bez wahania zszedł po schodach, starając się trzymać w cieniu ściany.

Znalazłszy się na dole, odpoczywał chwilę, ukryty w półmroku, po czym szybko otworzył drzwi i zatrzymał się w przedsionku. Boczna lampa rzucała snop światła na schody. Rogan szybko zbiegł po stopniach i zniknął w ciemności. Przed nim wznosił się mur więzienny.

Deszcz przybrał na sile i ciężkie krople smagały bruk podwórza żelaznymi biczami. Uciekinier spojrzął do góry: wysoko ponad nim ciągnął się szyb wentylatora łączący hali z budynkiem szpitalnym. Tamtędy właśnie miał wydostać się na wolność — teraz musiał szukać innej drogi.

Trzymając się w cieniu murów, obszedł podwórze i dotarł do budynku szpitala. W tej chwili przypomniał sobie o wyjściu ewakuacyjnym, które znajdowało się w bocznej ścianie budynku. Chowając głowę w ramiona, w strugach ulewnego deszczu, Rogan wślizgnął się do środka i popędził schodami w górę. Schody kończyły się podestem pod okapem dachu. Wdrapawszy się na poręcz, więzień uchwycił się rękoma rynny, próbując jej wytrzymałości — wydawała się mocna. Rogan nabrał powietrza w płuca i wciągnął się po niej na dach. Sunął wolno w kierunku komina, którego przewód wychodził z pomieszczenia do spalania śmieci, i po pięciu minutach mordęgi dotarł do celu.

W odległości jakichś piętnastu metrów majaczył w ciemnościach najeżony stalowymi szpikulcami szczyt zewnętrznych murów więzienia. Żelazny dren łączył go z rynną na dachu szpitala. Rogan rozwinął linę, przełożył wokół komina i chwyciwszy mocno jej oba końce, posuwał się wolno brzegiem dachu.

Stopy ślizgały się na mokrej krawędzi ściany i z trudem utrzymywał równowagę, skórę miał zdartą na kłykciach, ramionami zaś obijał się boleśnie o dachówki. Wreszcie jednak natrafił na blaszaną rurę drenu.

Usiadł na niej okrakiem, po czym wolno ruszył do przodu. Wąska rura uwierała go w kroku i Rogan zaciskał zęby z bólu, starając się nie myśleć o brukowanym podwórzu dziesięć metrów w dole. Centymetr po centymetrze przesuwał się do przodu. Tracił poczucie rzeczywistości. Czy to dzieje się teraz, czy trzy lata temu? Życie wydało mu się kołem, gdzie jedna chwila powtarza się bez końca. Wreszcie dłonie natrafiły na kamień; uniósł głowę i zobaczył ciemniejszą linię murów majaczącą w mroku.

Stanął ostrożnie na rurze i przytrzymując się ostrych, zardzewiałych bolców, wciągnął się na wierzchołek muru. Nie mógł sobie pozwolić na odpoczynek — przełożył linę przez kilka szpikulców i opuścił się w dół po murze. Po chwili dotknął stopami zie-

mi i legł na mokrej trawie. Był przemoczony do suchej nitki. Przez chwilę wypoczywał, chłodząc rosą rozpaloną twarz, po czym podniósł się, zwinął linę i ruszył przed siebie w ciemność.

Nauczony przykrym doświadczeniem sprzed trzech lat, trzymał się zdaleka od mieszkań strażników. Szedł z boczem w kierunku wrzosowisk i kamieniołomów. Po pięciu minutach dotarł pod osłoną przyjaznej ciemności do szczytu wzniesienia nad doliną i spojrzał w dół na więzienie. Przypominało przedpotopowe zwierzę, przycupnięte w ciemności i bezkształtne, tu i ówdzie błyskając żółtym światłem z otaczającej je gromadki małych domków.

Rogan poczuł nagły przypływ radości i roześmiał się na całe gardło. Odwrócił się plecami do miejsca tyloletniej karności i ruszył biegiem w kierunku kamieniołomów. Mianowicie znalazł się nad rzeczką; wezbrane wody pieniały się na kamieniach i odpływały w ciemność.

Zatrzymał się na środku żelaznego mostka i rzucił w skłębiony nurt linę, śrubokręt i nożyce do cięcia drutu. Miał poczucie, że zamyka definitywnie jakiś rozdział w swoim życiu. Tym razem nie wróci już do więzienia. Przebiegł przez most, a potem dalej, brzegiem rzeki, Wprost przed siebie. Po chwili dostrzegł światło na tle czarnych konturów drzew.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W kuchni od marmurowej posadzki ciągnął chłód i Jack Pope, dźwigając naręczę drewna, wzdrygnął się z zimna. Przeszedł korytarzem do pokoju.

Fantastyczne cienie płomieni pełgały po dębowym belkowaniu sufitu i drgały konwulsyjnie na ścianach. Pope dorzucił drewno do kominka, choć ogień buzował w najlepszym. Podeszedł do kredensu, wyjął butelkę whisky i nalał sobie pół szklaneczki.

Wiatr za oknem jęczał, ciskając deszczem o szyby, jakby uderzał o nie grad kuł. Pope wzdrygnął się na myśl o więzieniu po drugiej stronie rzeki, gdzie zmarnował pięć lat życia. Opróżnił szklankę jednym haustem, alkohol zapiekł go w gardle. Pope zakasłał i ponownie sięgnął po butelkę.

Nie słyszał, by ktoś otwierał drzwi, lecz wyraźnie poczuł na karku powiew chłodnego powietrza i włosy stanęły mu dęba ze strachu. Odwrócił się powoli. W drzwiach stał Rogan; przemoczone spodnie i koszula lepiły mu się do ciała, podkreślając muskularną budowę. Deszcz rozmazał mu kurz na twarzy, pokrywając ją cienką warstwą błota.

Jack Pope poczuł zwierzęcy strach przenikający go do szpiku kości. Czuł się jak przeżalone dziecko w obecności tego tajemniczego, ciemnowłosego mężczyzny, z którego emanowała pierwotna siła. Skrzywił usta w oślizłym uśmiechu.

— Udało ci się, Irlandczyku. Szczęściarz z ciebie!

Rogan podeszedł do niego cicho jak kot, wyjął Jackowi z ręki szklankę i opróżnił jednym haustem. Zamknął oczy, wziął głęboki oddech i ponownie je otworzył.

— Która godzina? — zapytał.

Pope spojrzął na zegarek.

— Minęło wpół do dziewiątej.

— Dobrze — powiedział Rogan. — Muszę stąd wyjechać o dziewiątej. Czy jest tu łazienka?

Pope kiwnął głową.

— Cały czas podgrzewam wodę.

— Ubranie?

— Jest przygotowane w sypialni. Chcesz coś zjeść?

Rogan pokręcił głową.

— Nie mam czasu. Jeśli masz jakiś termos, nalej mi w niego kawy i zrób kilka kanapek, zjem po drodze.

— Okay, Irlandczyku. Będzie tak, jak chcesz. Łazienka jest na końcu korytarza.

Rogan odwrócił się i wyszedł szybko z pokoju. Wymuszony uśmiech zniknął z twarzy Pope'a.

— Wyobraża sobie, że jest Bóg wie kim, śmierdzący Irlandczyk! Z przyjemnością wydałbym go glinom!

Poszedł do kuchni, nastawił czajnik z wodą, poszukał noża, wyjął z szafy bochenek chleba i zaczął go kroić wściekłymi ruchami.

* * *

Łazienka została niedawno dobudowana — wanna była bardzo mała. Rogan nie zwracał na to uwagi; zrzucił mokre ubranie i wskoczył do gorącej wody. Przez chwilę siedział nieruchomo, rozkoszując się przyjemnym ciepłem, po czym zaczął zmywać z siebie grubą warstwę brudu. Po pięciu minutach wyszedł z wanny, wytarł się do sucha, przepasał ręcznikiem i poszedł do sypialni.

Ubranie było rozłożone porządknie na łóżku, każda rzecz z osobna. Bielizna, koszula, nawet buty miały właściwy rozmiar, a garnitur leżał tak, jakby uszyto go na miarę. Prócz tego był tam jeszcze kapelusz i stary prochowiec. Miłe dodatki, przyznał niechętnie. Ubrawszy się wzięł kapelusz i płaszcz i wrócił do salonu. Po chwili Pope wyszedł z kuchni, niosąc duży termos i blaszaną puszkę po biszkoptach.

— Kanapki są w środku. Dzięki temu nie będziesz musiał zatrzymywać się po drodze.

— A dokąd mam jechać?

— O'More chce się z tobą widzieć.

— Gdzie mam go szukać?

Pope wzruszył ramionami.

— Bóg raczy wiedzieć! Kontaktowaliśmy się listownie, pisałem pod jakimś adresem w Kendal. Wiesz, gdzie to jest?

— Lake District? Westmorland?

— Właśnie. Czeka cię długa droga. To około trzystu pięćdziesięciu mil stąd. Masz się tam zameldować o siódmej rano.

Rogan uśmiechnął się — dokładnie o tej godzinie otworzą cele w więzieniu. Co jak co, ale na pewno nie będą go szukać w Kendal. Trzy dni zajmą im poszukiwania w najbliższej okolicy, nim dojdą do wniosku, że uciekinier wydostał się poza wrzosowiska. W dodatku nie będą tego całkiem pewni.

— Dlaczego o siódmej?

— Bo o tej godzinie ktoś się zgłosi do ciebie. Wjedziesz na parking Woolpack Inn — to jest na Stricklandgate — i będziesz czekał.

— Na kogo?

— Naprawdę nie wiem. Mówiłem ci już, że nie kontaktuję się osobiście z O'More'em. Możliwe, że to tylko stacja pośrednia.

Rogan pokręcił głową z niedowierzaniem.

— Bujda, Pope! Nie działałbyś na oślep.

— To prawda, Irlandczyku, Bóg mi świadkiem! Przyznaję, że się wygadałem z tą twoją ucieczką. Wieść szybko rozniosła się wśród chłopców. Wiesz, jak to jest.

— A co z tym prawnikiem Soamesem?

— Wykluczony z palestry od pięciu lat, łotr spod ciemnej gwiazdy. Odwiedził mnie kilka tygodni temu. Podobno jakiś jego klient usłyszał o twoim wyczynie; ślady prowadziły do mnie, a Soames szybciućku zwierzył w tym interes. To szczwany lis.

— A jaka jest twoja dola?

— Za tę drobną przysługę? Kilka kantów plus zwrot poniesionych kosztów.

Rogan wyjął papierosa z paczki leżącej na stole i zapalił z nic nie mówiącym wyrazem twarzy. Na pozór wszystko to nie trzymało się kupy, ale z drugiej strony Colum jest kuty na cztery nogi. To do niego podobne — zawsze zaciera ślady i utrudnia kontakt ze sobą.

— W porządku. Na razie. Kupuję to — powiedział wreszcie. — Którędy mam jechać do Kendal?

Pope wyciągnął poskładany folder i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Przezorny zawsze ubezpieczony, więc postarałem się dla ciebie o mapę samochodową. Pokażę ci drogę z Exeter aż do Kendal.

Trasa nie była skomplikowana. W Exeter Rogan miał skręcić w A38, minąć Bristol i Gloucester, potem jechać nową autostradą M5 na północ, mijając Worcester i Birmingham, wreszcie drogą M6 przez Lancashire, prosto jak strzelił do Lakę District.

— Na tych nowych autostradach trzeba uważać, bo niektóre odcinki są jeszcze w budowie — zakończył Pope. — Ale w sumie nie powinno być kłopotów.

— Jaki samochód masz dla mnie?

— Nic nadzwyczajnego — dwuletni ford, ale silnik jest w porządku, sprawdziłem go. Pamiętaj, że jesteś komiwojażerem, pracującym dla firmy rolniczej — mówił, wyciągając z teczki dokumenty. — Oto wizytówki służbowe na nazwisko Jack Mann i prawo jazdy. Mam nadzieję, że potrafisz jeszcze prowadzić?

— Poradzę sobie — mruknął Rogan, wzruszając ramionami.

Wśród papierów była polisa ubezpieczeniowa, dowód rejestracyjny, nawet legitymacja członkowska automobilklubu — wszystko na to samo nazwisko. Rogan wsunął pa-

piery do wewnętrznej kieszeni marynarki i powiedział:

— Wygląda na to, że pomyślałeś o wszystkim.

— Niezawodna firma. — Pope wyjął stary, skórzany portfel i podał go Roganowi.
— Jest tu czterdzieści funtów. Lepiej, żebyś nie miał więcej przy sobie. Gdyby cię złapali, wzbudziłoby to podejrzenia.

— Policja zawsze się czepia — powiedział Rogan. — Nikt się nie wywinie.

Pope stropił się i z trudem rozciągnął usta w uśmiechu.

— To by było na tyle. — Spojrzał na zegarek. — Dochodzi dziewiąta, lepiej już jedź.

Rogan włożył płaszcz, wziął kapelusz. Wyszli przez kuchnię, Pope nacisnął kontakt i na zewnątrz zapaliła się żarówka. Otworzył drzwi i zaprowadził Rogana przez niewielkie podwórko do starej szopy.

Oczom Seana ukazały się dwa samochody — ciemny krążownik szos i zielona limuzyna. Rogan zatrzymał się niepewnie przy wejściu.

— Dwa? — zdziwił się.

— A jak miałbym, do diabła, wydostać się stąd o tej porze? — powiedział Pope.
— Wystarczy, że wczoraj szedłem pięć mil do przystanku autobusowego, kiedy zostawiłem tu twojego forda. Limuzynę dorwałem dziś rano w Plymouth.

Tłumaczenie to trafiało do przekonania, lecz jego prawdziwości przeczył fakt, że koła obu wozów pokryte były świeżym błotem. Rogan udał, że tego nie widzi.

— Chyba już pojedę.

Pope skinął głową i powiedział zagadkowo:

— Uważaj, żebyś nie zabłądził. Nie wszystkie drogi prowadzą do Rzymu.

Rogan odwrócił się powoli — jego twarz nie zdradzała żadnych emocji.

— Co miałeś na myśli?

Pope uśmiechnął się z przymusem.

— Nic specjalnego. Chciałem tylko powiedzieć, że Wielki Człowiek zainwestował w ciebie kupę forsy i ma prawo oczekiwać, iż mu się to zwróci.

W tej samej chwili dłonie Rogana zacisnęły się na gardle Jacka, aż Pope'owi oczy wyszły z orbit.

— Jeśli ja coś robię, to dlatego, że chcę — łagodnie powiedział Rogan. — Radzę ci o tym pamiętać, Pope. Sean Rogan nie da się zastraszyć!

Puścił go, a Pope zataczając się podszedł do pobielanej ściany i opadł na ziemię. Skulił się z trudem łapiąc oddech. Kątem oka dostrzegł ruszającego forda; warkot silnika cichł w oddali.

W tej chwili usłyszał zgrzyt kroków po kamieniach i czyjś spokojny głos:

— Nasz przyjaciel Rogan ostro sobie poczyna, lepiej mu nie wchodzić w drogę.

Pope spojrział na Henry'ego Soamesa, miotając przekleństwa.

— Mam nadzieję, że wiesz, co robisz. — Podniósł się, jęcząc z bólu. — Najchętniej

bym się z tego wycofał.

— Nie powąchawszy pieniędzy? — powiedział Soames, klepiąc go po ramieniu.
— Wejdźmy do domu, jeszcze raz wyłożę ci swój plan. Jestem pewien, że przyznasz mi rację.

Zaraz za zakrętem Rogan zatrzymał samochód i wysiadłszy wrócił do domku. Uczynił tak z kilku powodów. Po pierwsze — nie lubił Pope'a, po drugie — nie ufał mu. Poza tym intrygowała go jeszcze sprawa samochodów: były brudne i miały zabłocone koła, choć Pope twierdził, że ford od wczoraj stoi w szopie.

Zbliżywszy się do domu, Sean porzucił drogę i minawszy jodłowy lasek, podkraść się od tyłu. Okna były zasłonięte, ale przez wąską szparę udało mu się dostrzec część pokoju.

Henry Soames i Pope siedzieli przy stoliku, pogrążeni w rozmowie; między nimi stała butelka whisky. Rogan przyglądał im się przez chwilę, po czym szybko wrócił do samochodu, zacierając za sobą ślady, i ruszył w drogę.

A więc byli w zмовie! Ciekawe, w jaki sposób Colum O'More zetknął się z tymi facetami? Na to pytanie nie było odpowiedzi. Może dowie się tego w Kendal. Rogan porzucił rozmyślania i skoncentrował się na prowadzeniu wozu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Po północy Rogan miał już za sobą szmat drogi. Jechał szybko, mimo że między Bristollem a Birmingham i potem w kierunku północnym ku Lancashire drogi były zatłoczone ciężarówkami. Koło drugiej zatrzymał się na małej stacji obsługi w pobliżu miasteczka Stoke, by uzupełnić paliwo. Trzymał się blisko innych pojazdów, kryjąc twarz w cieniu, tak by obsługujący go nie zapamiętał.

Miał dobry czas, chociaż skrupulatnie przestrzegał wszelkich ograniczeń szybkości. O świcie wjechał na autostradę M6, na wschód od Lancaster, prowadzącą na północ. Dzień wstawał szary, ponury i deszczowy; ciężkie chmury przewalały się po niebie, a ciemne wody zatoki Morecambe pokryły się spienionymi falami. Gdy opuścił szybę, dotarł doń słony powiew morskiego powietrza; Sean odetchnął pełną piersią i po raz pierwszy od wielu lat poczuł, że żyje.

Zatrzymał się, wziął termos i wysiadłszy z samochodu, zatopił wzrok w odległym morzu, popijając kawę. Nie mógł uwierzyć, że naprawdę jest wolny. Przeszyła go absurdalna myśl, że to tylko sen, a za chwilę obudzi go grzechot klucza obracającego się w drzwiach celi. Wtem tuż nad głową Rogana rozległ się ostry krzyk mowy i uderzył weń gwałtownie strugi deszczu. Stał jeszcze przez chwilę, spoglądając w górę, wreszcie wsiadł do samochodu i ruszył w dalszą drogę.

Do Kendal dotarł kilka minut po siódmej. Jak w każdym miasteczku, gdzie odbywa się targ, od wczesnych godzin rannych panował tu ożywiony ruch. Rogan bez trudu odnalazł Woolpack Inn na Strickandgate, zaparkował i wyłączył silnik. Czekać w samochodzie, miał uczucie, że znów trwa wojna, a on jest członkiem francuskiego ruchu oporu. Deszcz bębnił o bruk, tak jak wtedy w Amiens, gdy łącznik, z którym miał nawiązać kontakt, okazał się agentem Abwehry. Tak to już jest — człowiek niczego nie może być pewny, od kołyski aż po grób. Otworzył paczkę papierosów, którą dostał od Pope'a, ale była pusta. Rogan ze złością zgniótł pudełko, gdy wtem usłyszał spokojny kobiecy głos:

— Ładny ranek, panie Rogan.

Dziewczyna mogła mieć nie więcej niż dwadzieścia lat. Ubrana była w zniszczony prochowiec, ciasno związany w talii; krople deszczu kapały z kosmyka ciemnych włosów, który wysunął się spod chustki i tańczył na wietrze. Podeszła do samochodu z drugiej strony, otworzyła drzwi i usiadła z przodu. Miała delikatnie zaokrągloną twarz o gładkiej, mlecznej cerze, gęste brwi, puszyste kruczoczarne włosy i pełne, czerwone wargi zdradzające zmysłowość. Był to ten typ urody, jaki spotyka się co krok na zachodnim wybrzeżu Irlandii, zwłaszcza w okolicy Galway, gdzie przez kilka stuleci ludność zyskała domieszkę krwi hiszpańskiej.

— Jak pani mnie poznała? — spytał Rogan.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Znałam numer rejestracyjny, poza tym Colum pokazał mi fotografię. Zmienił się pan.

— Wszyscy się zmieniamy — zauważył Rogan. — Dokąd jedziemy?

— Zobacz pan. Proszę mnie puścić za kierownicę, to będzie szybciej.

Rogan przesunął się na sąsiedni fotel, dziewczyna precyzyjnie przesuwała się na jego miejsce. Przez chwilę czuł zapach kobiecego ciała, woń perfum mieszała się z rześkim porannym powietrzem; brzegi płaszcza podwinęły się, odsłaniając kolana dziewczyny. Opadła na fotel, obciążając płaszcz bez cienia zażenowania, i włączyła starter.

— Muszę wyskoczyć po papierosy — powiedział Rogan.

Dziewczyna lewą ręką wyjęła paczkę papierosów z kieszeni i podała Roganowi.

— Nie potrzeba, mam duży zapas.

— Daleko jedziemy?

— Około czterdziestu mil.

Rogan podziwiał niezmacony spokój dziewczyny. Ręce jej spoczywały lekko na kierownicy, gdy przeciskała się zręcznie wąskimi uliczkami w natłoku pojazdów. Rogan, wciśnięty w kąt fotela, obserwował ją przez chwilę spod oka. Sympatyczna dziewczyna, myślał, ale widać, że życie dało jej w kość. W szarzielonych oczach ciał się cień, zdradzający dramatyczne przejścia. Życie zraniło ją boleśnie — lecz nie złamało. Dumnie podniesione czoło znamionowało odwagę, pewne ręce — doświadczenie. Cały problem w tym, że nigdy już nie zaufa nikomu — na tym polegał tragizm jej sytuacji.

Ostry głos wyrwał go z zadumy.

— Pozna mnie pan na drugi raz?

— A byłoby w tym coś złego? — spytał, uśmiechając się lekko. — Irlandka z Liverpoolu, co?

— To widać?

— Akcent panią zdradza — nigdzie tak nie mówią na tym świecie. Ani na tamtym. Uśmiechnęła się mimo woli.

— Pan też nie ma wymowy angielskiego dżentelmena.

— A powinienem?

— Był pan majorem w ich armii.

— Jest pani dobrze poinformowana.

— Nic dziwnego. Był czas, że wielki Sean Rogan towarzyszył mi przy śniadaniu, obiedzie, kolacji i w paru innych sytuacjach.

Wyjechali na przedmieścia i dziewczyna skręciła pod niewysoki murek zwieńczony żelaznymi sztachtkami, a po chwili dojechali do otwartej bramy. Na bramie umieszczona była tabliczka z nazwą: *Kościół Niepokalanego Serca* oraz godzinami nabożeństw i spowiedzi. Dziewczyna zatrzymała samochód.

— Mogę? — spytała. — Rzadko zaglądam do kościoła.

— Proszę się nie krępować.

Odprowadził ją wzrokiem, zaciekawiony. Sprawiała wrażenie małej dziewczynki o dojrzałych kształtach wieśniaczki; biodra miała zbyt szerokie jak na Angielkę. A więc nie straciła wiary? Ciekawe; nie była więc członkiem IRA, gdyż to automatycznie pociąga za sobą ekskomunikę.

Pod wpływem nagłego impulsu Rogan wysiadł z samochodu, pchnął furtkę i poszedł za swoją przewodniczką. W kościele było ciepło i bardzo cicho. Przez chwilę stał niezdecydowany, wsłuchując się w ciszę, po czym usiadł w ławce przy samym wejściu.

Dziewczyna klęczała przed ołtarzem. Rogan zaczął wpatrywać się w tańczące płomienie świec, w oczach mu pociemniało. Oparł głowę o kamienną kolumnę — opało z niego całe napięcie i podniecenie ostatnich dwunastu godzin i poczuł się ogromnie znużony. Przemógłszy się usiadł prosto w ławce. W tej chwili dziewczyna podniosła się z klęczek i boczną nawą ruszyła do wyjścia. Nagle stanęła jak wryta, zauważywszy go w półmroku.

— Zrobił pan głupio. Ktoś mógł pana zauważyć.

Rogan wyszedł z ławki, wzruszając ramionami. Wziął dziewczynę lekko pod ramię i poszli razem do drzwi.

— Jeśli się myśli w ten sposób, człowiek zaczyna zachowywać się podejrzanie. A gdy zachowujesz się podejrzanie, wpadasz w łapy policji. Jestem starym wygą.

Stali na stopniach schodów, wiatr wtrącał w otwarty portyk fale deszczu. Dziewczyna podniosła wzrok i uśmiechnęła się do Seana — wyglądało to tak, jakby nagle ktoś zapalił w niej lampę.

— Hanna Costello — przedstawiła się, wyciągając rękę.

Ujął jej dłoń z uśmiechem.

— Na przyjaźń nigdy nie jest za późno, mawiała moja babka. Czy wolno spytać, dokąd mnie pani wiezie?

— Musimy przepłynąć na drugą stronę jeziora i dostać się na wybrzeże koło Whitbeck.

— Czy zastanę tam Columa O'More'a?
— Czeka na pana.
— Więc jedźmy tam czym prędzej, na miłość boską! Mój ojciec ma farmę w Kerry — zestarzał się i nie może jej obrobić. Najwyższy czas, bym wrócił do domu.
Uśmiech zniknął z twarzy dziewczyny; rzuciła mu badawcze spojrzenie i chciała coś powiedzieć, ale rozmyśliła się i poszła do samochodu.

* * *

Dick Yanbrugh był zmęczony, diabelnie zmęczony, a ulewny deszcz bębniący w okno łazienki nie poprawiał mu nastroju. Skończył się golić, właśnie wycierał twarz ręcznikiem, gdy drzwi uchyliły się i żona zajrzała do środka mówiąc:

— Telefon do ciebie, kochanie. Zastępca komisarza.

Yanbrugh wpatrywał się w nią z napięciem; pionowa zmarszczka przecięła mu czoło.

— Oczywiście żartujesz?

— Niestety nie. Już ci robię śniadanie. Sądząc z tego, jak ze mną rozmawiał, pewnie zaraz cię gdzieś wyśle.

Yanbrugh wciągnął przez głowę koszulę i już na schodach wypychał ją w spodnie. W jednej chwili zapomniał o zmęczeniu. Był pewien, że chodzi o grubszą sprawę — zastępca komisarza nie dzwoniłby o wpół do ósmej rano, gdyby komus obrobili magazyn.

Podniósł słuchawkę, opierając się o ścianę.

— Yanbrugh, słucham, panie komisarzu.

— Dzień dobry, Dick. Obawiam się, że nie zdąży pan zjeść śniadania.

— Nie pierwszy raz!

— Rogan zwiął.

Yanbrugh poczuł lekki zawrót głowy. Zamknął oczy, wziął głęboki oddech i znów je otworzył.

— Kiedy?

— W nocy. O siódmej przyszła nowa zmiana i stwierdzili, że nie ma go w celi. Przed chwilą naczelnik dzwonił do starego.

— Jak się wydostał?

— Nikt tego nie wie. Może coś znajdują, ale na razie nie trafili na żaden ślad.

Yanbrugh roześmiał się tylko.

— We Francji, w partyzantce, miał przydomek „Duch”.

Zastępca komisarza zignorował jego uwagę.

— Jest pan na służbie, Dick.

Yanbrugh stanął na baczność i wciągnął powietrze.

— Wolałbym nie być, panie komisarzu. Nie tym razem.

— Stary na to nie pójdzie, Dick. W końcu zna pan Rogana najlepiej z nas wszystkich.

— W tym sęk, panie komisarzu.

— O dziewiątej z Dworca Paddington ma pan ekspres na Zachodnie Wybrzeże. Niech pan zabierze ze sobą Dwyera. Dopilnuję, aby lokalna policja nawiązała z wami współpracę. Im dłużej Rogan jest na wolności, tym gorzej. Wezmą się za to dziennikarze, odgrzebią jego przeszłość wojenną i zanim się spostrzeżemy, sprawa nabierze rozgłosu.

— A co by w tym było złego, panie komisarzu? — spytał Yanbrugh. — Ministerstwo miałoby twardy orzech do zgryzienia, to wszystko.

— Potrzebna panu ta wojna nerwów? Pan chyba zwariował! — prychnął zastępca komisarza. — Na miłość boską, proszę nie zapominać, że jest pan gliną. Niech pan się bierze do roboty!

Yanbrugh odłożył słuchawkę, przez chwilę stał medytując, po czym wykonał szybki telefon do sierżanta Dwyera. Wszedł do kuchni. Żona odwróciła się z patelnią w rękę. Yanbrugh pokręcił przecząco głową.

— Tylko kawę, kochanie. Muszę jechać.

Przysunęła mu filiżankę kawy, po czym nerwowo przejechała dłonią po siwiejących włosach męża.

— Dwadzieścia lat, Dick. Powinnam się już przyzwyczać. O co tym razem chodzi?

— O Seana — odparł. — O Seana Rogana. Uciekł z więzienia. Stary życzy sobie, żebym pojechał na Zachodnie Wybrzeże i osobiście pokierował pościgiem.

— O nie, Dick! — Twarz jej ściągnęła się bólem i kobieta opadła na krzesło. — Czy mało jeszcze zrobiłeś?

— Jestem policjantem, Nell — powiedział Yanbrugh. — Wiedziałaś o tym, kiedy wychodziłaś za mnie za męża. Sean również zdaje sobie z tego sprawę.

— Ależ, Dick, uratował ci życie!

— Na miłość boską, czy sądzisz, że mógłbym o tym zapomnieć?!

Wyciągnęła rękę i pogładziła go lekko po twarzy, w oczach miała łzy. Podniósł jej dłoń do ust.

— Lepiej już pojedę, kochanie. Mam mało czasu.

Wstał, odwrócił się i poszedł wolno ku drzwiom.

* * *

Wciąż padało, gdy Rogan z dziewczyną dojechali do Bowness i wsiedli na prom kursujący przez jezioro Windermere. Statek był prawie pusty; oparci o reling, podziwiali piękno przyrody.

— Jak się to panu podoba? — spytała Hanna.

— Wspaniałe!

— To najpiękniejszy zakątek w całej Anglii. Latem roi się tu od turystów, ale o tej porze roku nie uświadczysz żywej duszy. Wtedy podoba mi się tu najbardziej.

Policzki jej się zaróżowiły, otarła niedbale mokre brwi, wpatrując się w Belle Isle, którą właśnie mijali. Rogan napawał się zarówno urodą dziewczyny, jak i pięknem tego miejsca.

Gdy znaleźli się na drugim brzegu, skręcili w drogę prowadzącą do Hawkshead, potem jechali brzegiem Coniston Water w kierunku Broughton-in-Furness i Whicham. Stamtąd ruszyli na północ, szosą wzdłuż wybrzeża, i wreszcie za stacją Whitbeck ujrzeli tablicę z napisem Marsh-End. Dziewczyna zjechała z autostrady na polny trakt z głębokimi koleinami, prowadzący w kierunku morza. Trzymali się nieregularnego brzegu zatoki, wijącej się jak wąż i przechodzącej w bagna, pokryte wiechciami trawy, i rozległe połacie błot. W trzcinach gnieździły się dzikie kaczki, a znad morza wciskała się tu rzadka mgła, zacierając kontury przedmiotów i nadając całej okolicy nierealny wygląd.

W pewnej chwili samochód wyjechał na twardszą drogę, prowadzącą przez jodłowy zagajnik do zagrody, położonej nad płytką zatoczką. Zagroda, ukryta w kępie buków, składała się ze starego domu, zbudowanego z szarego piaskowca, stodoły i brukowanego podwórza. Dopiero gdy podjechali bliżej, Rogan zauważył, że wszystko tu chyli się ku upadkowi — widać było połamane parkany, odpadające tynki, a między kamieniami rosła trawa. Hanna Costello zatrzymała samochód na podwórku; wyłączyła silnik i uśmiechnęła się do Rogana.

— Nędzna dziura. Z biegiem czasu fale przypiływu zniszczyły pastwiska. Nikt się tu nie mógł utrzymać, chyba że z rybołówstwa i myślistwa. Pośrednicy z agencji byli bardzo zadowoleni, że ktoś zechciał to wynająć na rok.

Rogan zmarszczył brwi.

— To długi czas.

— Wynajęcie na krótko wzbudziłoby podejrzenia. — Hanna zawahała się przez chwilę i zapytała: — Kiedy pan ostatni raz widział Columa O'More'a?

— Dziesięć lat temu.

— Bardzo się zmienił. Niech pan udaje, że pan tego nie dostrzega. Proszę nie ranić jego dumy.

Rogan nie zdążył nic odpowiedzieć, gdyż w tej chwili za jego plecami otworzyły się drzwi. Odwrócił się szybko i zobaczył mężczyznę, ciężko opierającego się na lasce, z głową lekko wysuniętą do przodu i zgarbionymi plecami.

— Sean! — wyszeptał tamten ochryplym głosem. — Sean Rogan, na wszystkie świętości!

Na widok starca Rogan doznał szoku. Zaschło mu w gardle — przełknął ślinę i wyciągając rękę, podszedł do dawnego towarzysza broni.

— Colum, ty stary diable! Kopę lat!

Przywitali się; przez mgnienie oka Rogan odnalazł w uścisku dłoni starego dawną siłę wielkiego Columa. Lecz chwila ta minęła i Colum O'More roześmiał się chrapliwie.

— Mówi się, że czas wszystko zmienia, Sean. Mnie w każdym razie nie oszczędzał. Cieszę się, że z tobą obszedł się łagodniej.

Odwrocił się i utykając poszedł pobielanym korytarzem. Rogan ruszył za nim, nie mogąc znieść widoku tego, co pozostało z dawnego Columa O'More'a. Był to szkielet człowieka — ubranie zwisało na nim luźno jak worek na kij.

Pokój był skąpo umeblowany. Stał tam stół; przy kominku, na którym trzaskał ogień, znajdowały się dwa fotele, na podłodze leżały plecione maty. Colum O'More opadł ciężko na fotel i spojrzał na Hannę.

— W kredensie jest butelka i kieliszki. Tylko nie mów, dziewczyno, że mi nie wolno. Nie mam zamiaru przejmować się tym.

Rogan zdjął płaszcz i usiadł na fotelu naprzeciwko przyjaciela.

— Co się stało, Colum?

Tamten wzruszył ramionami.

— Miałem ciężkie życie, teraz stare grzechy dają o sobie znać. Czy to ważne? — mówił, potrząsając głową. — Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby ktoś tak dobrze wyglądał po siedmiu latach spędzonych w angielskim więzieniu — zauważył.

— Pamiętasz, co pisał Tom Clarke? — odparł Rogan, wzruszając ramionami. — *Nigdy się nie poddawaj. Walcz i strzeż swojej godności.*

O'More skinął głową.

— On sam trzymał się tej zasady przez piętnaście lat.

Hanna nalała dwie szklaneczki whisky i podała mężczyznom. Starzec objął ją ramieniem w pasie.

— Ma szczęście, że nie jestem trzydzieści lat młodszy, Sean. Stuprocentowa dziewczyna — i uśmiechając się do Hanny, powiedział: — Zrób Seanowi śniadanie, a my tymczasem pogadamy.

Dziewczyna rzuciła Roganowi spojrzenie, w którym malowała się niezrozumiała prośba, i poszła do kuchni. O'More upił trochę whisky, westchnął z zadowoleniem. Wyjął fajkę i zaczął ją spokojnie nabijać tytoniem ze starego skórzanego kapciucha.

— Właśnie mówili o tobie w porannych wiadomościach. Tam teraz szaleją, zamykają wszystkie drogi, przeszukują te przekłete wrzosowiska, a ty tymczasem siedzisz sobie tutaj, czterysta mil dalej, w miejscu gdzie się najmniej ciebie spodziewają. To naprawdę zabawne.

Rogan przepił do niego.

— Dzięki Wielkiemu Człowiekowi.

— Organizacja dba o swoich ludzi — powiedział Colum O'More. — Fakt, że się nie śpieszyliśmy, ale to naprawdę nie moja wina.

Przez chwilę panowało milczenie, wreszcie Rogan spytał ostrożnie:

— Jak stąd najszybciej dostać się do Kerry, Colum?

— No właśnie, o tym chciałem z tobą porozmawiać, Sean.

Coś tu się szykowało, Rogan nie wiedział jeszcze co, ale czuł to od chwili, gdy Soames odwiedził go w więzieniu. Wyjął papierosa i przypalił płonąca szczapą wyjętą z komin-ka.

— Zbyt długo się znamy, Colum, przestań bawić się ze mną w ciuciubabkę i gadaj, o co chodzi.

Starzec wzruszył ramionami.

— To proste. Mamy dla ciebie robotę.

— Kto: my?

— Organizacja.

— Myślałem, że złożyliśmy broń.

Colum O'More zachichotał.

— Bajeczki dla grzecznych dzieci! Ale czasy są ciężkie, reorganizujemy się i potrzebujemy pieniędzy.

— A gdzie mamy ich szukać?

Colum otworzył szufladę, wyjął mapę i rozłożył ją na podłodze. Był to szczegółowy szkic rejonu pojezierza. Wodząc końcem laski po mapie, O'More objaśniał swój plan.

— Pociąg pocztowy z Glasgow do Londynu jedzie przez Carlisle i Penrith. Zauważ, że nie przejeżdża przez Kendal. Kendal jest obsługiwane przez linię lokalną, która styka się z linią główną na stacji Rigg, osiem mil na południe.

— Co z tego?

— W każdy piątek Central Banks Association wysyła z Penrith furgon z uzbrojonymi strażnikami. Jadą okrężną drogą przez cały teren i wzdłuż wybrzeża, zatrzymując się w Keswick, Whitehaven, Seascale i tak dalej. W Broughton, które pewnie mijales po drodze, skręcają do Ambleside, a potem wracają przez Windermere do Kendal. W Rigg furgon jest o trzeciej po południu i spotyka się z ekspresem londyńskim.

— Jaki towar wiozą?

— Nadwyżki tygodniowe, przeważnie stare banknoty na przemiał. Wiesz, jakie są banki, nie lubią trzymać forsy w filiach na prowincji. Zwykle jest to około ćwierci miliona.

— Ładna sumka.

— Przekażemy ją organizacji.

Rogan roześmiał się szorstko.

— Niech Bóg ma nas w opiece, ty chyba zwariowałeś!

Wstał, wyjrzał przez okno, po czym odwrócił się i powiedział ze złością:

— Czy właśnie po to wydostałeś mnie z ciupy po siedmiu latach, Colum?

— Byłeś mózgiem organizacji — odparł O'More — najlepszym organizatorem. Potrzebujemy cię, Sean.

— A gdybyście mnie nie potrzebowali, to gdzie byłbym teraz, powiedz mi, wielki Columie O'More?

— Poniosłem wiele ofiar, by cię stamtąd wydostać, chłopcze, także w gotówce. Jesteś mi coś winien.

— Muszę cię rozczarować — powiedział Rogan, podchodząc do kominka. — Mam tego po dziurki w nosie, Colum, czy ty nie rozumiesz? Mam czterdzieści lat, z czego dwanaście spędziłem w więzieniach. Skończyłem z tym; organizacja musi sobie poradzić beze mnie.

Stary skinął głową.

— Więc co zamierzasz robić?

— Czeka na mnie farma w Kerry, wiesz o tym dobrze. Gospodaruje na niej mój ojciec, od kiedy poszedł na emeryturę dziesięć lat temu. On się starzeje, Colum, i ja też.

— Wszyscy się starzejemy — westchnął tamten. — W porządku. Na północ stąd jest miejscowość Ravenglass. Dam ci adres znajomego, który za sto funtów przewiezie cię do Irlandii.

Wyjął z szuflady plik banknotów i popchnął po stole ku Roganowi.

— Powodzenia, chłopcze.

Rogan ważył w ręku banknoty, marszcząc brwi.

— A co z tobą?

— Mam robotę do zrobienia; moi ludzie czekają w górach. Poradzę sobie sam.

Rogan przez chwilę w milczeniu przyglądał się staremu przyjacielowi, po czym odwrócił się i bez słowa wyszedł z salonu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zaczynał się przyływ. Woda bulgocąc wypełniała jamy krabów, mieniające się srebrem fale powlekały błota oślepiającym blaskiem, a gdzieś w górze rozległ się ostry krzyk kulika, szybującego samotnie w ciemniejących przestworzach.

Zszedłszy w dół po grobli wąskim kamiennym przejściem, Rogan ruszył dróżką pośród skąpych traw i trzcin wysokich jak człowiek. Wiedziony instynktem, skręcił w wąziutką ścieżkę na prawo i przebijając się przez gęste krzaki, dotarł do niewielkiej zatoczki; na wodzie, przywiązana liną do brzegu, kołysała się motorówka.

Nie zauważywszy wokół nikogo, Rogan, po chwili wahania, wskoczył na pokład i wszedł do sterówki. Łódź była stara, ale w dobrym stanie. Ktoś tu niedawno sprzątał — mosiężny cokół kompasu i urządzenia sterownicze maszynowni błyszcząły, pięknie wypolerowane. Sean usłyszał jakiś szelest i odwróciwszy się zobaczył Hannę Costello. Stała na pokładzie, przyglądając mu się z uwagą.

Gdy Rogan wyszedł ze sterówki, dziewczyna podała mu jego własny płaszcz ze słowami:

— Pomyślałam, że może się panu przydać.

Rogan włożył płaszcz, podniósł kołnierz, chroniąc szyję przed deszczem, i zapalił papierosa.

— To łódź Columa?

Dziewczyna skinęła głową.

— Przyprowadził ją z Ravenglass.

— Żeby szybko prysnąć po skończonej robocie?

Hanna przytaknęła, a Rogan pokręcił głową.

— Beze mnie! Ja się wynoszę.

— Nikt pana tu nie trzyma!

Gwałtowny szkwał uderzył w nich ulewnym deszczem. Rozglądając się wokoło, Rogan rzekł:

— Dziwne miejsce, nigdy jeszcze takiego nie widziałem. Można by przysiąc, że ze-

wsząd patrzą na ciebie niewidzialne oczy.

— Duchy umarłych — powiedziała dziewczyna. — To prastare miejsce. Już za czasów Rzymian był tu port; Rzymianie nazywali go Glannaventa. Sto lat temu z okładem znaleziono tu o świcie barkas, który morze wyrzuciło na brzeg; na dnie, w kałuży krwi, leżało kilkunastu poborców podatkowych z poderżniętymi gardłami. Ta farma była główną kwaterą przemytników.

— Historia kołem się toczy — zauważył Rogan.

Dziewczyna skinęła głową.

— Zdążyłam to zrozumieć, choć była to trudna lekcja. Przez całe życie próbowałam zmieniać różne rzeczy, nie wyłączając siebie. I za każdym razem musiałam zaczynać od początku.

— A jak pani w to tutaj wdepnęła?

— To proste. Mieszkam ze stryjem Paddym Costellem w miejscowości Scardale, w górach, na północ od Ambleside. Oficjalnie zajmuje się on hodowlą owiec, ale to żaden interes. W czasie wojny byli razem z ojcem członkami organizacji działającej w północnej części Anglii. To właśnie stryj dowiedział się o tym transporcie pieniędzy sześć miesięcy temu i dał znać Columowi.

— Ale dlaczego?

— Bo pijany czy trzeźwy, co zresztą rzadko się zdarza, żyje w urojonym świecie walki o niepodległość: „*Niech Bóg chroni Irlandię!*” — wołali bohaterzy, i tak dalej. Wydaje mu się, że jest jednym z nich i bierze udział we wspańskiej bitwie.

— A czy to źle?

— To głupota — odparła Hanna — a to jeszcze gorzej. Wspomnienie czegoś, co odeszło na zawsze. Świat się zmienił i ludzie tacy jak mój stryj nie są już potrzebni.

— Albo tacy jak ja.

— Uderz w stół, a nożyce się odezwą. Czy pan skorzysta z propozycji Columa i odpłynie z Ravenglass?

— Byłbym głupcem, gdybym ją odrzucił.

Oparta o reling, Hanna zaczęła wspominać:

— Dzieciństwo spędziłam w Liverpoolu, karmiona bez przerwy opowieściami o wielkim Seanie Roganie. Mój stary miał hysia na pana punkcie. W każdym razie rozpowiadał o tym po wszystkich knajpach portowych. Ale nigdy nie wyszedł poza puste deklaracje. Po śmierci mojej matki rozpił się do reszty.

— Widziałem takie przypadki — powiedział Rogan. — Straszna rzecz.

— To średnia przyjemność patrzeć, jak ktoś sam siebie niszczy na twoich oczach. I twoją miłość do niego. Ale nie skończyło się na nienawiści. Po prostu przestałam się nim przejmować. A kiedy wracając pijany do domu, zaczął mylić swoją sypialnię z moją, doszłam do wniosku, że najwyższy czas się wyprowadzić. W rok później umarł.

— Co pani zrobiła?

— To, co każda dziewczyna w tej sytuacji: wyjechałam do Londynu.

— Ile pani miała lat?

— Szesnaście. Ale okazało się to wielką zaletą. Niektórzy mężczyźni uwielbiają podlotki.

— Tak słyszałem — mruknął Rogan.

— Pracowałam jako kelnerka, ale z tego trudno się było utrzymać. Kiedyś jeden z klientów zaproponował mi zajęcie w klubie. Zawsze byłam dobrą tancerką.

— Uśmiechnęła się w zadumie. — Mają rację, kiedy przestrzegają przed lekkimi grzechami — mam na myśli księży. To zdumiewające, jak szybko człowiek staje się kimś, kim wcale nie chciał być.

— Ponura historia.

— Jeszcze jak! Kiedyś policja zrobiła nalot. Okazało się, że szef żyłuje co znacznie-szych gości. Trzy z nas wpadły wraz z nim.

— Ile pani dostała?

— Sześć miesięcy. Gdy wyszłam z więzienia, napisałam do stryja Paddy'ego. Właśnie stracił żonę i potrzebował kogoś do prowadzenia domu. Ma siedemnastoletniego syna Brendana. Chłopak przeszedł w dzieciństwie zapalenie opon mózgowych — i pukając się palcem w głowę, dodała: — potrzebuje opieki.

— A teraz tkwi pani w tym po uszy. Dlaczego pani nie spakuje Wariatków i nie ucieka stąd?

Dziewczyna wzruszyła ramionami, wpatrując się w kłęby mgły nadciągającej z otwartego morza.

— A dlaczego w ogóle ktoś coś robi lub nie robi? Wygląda na to, że pana też złapali jak rybę w sieci. Jakkolwiek by się pan wykręcał, będzie źle. — Podniosła na niego wzrok, twarz miała zupełnie spokojną. — Całe moje życie było właśnie takie: trzepocę się jak ryba w niewidzialnej sieci.

Dziewczyna umilkła; otaczała ją czarodziejska aura pełnego zadumy spokoju. Zielone oczy wpatrywały się w niego z uwagą, jakby oczekiwała rady, ale Roganowi nic mądrego nie przychodziło na myśl. Wreszcie rzekł:

— A ja przez całe życie próbowałem się od czegoś uwolnić i nagle okazało się, że mam już czterdzieści lat.

Dziewczyna z namysłem skinęła głową.

— Wydaje mi się, że dawne poczucie lojalności trzyma pana mocno.

Dotknęła jego czułego punktu, toteż Rogan wołał zmienić temat rozmowy.

— Co za układy Colum ma tam, w górach? — spytał, zapalając papierosa.

— W Scardale? Nic szczególnego. Ściągnął dwóch typków z Manchesteru. To zawodowi oszuści. Są tam już tydzień.

— Co to za typy?

— Nie cofną się przed niczym, lepiej nie wchodzić im w drogę. Ale tak naprawdę tylko jeden z nich jest niebezpieczny. Nazywa się Morgan, Harry Morgan. Jest inteligentny — w określonych granicach. Ten drugi — Fletcher — to tylko ślepe narzędzie.

— I Colum O'More zadaje się z takimi ptaszkami?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Do takiej roboty potrzeba fachowców. Morgan i Fletcher są w sam raz.

— Skąd ich wystraszał?

— Zdaje się, że to Soames ich wynalazł.

— Znała go pani wcześniej?

— Nie. Colum też tylko raz go widział. W Liverpoolu. Od tego czasu kontaktujemy się przez osoby trzecie. Listy przychodzą pod adresem kioskarza w Kendal; odbieram je osobiście.

— Czy to znaczy, że Soames nigdy tu nie był?

— W Marsh-End? — Pokręciła głową przecząco. — Nawet mój stryj nie zna tego miejsca. Morgan próbował mnie śledzić kilka razy, ale zawsze udawało mi się wywieść go w pole.

— Jest w to zamieszany człowiek o nazwisku Pope, Jack Pope. Czekał na mnie, gdy opuściłem więzienie. Co on ma z tym wszystkim wspólnego?

— O ile wiem, Colum zapłacił mu za konkretną robotę i to wszystko. Interesy z Pope'em załatwiał osobiście Soames.

— Ile dostał Soames?

— Pięćset plus zwrot kosztów.

Rogan pokręcił głową.

— To za mało, tacy jak on nie mają skrupułów. Będzie chciał dostać więcej.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

— W jaki sposób?

— Nie wiem, ale on i Pope coś kombinują. Nie wiem, co jest grane, ale na pewno nie wyjdzie to Columowi na dobre.

Rzucił niedopałek do wody i powiedział:

— Wracajmy.

Dziewczyna chwyciła go za ramię.

— Co pan chce zrobić?

— Bóg raczy wiedzieć! Ale nie będę się przyglądał spokojnie, jak ktoś zastawia pułapkę na starego.

Odwrócił się, przeskoczył przez reling i ruszył z powrotem na farmę, przedzierając się ścieżką przez mokradła i trzciny.

Colum O'More siedział przy stole, na którym rozłożona była mapa Lakę District. Nie odwrócił się na odgłos otwieranych drzwi. Rogan usiadł obok i pochylając się nad mapą, powiedział:

— Jednego nie rozumiem, Colum. Dlaczego ty? Gdzie są młodzi? Wygrzewają się w domowych pieleszach?

Stary wzruszył ramionami.

— Ja pierwszy dowiedziałem się o tym pociągu od starego przyjaciela Paddy'ego Costella. To stryj Hanny.

— Powiedziała mi o tym.

— Wpadłem na ten pomysł wcześniej niż ludzie w kwaterze głównej w Waterford. Oni uznali, że to niemożliwe. Zbyt ryzykowne. — Zachichotał. — Pomyślałem sobie, że im pokażę, co potrafi stara gwardia.

— A te pieniądze na wyciągnięcie mnie z kicia — zapytał Rogan — to skąd?

— A czy to ważne?

— Dla mnie tak.

Colum O'More znów wzruszył ramionami.

— Miałem oszczędności. Poza tym zastawiłem dom w Lismore. Rogan pokręcił głową z dezaprobatą.

— Stary głupiec z ciebie!

— Och, o mnie nie musisz się martwić. Wszystkie wydatki zwrócą mi się z nawiązką.

Rogan znów pokręcił głową.

— Nic z tego nie wyjdzie, Colum. Jesteś za stary.

Colum O'More zbladł, oczy rozzarzyły mu się jak dwa węgle. Podniósł laskę, jakby chciał zdzielić Rogana, i w tej samej chwili skurcz bólu wykrzywił mu twarz. Szybko zatkanął sobie usta dłonią, ale było już za późno: brązowa struga wymiocin rozlała się po posadzce. Usłyszawszy cichy okrzyk, Rogan odwrócił się i w drzwiach zobaczył Hannę.

— Szybko, ścierkę i wodę! — krzyknął.

Po chwili dziewczyna wróciła ze ścierką i zrećnie wytarła podłogę. Rogan przez cały czas podtrzymywał choremu głowę; teraz wziął Columa pod ramię i pomógł mu się wyprostować.

— Lepiej, żeby się położył — powiedział.

Sypialnia była z tyłu na parterze; zaprowadziwszy tam przyjaciela, Rogan posadził go na brzegu łóżka, zdjął mu marynarkę, rozpiął kołnierzyk koszuli. O'More z westchnieniem ulgi opadł plecami na posłanie, a Rogan ułożył mu nogi na łóżku i przykrył derką. Potem podszedł do drzwi sypialni i zapytał dziewczynę:

— Czy już kiedyś mu się to zdarzyło?

Skinęła głową.

— Raz. Zupełnie tak samo jak przed chwilą. Po upływie pół godziny przyszedł do siebie.

W tej chwili od strony łóżka dobiegł ich upiorny śmiech. Odwróciwszy się Rogan spostrzegł, że Colum O'More przygląda mu się spod półprzymkniętych powiek.

— Najlepszy lekarz w Dublinie wydał już na mnie wyrok trzy miesiące temu, chłopcze. To potrwa jeszcze dwa, w najlepszym razie trzy lata, a potem koniec.

Rogan podszedł do łóżka i spoglądając z góry na chorego, spytał:

— Lepiej się czujesz?

— Jasne. Za pół godziny będę zdrow jak ryba. To nie jest pierwszy atak tego rodzaju.

— To dobrze — powiedział Rogan. — W takim razie leż spokojnie i o nic się nie martw.

Wyszedł na korytarz, gdzie czekała na niego Hanna. Przyglądała mu się z namysłem, marszcząc brwi.

— Dlaczego pan to robi? Nie rozumiem.

Mógłby jej powiedzieć o poczuciu lojalności, o długu wdzięczności wobec starego bojownika, który był dumny z tego, że nigdy nie zostawił przyjaciela w potrzebie. Ale tu chodziło o coś więcej. Z chwilą gdy Sean przeskoczył przez mur więzienny, porwał go prąd wydarzeń, od których nie było ucieczki. Przeznaczenie musi się spełnić, myślał. Odezwała się w nim celtycka krew.

— Proszę zrobić mi kawę i dolać trochę whisky. Ja tymczasem posiedzę tutaj.

Popchnął ją lekko w kierunku kuchni, sam zaś otworzył drzwi do sypialni i wszedł do środka. Usiadł na brzegu łóżka i wyjąwszy z kieszeni paczkę papierosów, zapalił.

— W porządku — powiedział do O'More'a. — Daj mi namiary. Niezawiska, miejscowości, kto, co i kiedy robi?

— Zrobisz to, Sean? — ożywił się stary. — Zrobisz to dla mnie?

— Zastanowię się — powiedział Rogan. — Pojadę do Costella zobaczę, co i jak. Tylko tyle mogę ci obiecać.

Colum O'More odetchnął głęboko.

— To mi w zupełności wystarczy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Harry Morgan obudził się i leżał nieruchomo, wpatrując się w sufit poprzecinany śladami zacieków, z którego płatami odpadał tynk. Przyglądając się dłużej, dostrzegł w tym mapę Londynu. Wspominaj z rozmarzeniem przytulny bar na Dean Street w londyńskim Soho, gdzie dawniej był częstym gościem; prowadziła go młoda Greczynka. Teraz pewnie jest już stateczną matroną...

Zaschło mu w gardle, czuł przykry smak w ustach. Oparłszy się na łokciu, pomaçał ręką i wyciągnął spod łóżka butelkę. Była pusta, więc rzucił ją na podłogę i wstał — szczupły, śniady, z rudymi włosami, czarnoooki; kąciki ust miał lekko opuszczone w sardonicznym uśmiechu. Naciągnął stary sweter i skierował się do drzwi. W tej chwili na zewnątrz rozległ się wściekły ryk. Gdy Morgan wyszedł na korytarz, wpadł na niego głupkowaty syn Costella, ścigany przez Fletchera. Mężczyzna, ogromny jak wół, chciał złapać chłopca; Morgan próbował zagrozić tamtemu drogę wyciągniętą ręką.

— Co jest?

— Ta podła świnia zwędziła mi fajki. Miałem trzy paczki pod poduszką. Wszystkie zniknęły!

— Przegrałeś je do mnie wczoraj wieczorem. Byłeś zbyt pijany, by o tym pamiętać.

— Akurat ci uwierzę!

Fletcher odsunął Morgana brutalnie na bok i pognął za chłopakiem, który dobiegł już do końca korytarza i otworzył drzwi na dwór. To, co się stało teraz, miało tak błyskawiczny przebieg, że później Fletcher nie mógł sobie dokładnie przypomnieć biegu wypadków. Już-już miał schwycić zbiega za kark, gdy wtem sam rozłożył się jak długi na brukowanym podwórku. Ledwie odwrócił się na plecy, ktoś mocno przycisnął mu stopą gardło. Zaczął się dusić i wtedy ucisk zelżał; łapiąc gwałtownie powietrze, Fletcher otworzył oczy i ujrzał nad sobą mężczyznę o zaciętym, nieubłaganym wyrazie twarzy.

Jesse Fletcher nigdy nie bał się niczego i nikogo, toteż i teraz nie poczuł strachu, lecz obudziła się w nim jedynie czujność rasowego zawodnika, gdy ten nagle zorientuje się, że trafił na równego sobie przeciwnika.

— Wstań! — powiedział Sean Rogan.

Z tyłu, za Roganem, stała obok samochodu Hanna Costello, obejmując chłopca ramieniem, a w drzwiach Morgan śmiał się serdecznie.

— Co za wzruszająca scena!

Tymczasem Fletcher podniósł się z ziemi, a jego kompan podszedł do Rogana ze słowami:

— Jestem Harry Morgan, a ten przedpotopowy okaz to Jesse Fletcher. Proszę mu wybaczyć brak manier. Nie było go przy tym, jak rozdawali rozum.

— Któregoś dnia rozwałę ci tę przemądrzałą jadaczkę — syknął Fletcher i wszedł do domu.

— Gdzie jest mój stryj? — spytała Hanna.

— Pojechał ciężarówką do Ambleside na zakupy. Zdziwiłbym się, gdyby wrócił przed zamknięciem ostatniego pubu — powiedział Morgan ze złośliwym uśmiechem na ustach.

Rogan minął go w drzwiach i wszedł do domu. W wielkim pokoju z kamienną posadzką zastał Fletchera — siedział na krześle pod oknem, w jednej ręce trzymał butelkę whisky, w drugiej szklankę. Rogan zignorował go i odwrócił się do Hanny i Morgana, którzy w tej chwili weszli również do środka.

— Gdzie jest chłopiec? — spytał.

— Na pewno poszedł w góry — odparła dziewczyna. — Wróci, jak się ściemni. Często tak robi.

— Gdzie mam spać?

— Na górze są dwa pokoje. Jeden należy do mnie, w drugim mieszka stryj z Brendanem.

— Jesse i ja mamy pokój na końcu korytarza — uzupełnił Morgan.

— Może każe nam się wyprowadzić? — mruknął sarkastycznie Fletcher.

Rogan spojrzał na niego i rzekł spokojnie:

— Jeśli tak postanowię, zawiadomię cię o tym.

Mijając Morgana, musnął go dłonią po ramieniu i poszedł za Hanną do kuchni. Fletcher jednym haustem opróżnił szklankę.

— Wielki Sean Rogan, śmiechu warte! Irlandzki osiłek! Jeden celny cios i leży jak długi!

— Dlaczego mu tego nie powiesz, Jesse?

— Może i powiem!

— Zawołaj mnie, jak już się zdecydujesz! — roześmiał się Morgan.

Tymczasem w kuchni Rogan usiadł na brzegu stołu, zapalając papierosa; Hanna zdjęła płaszcz i powiesiła go na kołku za drzwiami.

— Jajecznicza na szynce?

— Doskonale — odparł Rogan, podchodząc do okna.

Wiatr tarosił buki wokół farmy, strącając z gałęzi ostatnie liście i unosząc je wysoko ponad dachem domu. Rogan spojrział ku pokrytemu wrzosami zboczowi i niebiescującym w oddali górcom.

— Co za miejsce! Czy ktoś tu w ogóle zagląda?

— Czasem jakiś amator wędrówek po górach, zwykle wiosną i latem. Niedaleko stąd kończy się droga. Sto pięćdziesiąt lat temu były tu kopalnie ołowiu, ale złoża się wyczerpały. Są tam jeszcze stare szyby. Brendan może je panu pokazać, wie wszystko na ten temat.

— Sympatyczny chłopak.

Hanna skinęła głową.

— Ma spowolnione reakcje, to wszystko. A stryj Paddy traktuje go jak psa. Bardzo się tym martwię.

— Ależ kumpli dobrał sobie Colum!

— A co pan o nich myśli?

— Fletcher to marna kreatura. Dobry do wyłamywania krat i kopania leżącego. Ale Morgan jest ulepiony z innej gliny, ma łeb do pewnych rzeczy.

— Nie powinien się pan tym sugerować — powiedziała dziewczyna. — Fletchera potrafię zrozumieć, jest zbyt głupi, by mógł być inny. Ale Morgan jest zły, gdyż chce być taki. Musi pan na niego uważać. Uwielbia wpędzać ludzi w kłopoty, a potem cieszyć się z cudzego nieszczęścia.

— Kiedyś się na tym sparzy — powiedział Rogan. — Ktoś powinien mu to powiedzieć.

Dziewczyna postawiła przed nim jajecznicę i tacę z chlebem i masłem, po czym usiadła przy stole naprzeciw Seana i trzymając w dłoniach filiżankę z herbatą, przyglądała się, jak Rogan je.

— Zdaje się, że dobrze to panu zrobiło — powiedziała, gdy opróżnił talerz i odsunął go, wzdychając z zadowolenia.

Rogan uśmiechnął się lekko.

— To prawda. Ale wcale nie dlatego, że byłem głodny. Ważny jest symboliczny wydźwięk pewnych spraw. Nie mogę powiedzieć, żeby nas źle karmili w więzieniu, po prostu na wolności jedzenie inaczej smakuje.

Siedzieli w milczeniu, paląc papierosy, złączeni jakąś szczególną aurą koleżeństwa. Deszcz bębnił o szyby. I tak zastał ich Morgan. Wyjął z kredensu filiżankę, nalał sobie herbaty i przysiadł na brzegu krzesła.

— Jak się miewa O'More?

— Jest w świetnej formie — odparł Rogan.

Morgan zaśmiał się opryskliwie.

— Nie musi pan przede mną udawać. Kilka tygodni temu, gdyśmy go z Jesse'em wzięli w Manchesterze, ledwie trzymał się na nogach.

— Naprawdę?

— Według mnie robi wysiadkę. Żeby pokierować taką robotą, trzeba chłopca na schwał.

— Wiem o tym — odparł łagodnie Rogan. — Dlatego właśnie tu jestem.

— Kto to powiedział?! — krzyknął Fletcher, stając w drzwiach kuchni; twarz wykrzywił mu grymas złości. — Kto powiedział, że w ogóle pana potrzebujemy? A może my z Morganem mamy własne plany?

— O'More mi powiedział, że pracujecie za wynagrodzeniem — zwrócił się Rogan do Morgana. — Po pięć kantów na łebka, zgadza się?

— Tak jest w umowie.

— Więc niech pan powie swojemu pyskatemu pomagierowi, żeby zamknął twarz.

Fletcher szarpnął się wściekle, postępując krok do przodu, ale Morgan powstrzymał go.

— Uspokój się, Jesse — powiedział ostro. — Nic nie zdziałamy, jak będziemy się gryźć między sobą — i zwracając się do Rogana, wyjaśnił: — Jesse to nerwowy facet. Rozumiem go. Od tamtego spotkania w Manchesterze O'More się nie pokazał. Kontaktujemy się z nim przez Hannę. Nawet jej stryj nie wie, gdzie się zaszły Colum.

— Jest znany z ostrożności — odparł Rogan. — Nie widzę w tym nic złego. Zobaczycie go we właściwym momencie.

I wstając od stołu, dodał:

— A co z tym waszym planem?

— Mam mapę — odparł Morgan. — Przejdźmy do pokoju.

Zapadł zmierzch. Deszcz przestał padać i niebo przejaśniło się ponad szczytami gór. W pokoju panował półmrok, cienie zbierały się po kątach. Hanna zapaliła lampę naftową i postawiła ją pośrodku mahoniowego stołu. Morgan wyjął z szuflady dużą mapę topograficzną i rozłożył ją na blacie.

— Tu jest Scardale — powiedział. — Pięć mil na północ od Ambleside, to jest w górach. Pięć mil z Ambleside do Windermere, a potem prosto do Kendal. A znów pięć mil na południe od Kendal leży Rigg.

— To razem około dwudziestu pięciu mil.

— Zgadza się. Rigg to stacja przelotowa. Obsługuje ją jeden człowiek. W sezonie panuje tu duży ruch, przejeżdżają tędy pociągi z turystami, udającymi się nad jeziora, ale o tej porze roku okolica jest jak wymarła.

— A co z tym pociągiem pocztowym w piątki po południu? Czy w Rigg ktoś się dośiada?

Morgan zaprzeczył ruchem głowy.

— Pociągi nie zatrzymują się tu regularnie. W ciągu ostatnich dwóch lat przeprowadzono reorganizację na kolei i Rigg padło ofiarą modernizacji. Zawiadowca stacji — jeśli w ogóle można go tak nazwać — spełnia raczej rolę dozorca. Nie mieszka nawet na miejscu, lecz dojeżdża codziennie z Kendal.

— A co z tym furgonem pocztowym? Dlaczego Colum sądzi, że to twardy orzech do zgryzienia?

— To po prostu stalowa skrzynia na kółkach, taka, jakich od niedawna używa Bank Centralny. Mają radiofoniczne połączenie z główną komendą policji hrabstwa. Dzwonią co pół godziny.

— Gdzie jest słabe ogniwo? Stacja w Rigg?

Morgan pokręcił przecząco głową.

— Samochód zjawia się na stacji na pięć minut przed przyjazdem pociągu. Z boku stacji jest rampa przeładunkowa; podjeżdżają do niej tyłem i nie ruszają się z miejsca, póki nie zjawi się pociąg.

— Jest pan pewien?

— Niech pan zapyta Hannę. Przez ostatnie dwa piątki siedziała w zaparkowanym samochodzie i przyjrzała się wszystkiemu dokładnie, a my z Fletcherem, ukryci w lesie, obserwowaliśmy przez lornetki, co się dzieje na stacji. Nie uda się ich obrobić w tym momencie, może pan o tym zapomnieć. Za mało czasu. Poza tym w pociągu też jest radiotelefon. Teraz każdy pociąg ma telefon, po tym jak dwa lata temu jacyś cwaniacy zwędzili milion.

— Ciężka sprawa. Morgan skinął głową.

— Staremu się wydawało, że możemy po prostu napaść na samochód bez świadków gdzieś między Rigg i Kendal. Sam pan widzi, że O'More nie idzie z duchem czasu.

— A wy macie lepszy pomysł?

Fletcher roześmiał się hałaśliwie.

— Najlepszy pomysł pod słońcem, człowieku. Powiedz mu, Morgan.

— Mamy w szopie furgonetkę, starego morrisa — powiedział Morgan. — Według mnie tylko jedna rzecz jest w stanie wywabić strażników z samochodu pancernego: wypadek drogowy.

— Chcecie spowodować wypadek?

— Właśnie. Jest takie jedno dobre miejsce, ze dwie mile od Rigg. Sprawdzaliśmy to parę razy. Czasami przejeżdża tamtędy jakiś farmer ciężarówką. We właściwym momencie przewrócimy tnorrisa na bok, polejemy benzyną i podpalimy. Najlepiej, jak jeden z nas położy się na drodze, udając rannego, ze śladami krwi na twarzy. Żaden człowiek nie przejedzie obojętnie obok czegoś takiego.

— A wtedy reszta dostanie się do środka?

— Proste, co? — skinął głową Morgan.

— Zbyt proste.

Rogan zerknął na Hannę; wytrzymała jego spojrzenie, twarz miała pozbawioną wyrazu. Fletcher powiedział ironicznie:

— Ma pan na pewno lepszy plan, jak przypuszczam?

— Jeszcze nie — odparł Rogan. — Ale jedno jest pewne: wasz plan jest do niczego.

Morgan zacisnął usta ze złości, a Rogan, nie zważając na to, ciągnął dalej:

— Plan ma dwie zasadnicze wady. Po pierwsze, w chwili gdy samochód pancerny zbliży się do miejsca wypadku, strażnicy najpierw zawiadomią komendę policji. Mają obowiązek to robić, ilekroć przydarzy im się w drodze coś nieprzewidzianego. W ciągu pięciu minut wyślą tu samochód z Kendal. Poza tym w komendzie będą czekać na następny meldunek, jak tylko strażnicy zorientują się, co się stało. Jeśli meldunek nie nadejdzie, policja zablokuje wszystkie drogi w hrabstwie.

To, co powiedział Rogan, było tak oczywiste, że Fletcher i Morgan na chwilę zapomnieli języka w gębie. Tymczasem Rogan mówił nieubłaganie:

— Załóżmy, że się mylę. Powiedzmy, że strażnicy stracą głowę na widok wypadku i nie zadzwonią do komendy. Wtedy pozostaje jeszcze problem przeładunku na stacji w Rigg. Co się stanie, gdy samochód nie zjawi się o umówionej godzinie? Sami mówiliście, że każdy pociąg pocztowy ma radiotelefon. Pierwsza rzecz, jaką zrobi strażnik pociągu po przybyciu na stację, to zawiadomi władze, że samochód się nie zjawił. W ciągu paru minut postawią na nogi policję w całym hrabstwie. Mają przygotowane szczegółowe plany operacyjne na taką okazję, niech was o to głowa nie boli.

Hanna wybuchnęła głębokim, gardłowym śmiechem, na co Fletcher, odwróciwszy się do niej, warknął:

— Trzymaj buzię na kłódkę!

Morgan położył mu rękę na ramieniu i pokręcił głową.

— Nie, Jesse, on ma rację. Wszystko, co mówi, cholernie trzyma się kupy.

Tu Morgan spojrzał przeciągle na Rogana; w półmroku jego ciemne oczy tworzyły dwie czarne plamy.

— Ma pan coś lepszego?

— Zawsze znajdzie się coś lepszego, trzeba tylko poszukać — odparł Rogan. — Obadamy sprawę jutro rano.

W tej chwili przez bramę wjechała stara ciężarówka o wysokich drewnianych burtach, taka, jakich używa się do przewożenia bydła. Otarła się wgniecionym bokiem o kamienny słupek i podskakując na kocich łbach, przejechała przez podwórko, zatrzymując się dosłownie pół metra przed ścianą domu. Drzwiczki odskoczyły i z szoferki wysiadł, a właściwie wypadł stary, niewysoki człeczyna. Zataczając się przeszedł pod oknem, a Morgan pokręcił głową z dezaprobatą.

— Nie przepuści żadnemu pijakowi w Ambleside. Strzępi język po próżnicy i wyrzu-

ca pieniądze w błoto.

— To nie pański interes! — odparowała Hanna czerwona jak burak.

W tej chwili w sieni trzasnęły drzwi i Paddy Costello zaintonował donośnym, czystym głosem:

„Niech Bóg chroni Irlandię!” — wołali bohaterzy,

„Niech Bóg chroni Irlandię!” — lajmy wszyscy wraz.

Czy zginąć na szafocie, czy w boju paść –

Życie swe za Irlandię oddać rad każdy z nas.

Po chwili stanął w progu z pijackim uśmiechem na obrzękłej twarzy.

— Niech Bóg ma was wszystkich w opiece — wybełkotał.

Przez chwilę panowała niezręczna cisza, którą przerwał wreszcie spokojny głos Seana:

— Niech Bóg ma pana w opiece.

Stary otworzył usta ze zdumienia i utkwiał zatroskany wzrok w Roganie.

— Najświętsza Panienko! — wyszeptał.

Zataczając się przeszedł przez pokój i chwyciwszy dłoń gościa, wybełkotał:

— To dla mnie wielki dzień, panie Rogan. Naprawdę wielki dzień.

Przetarł zażawione oczy, a Sean skrzywił się, poczuwszy smród taniego piwa.

— Był pan w Ambleside? — spytał.

— Byłem, proszę pana. W interesach.

— Mówi się o mnie w mieście?

Stary wyciągnął z kieszeni zmiętą gazetę popołudniową i podał ja Roganowi.

— Piszą tu o panu. Na dole, na drugiej stronie.

Była to zaledwie kilkuwierszowa notatka, mówiąca o ucieczce i o tym, że cała okolica więzienia została otoczona przez policję. Zdjęcia nie było. Rogan rzucił gazetę na stół i ponownie zwrócił się do Paddy'ego Costella:

— Nie pojedzie pan więcej do Ambleside, w ogóle nie ruszy się pan stąd, chyba że panu pozwolę. Zrozumiano?

— Jasne, proszę pana. Jasne!

— Was to też dotyczy! — zwrócił się do pozostałych dwóch.

Wyszedł z domu i stojąc obok ciężarówki, przyglądał się dolinie, którą wiodła droga do Ambleside. Daleko na horyzoncie w gęstniejących ciemnościach wieczoru błyszczała srebrna plamka jeziora Windermere; po obu stronach wznosiły się strome stoki gór. Sean odwrócił się, usłyszawszy skrzywienie butów. W drzwiach stali Fletcher i Morgan.

— Dziewczyna mówi, że droga kończy się ćwierć mili stąd w górę doliny?

Morgan skinął głową.

— Jest tam kilka rozwalonych domów i stara kopalnia ołowiu. Skóra człowiekowi cierpnie, kiedy znajdzie się w tym miejscu. Byłem tam tylko raz.

Rogan znów spojrzął na błotnistą drogę w dolinie, wijącą się białą smugą w gasnącym blasku dnia.

— Jedno wejście i jedno wyjście. Nie wygląda to zbyt zachęcająco.

— Komu pan to mówi?! — warknął Fletcher. — Wystarczy, żeby paru gliniarzy zatarasowało nam drogę i po ptakach! Bóg raczy wiedzieć, dlaczego O'More wybrał takie miejsce.

— Bo w każdym innym wy dwaj wzbudzilibyście sensację — rzucił Rogan i ruszył w kierunku bramy.

Dwaj mężczyźni w drzwiach domu milczeli chwilę, odprowadzając go wzrokiem. Rogan wyszedł na drogę i ruszył w głąb doliny. Wreszcie Fletcher nie wytrzymał.

— Boże! Pokazałbym temu draniowi, gdzie raki zimuja!

— Daj spokój — uspokoił go Morgan. — Mamy ważniejsze sprawy na głowie.

Wróciwszy do salonu, zastali Costella na krześle przy kominku, ze szklanką whisky w dłoni.

— Gdzie dziewczyna? — spytał Morgan.

— W kuchni. Robi mi coś do jedzenia.

— Widziałeś się z Popem?

Stary skinął głową.

— Mieszka w małym hoteliku na przedmieściach Ambleside — W „Białej Zagrodzie”. Powiedziałem mu, że jutro do niego zadzwonisz.

— A nie wiesz przypadkiem w jaki sposób?!

— U wylotu doliny, przy szosie, jest budka telefoniczna.

Morgan usiadł na brzegu stołu i zmarszczył brwi, namyślając się przez chwilę. Wreszcie odwrócił głowę i spojrzął na rozłożoną mapę.

— Dużo bym dał za to, by się dowiedzieć, co kombinuje Rogan.

— Na pewno sam jeszcze nie wie. Musi się najpierw zorientować, co i jak — zauważył Fletcher.

Morgan pokręcił głową z niedowierzaniem.

— Nie byłbym tego taki pewny. Ten facet ma tu — popukał się palcem w czoło. — Założę się, że ma już jakiś plan.

— Wcześniej czy później musi nam o tym powiedzieć — wtrącił Costello. — Sam nie da rady.

Roześmiał się zadowolony z siebie, a strużka alkoholu pociekła mu po brodzie. Morgan chwycił go za krawat i podniósł do góry.

— Lepiej przestań pić, ojciec! Zaczynasz mnie denerwować. Pamiętaj, że tkwisz w tym po uszy, tak jak i my. A Rogan nie jest głupcem. Najmniejsze potknięcie z naszej

strony i zwącha pismo nosem. Nie mam zamiaru tracić piętnastu tysięcy funtów przez starego durnia, który nie potrafi odmówić sobie szklanki whisky!

Morgan poczuł chłód na policzku, odwrócił się i w progu zobaczył Hannę. Podeszła do stołu z nieodgadnioną miną i postawiła na blacie tacę z jedzeniem.

— Chodzisz po mieszkaniu jak duch, trzeba ci będzie przywiązać dzwoneczek — warknął Morgan.

Dziewczyna zignorowała jego uwagę i zwróciła się do stryja:

— Kawa i kanapki. Jeśli ci będzie mało, zrób sobie jeszcze sam.

Wyszła z pokoju, a po chwili zobaczyli ją przez okno; szła przez podwórze ku bramie.

— Myślisz, że słyszała? — spytał Fletcher.

— Jedno jest pewne — powiedział Morgan, marszcząc brwi. — Musimy mieć na nią oko, nie podoba mi się to, jak patrzy na tego cholernego Irlandczyka.

— Zrób mi przyjemność i przestań truć, Harry. Rogan jest dwa razy starszy od niej! Morgan pokręcił głową z politowaniem.

— Wiesz, Jesse, czasami mnie zdumiewasz.

Odwrócił się i odtrąciwszy dłoń Costella, sięgającego po kanapkę, sam zaczął jeść.

Tymczasem Rogan usiadł na zboczu górującym nad domem i zapalił papierosa. W oddali, na tle gór odcinała się tafla jeziora Windermere, pośrodku czarna, purpurowoszara po brzegach. Wierzchołki gór jaśniały pomarańczowo w niepewnym świetle gasnącego dnia. Zniewalające piękno przyrody zapierało Roganowi dech w piersiach. Ogarnął go nostalgiczny nastrój i wciągnął głęboko do płuc świeże powietrze, pachnące niedawnym deszczem.

— Piękny widok, prawda? — powiedziała Hanna Costello.

Rogan odwrócił się — dziewczyna stała o kilka kroków dalej, przyglądając mu się z uwagą.

— Nie słyszałem pani. Chyba się starzeję.

Poczęstował ją papierosem. Hanna pochyliła głowę nad zapaloną zapałką, którą Rogan osłaniał dłonią. Zajrzał dziewczynie w oczy, lecz miały nieprzenikniony wyraz. Usiadła obok na kamieniu i wydmuchnęła dym z papierosa.

— Oni chyba coś knują.

— Morgan i Fletcher?

— I mój stryj. Klócili się. Słyszałam z korytarza, jak rozmawiali o Popie — tym facecie, który czekał, kiedy pan uciekł. Jest teraz w Ambleside.

Rogan skinął głową, marszcząc brwi.

— Nie dziwi to pana?

— Nie.

Rogan opowiedział jej o Jacku Popie i Soamesie, o tym, że widział ich razem, gdy

podkraść się do domku.

— Co jeszcze mówili?

— Morgan będzie do niego dzwonił jutro z budki przy szosie. Myślę, że czeka, żeby pan wyłożył im swój plan. I jeszcze jedno: Morgan mówił coś o pięćdziesięciu tysiącach do podziału. Wydawało mi się, że mają dostać po pięć.

— Wygląda na to, że Morgan zamierza po swojemu dzielić łupy.

— Nie wydaje się pan zmartwiony.

— Wszystko będzie dobrze — powiedział, uśmiechając się do niej ciepło. — Ale miło mieć przy sobie bratnią duszę.

Dziewczyna zarumieniła się lekko. Rogan wpatrywał się w ciemny łuk nieba; świeciła na nim samotna gwiazda. Przez kilka minut siedzieli w milczeniu, wreszcie Hanna spytała przyciszonym głosem:

— O czym pan myśli?

— Kerry — powiedział. — Mam tam farmę, a raczej mój ojciec.

— Chciałby pan tam wrócić?

— To piękne miejsce. Morze i góry, zieleń trawy, łagodne deszcze, fuksje w zakurzonych żywopłotach, połyskujące czerwienią o zachodzie słońca. Nazywają je *Deorini Dei* — Łzy boże. — Roześmiał się cicho. — I dziewczęta, najpiękniejsze w świecie. Zupełnie o tym zapomniałem!

Odwrócił głowę — dziewczyna spoglądała na niego ze smutkiem. Odruchowo wyciągnął rękę i ujął dłoń Hanny.

— Pasowałyby pani do tego otoczenia.

Dziewczyna przyglądała mu się uważnie; tajemniczy, pomarańczowy blask igrał w jej twarzy, którą rozjaśnił kuszący uśmiech, I wtedy Sean uniósł ją łagodnie i pocałował delikatnie w półotwarte usta.

Były miękkie i świeże; przeszył go dreszcz i czuł się tak, jakby po raz pierwszy w życiu pocałował dziewczynę. Hanna ukryła twarz na piersi mężczyzny, obejmując go mocno ramionami. W górze ostatnia krwawa chmurka wypaliła się, pozostawiając ich samych pośrodku nocy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ranek wstał zimny, ale bez deszczu; na polach za domem wisiała lekka mgiełka. Rogan, oparty o płot, palił papierosa, spoglądając w kierunku masywu Scardale Fell, ginącego w niskich chmurach. Noc spędził na łóżku polowym w małym pomieszczeniu nad stodołą, gdzie dawniej przechowywano końską uprząż. Rano zjadł śniadanie z Hanną i Brendanem — reszta spała jeszcze. I teraz, odprężony i dziwnie jakoś zadowolony, czekał na dziewczynę; wybierali się razem na przejażdżkę.

W tej chwili otworzyły się drzwi domu i usłyszał wściekły głos Paddy'ego Costella:

— Wyłaż, darmozjadzie! Jazda w góry i nie pokazuj mi się tu bez owiec!

Brendan zręcznie uchylił się od kopniaka i z rozwianymi połami marynarki pobiegł pędem przez podwórko. Mijając Rogana, rzucił mu szybkie spojrzenie — ciemne oczy miały wyraz ściganego zwierzęcia i Rogan poczuł przyływ sympatii do chłopca.

Brendan pobiegł drogą w góry, a Costello podszedł do Rogana. Jego oczy miały żółtawy odcień, twarz była usiana czerwonymi żyłkami, obwisła i pomarszczona skóra wydawała się brudna.

— Do grobu mnie wpędzi ten smarkacz, do grobu.

Stary wcisnął koszulę w spodnie i zauważył:

— Wcześniej się pan zerwał.

— Mam masę roboty — powiedział Rogan. — Morgan i Fletcher jeszcze w łózkach? Costello skinął głową.

— A czego pan się spodziewał po takiej hołocie?

W stodole rozległ się warkot silnika i po chwili Hanna wyjechała swoim samochodem. Zatrzymała się obok Rogana; otworzył drzwi i usiadł obok niej. Opuścił szybę i zwrócił się do stryja dziewczyny:

— Jeśli pan myśli, że zrobi pan wypad ciężarówką lub morrisem, to się pan myli. Zabrałem kluczyki. Niech pan powie Morganowi, że wrócę po południu.

Staremu wydłużyła się twarz. Tymczasem Rogan zamknął okno i skinieniem głowy dał znak Hannie, że mogą jechać. Dziewczyna zwołniła hamulec ręczny i włączyła bieg.

Wyjechali na błotnistą drogę. Nisko nad ziemią wisiała rzadka mgła.

Hanna miała na sobie obcisłe niebieskie spodnie narciarskie i krótki kożuszek, na głowie zawiązała jedwabny szalik. Jej bliskość znów wzbudziła w mężczyźnie gorączkowe podniecenie, tak jak poprzedniego wieczoru na wzgórzu. Dziewczyna zarumieniła się, jakby odgadując uczucia swego towarzysza, ale patrzyła wprost przed siebie; mijali właśnie niebezpieczny zakręt u podnóża zbrocza.

— Twój stryj wypędził chłopca w góry — przerwał milczenie Rogan. — Mówił coś o jakichś owcach.

Dziewczyna skinęła głową.

— Sprzedaje je po kilka sztuk na wódkę. Owce są cały czas na halach, niełatwo je odzyskać.

— Chłopiec powinien chyba mieć psa?

— Miał. To był collie, wabił się Rekin i Brendan go uwielbiał. Miesiąc temu wpadł do starego szybu i skręcił sobie kark. Niektóre szyby mają ze sto metrów głębokości.

Rogan milczał, myśląc o tym dziwnym chłopcu. Przy śniadaniu Brendan rzadko się odzywał, jękał się przy tym okropnie. Nic dziwnego — przy takim ojcu.

— Nie lubisz mojego stryja? — spytała.

Rogan parsknął śmiechem.

— To zbyt łagodne określenie. Spotkałem w życiu wielu takich jak on. Zgrywający bohatera nałogowy pijak, któremu usta się nie zamykają. Już go sobie wyobrażam, jak siedzi naprzeciwko inspektora Mlicji, błądy jak ściana, mnie w rękach czapkę i zachowuje się jak mięczak. Nie rozumiem, co Colum O'More w nim widzi.

— Nic. To stryj pierwszy się z nim skontaktował przez starego towarzysza z Liverpoolu i w miesiąc później Colum zjawił się na farmie. Nie był zbudowany widokiem tego, co zastał. Bez trudu wycisnął wszystko ze stryja. Postawił butelkę whisky i po godzinie stryj był gotów. Wtedy Colum zainteresował się mną.

— Znałaś go przedtem?

— Nie, ale zdaje się, że od razu mnie zaaprobował. Powiedział, że lubi pracować przez pośrednika i zaproponował mi tę robotę.

— I zgodziłaś się?

— Pamiętasz, co mówiłeś wczoraj o próbie wyrwania się z dotychczasowego życia? Colum O'More dał mi właśnie taką szansę. Obiecał mi dwa tysiące funtów i że po skończonej robocie zabierze mnie do Irlandii. Razem z Brendanem.

— Rozumiem, że to było dla ciebie najważniejsze.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Nie mogłabym go tu zostawić. Stryj Paddy nie pociągnie długo przy takim trybie życia. Co wtedy stanie się z Brendanem? Sierociniec?

— Czy to znaczy, że tylko ty znasz miejsce pobytu Columa? I twój stryj godzi się na

to?

Dziewczyna zachichotała.

— Kilka razy próbował mnie śledzić, Morgan też, ale nic im z tego nie wyszło.

— Bawi cię to?

— Chyba tak — powiedziała dziewczyna z namysłem, uważnie prowadząc wóz. — Wiesz, to dziwne: kiedy mnie zwolnili i przyjechałam do Scardale, miałam takie uczucie, jakbym nudała znajdowała się w jakimś więzieniu, unoszona bezwolnie z prądem życia. Minął rok. wciąż w kółko lał deszcz, śnieg otulał góry, a gdzieś tam daleko był prawdziwy świat, od którego odcięłam się z własnej winy.

— Po wyjściu z więzienia zawsze jest ciężko — powiedział Rogan. — Niektórzy ludzie w ogóle nie potrafią już żyć na wolności.

Hanna uśmiechnęła się z wysiłkiem.

— W każdym razie nie miałam wyboru; mówiłam ci to już wczoraj. Dokąd miałam pójść? Wdepnęłam w coś, z czego nie mogłam się już wyrwać.

Minąwszy Ambleside, pojechali wzdłuż jeziora aż do Windermere, a potem skręcili na drogę prowadzącą przez Staveley do Kendal. Ruch był niewielki, mgła nieco zgęstniała. W Kendal natrafili na ulewę; przejechali przez pustawe ulice i wydostali się za miasto. Hanna wskazała ręką ruiny rzymskiej fortecy w Alavna z takim namaszczeniem, jakby Sean był prawdziwym turystą.

— Zdaje się, że Rzymianie nigdy nie wylądowali w Irlandii? — zauważyła.

— Czuli pismo nosem — powiedział Rogan i szeroki uśmiech rozjaśnił mu twarz.

Dziewczyna zerknęła na niego z błyskiem w oku.

— Po raz pierwszy od kiedy cię poznałam, roześmiałeś się szczerze. A już myślałam, że nie potrafisz!

Rogan znów się uśmiechnął.

— Potrzeba mi tylko trochę czasu, Hanno, to wszystko.

Przez chwilę poczuli bliskość nieledwie fizyczną i oboje zdali sobie z tego sprawę. Rogan szukał w myśli właściwych słów, ale nim zdążył cokolwiek powiedzieć, podjechali wąską polną drogą ku szczytowi niewielkiego wzniesienia, skąd roztaczał się widok na stację Rigg położoną w dolinie. Dziewczyna zatrzymała samochód na skraju maleńkiego parkingu posypanego żwirem. Rogan zapalił papierosa, opuścił szybę i przyjrzał się stacji. Był to parterowy budynek, zbudowany z dużych bloków granitowych, kryty czerwoną dachówką. Nad łukiem wejścia wisiał wielki zegar; na ścianie w gablocie znajdowała się mapa topograficzna Lake District. Z boku stacji była wnęka załadunkowa, skąd wchodziło się do budynku przez dwuskrzydłowe drzwi.

— Przyjrzyjmy się temu dokładniej — powiedział Rogan.

Wysiedli z samochodu i poszli żwirowaną dróżką do stacji. Wszedłszy do środka, znaleźli się w niewielkim hallu. Okienko kasowe, oddzielone barierką od poczekal-

ni, było nieczynne, zasłonięte drewnianymi żaluzjami. Drzwi prowadzące na platformę przeładunkową były otwarte; na dworze ktoś cicho pogwizdywał. Rogan wyjrzał ostrożnie i zobaczył siwowłosego mężczyznę, zamiatającego drugi koniec peronu.

— Zagadaj go — zwrócił się do Hanny. — Spytaj, czy zatrzymuje się tu jeszcze pociąg do Londynu. Rób, co chcesz, byłeś go zatrzymała na platformie. A ja się rozejrzę tymczasem.

Dziewczyna skinęła głową i wyszła na dwór. Stary nie słyszał jej, dopóki nie podeszła bliżej; stał oparty na miotle i spoglądał w dal, uśmiechając się do siebie. Usłyszawszy cichy odgłos rozmowy, Rogan szybko wszedł do pomieszczenia, na którego drzwiach wisiała tabliczka z napisem *Zawiadowca stacji*.

W biurze panował nieład. Całe umeblowanie składało się z biurka i kilku drewnianych szaf z przegródkami; na ścianie wisiały pożółkłe kalendarze. W pomieszczeniu było poza tym dwoje drzwi. Pierwsze z nich prowadziły do łazienki, drugie — do hali bagażowej o łukowym sklepieniu; ciągnęła się ona w poprzek budynku, łącząc wnękę załadunkową z platformą. Wyszedłszy przez betonową wnękę, Rogan zeskoczył na ziemię i wrócił do samochodu.

Gdy po pięciu minutach wróciła Hanna, Sean, z nieobecnym wyrazem twarzy, siedział z rękami w kieszeniach i trzymał w ustach zapalonego papierosa. Wsunęła się za kierownicę.

— Myślałam, że nigdy się stamtąd nie wyrwę. Obejrzałeś wszystko dokładnie?

Rogan skinął głową.

— O czym mówił ten stary?

Dziewczyna uśmiechnęła się łagodnie.

— Powiedział, że nazywa się Briggs i za miesiąc idzie na emeryturę. Ma dwie córki i sześcioro wnuków; dwa lata temu umarła mu żona. Aha, przy okazji poinformował mnie, że pociąg londyński nie zabiera stąd pasażerów.

— Niczego nie ukrywał.

— Powiedziałby jeszcze więcej, gdybym została dłużej. Zdaje się, że ma tu niewiele do roboty i nudno mu. Wygląda na to, że nie zawsze tu jest. Przysyłają z Kendal, kogo popadnie.

Rogan, marszcząc brwi, przyglądał się budynkowi stacji.

— Gdzie się zatrzymałaś w zeszły piątek, kiedy przyjechał transport?

— Pod drzewem, z drugiej strony drogi — odparła dziewczyna. — Był ze mną Brendan. Udawaliśmy, że jesteśmy na pikniku.

— Przyjrzałaś się dokładnie kierowcy i strażnikowi?

— Dość dokładnie.

— Jakimi mieli mundury?

— Pamiętam to doskonale. W zeszłym miesiącu w Kendal, w kawiarni, siedzia-

łam obok strażnika w takim samym mundurze. Dwurzędowa kurtka z niebieskiej serży z czarnymi plastikowymi guzikami — taka sama jak te, które noszą bosmani. Tylko czapka była inna: z błyszczącym czarnym daszkiem obwiedzionym złotym wężykiem i jakąś śmieszną odznaką.

— Widziałaś worki z pieniędzmi? Jak wyglądały?

— Widziałam, jak je wrzucali na rampę. To były normalne worki pocztowe z nadrukiem Głównego Urzędu Pocztowego w Londynie. Czy to ważne?

— Kto wie?

Wyjął ze schowka mapę i rozłożył na kolanach. Po chwili skinął głową zadowolony.

— Jedziemy! Jedź drogą do Kendal, a potem skręć do Staveley. Staraj się jechać z prędkością około czterdziestu mil na godzinę, nie szybciej. Powiem ci, kiedy masz się zatrzymać.

* * *

Minąwszy Kendal, pojechali drogą na Windermere aż do Staveley. W jakieś dziesięć minut od wyjazdu z Rigg, przed skrzyżowaniem z drogą do Bowness, Rogan dał znak i Hanna zatrzymała auto. Kilka metrów dalej, za żelazną bramą, ciągnęła się droga znikająca w jodłowym lasku. Wsiadłszy z samochodu, Rogan podszedł do bramy i przez chwilę mocował się z zardzewiałym łańcuchem, którym brama umocowana była do kamiennego słupka; wreszcie udało się ją otworzyć.

— Jedź ostrożnie tą drogą — powiedział do Hanny, wróciwszy do samochodu. — Z mapy wynika, że jakieś dwieście metrów stąd są doły zalane wodą.

Droga była rozmokła od deszczu i porośnięta trawą — widocznie nikt jej nie używał. Hanna włączyła pierwszy bieg i ostrożnie ruszyła do przodu. Jodły, ciemne i ponure, ciągnęły się z obu stron drogi; minęli niewielkie wzniesienie i zjechali w dół na polanę. Oczom ich ukazała się stara stodoła z grubo ciosanego szarego piaskowca; wysoki dach sterczał w niebo, z tyłu, za stodołą, błyszczała woda.

Hanna wyłączyła silnik; Rogan wysiadł z samochodu i podszedł do kamiennego budynku. Przez chwilę przyglądał się zwietrzałym ścianom, po czym ruszył przez polanę, aż zatrzymał się na krawędzi urwiska. Spływające wody naniósł tam masę splątanych gałęzi uwikłanych w gęste krzaki; o kilkanaście metrów niżej widać było ciemną taflę glinianki.

Rogan, marszcząc brwi, przyglądał się przez chwilę urwisku, po czym skinął głową, jakby w duchu sam sobie potwierdzał podjętą właśnie decyzję; wreszcie odwrócił się i ujrzał Hannę; stała kilka kroków dalej, przyglądając mu się w milczeniu.

— Uda się, Sean?

Rogan wrzucił niedopałek do glinianki i uśmiechnął się łagodnie.

— Czas rozmówić się z Columem O'More'em.

Wziął dziewczynę pod ramię i wrócili do wozu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Yanbrugh zaklął, zapadłszy się nagle w grząskim gruncie; zimna woda wlała się górą do kaloszy. Towarzyszący mu sierżant i funkcjonariusz miejscowej policji z niewzruszonymi minami wyciągnęli nadinspektora z błota, po czym wszyscy trzej ruszyli w górę po zboczu. Wreszcie znaleźli się na szczycie skalistego pagórka. Deszcz siekł ich po twarzach, mgła wisiała dokoła niczym mokra szara zasłona, ograniczając widoczność do dwudziestu metrów.

Yanbrugh zwrócił się do sierżanta:

— Jak długo człowiek może wytrzymać w takich warunkach?

— Zdziwi się pan, panie nadinspektorze, ale czasami ścigamy uciekiniera nawet i tydzień. Pięć lat temu, zimą, mieliśmy klasyczny przypadek. Facet zwiął z więzienia i był przez dwa tygodnie na wolności.

— Jak tego dokonał?

— Zaszył się w jednym z domków letniskowych, niedaleko więzienia. To jeden z naszych głównych problemów: pełno tu domków, przeważnie pustych o tej porze roku. Nie możemy mieć ich wszystkich pod stałą obserwacją, po prostu za mało ludzi.

— Wiem, sierżancie, wiem.

Yanbrugh ruszył w dół zbocza; na dole stał jego samochód i policyjny landrover. Nadinspektor był zmęczony i przemarznięty, a myśl o Roganie, błędzącym gdzieś we mgle i ściganym jak dzikie zwierzę, psuła mu humor do reszty. Gdy znaleźli się na dole, z mgły wyłonił się drugi wóz policyjny i zatrzymał na krawędzi drogi. Z samochodu wysiadł sierżant Dwyer i podszedł do szefa.

— Znalazł pan coś? — spytał Yanbrugh.

Dwyer pokręcił przecząco głową.

— Na razie ani śladu. Komendant zamierza przeszukać wszystkie okoliczne domy na wypadek, gdyby się gdzieś tu ukrył. Wygląda na to, że w tej okolicy jest pełno domków letniskowych i willi, zwykle pustych po sezonie.

— To na nic, zawsze może się schować w domku, który już został przeszukany — za-

uważał Yanbrugh. — Ma pan tę listę z więzienia?

Dwyer wyciągnął z kieszeni kartkę papieru zapisaną na maszynie i rozłożył ją.

— Proszę bardzo. Nie mogli zrobić listy jego przyjaciół z ostatnich pięciu lat, gdyż z nikim się nie przyjaźnił. Ale dali mi wykaz kilku facetów, którzy dzielili z nim celę, od czasu gdy wypuszczono go z izolatki.

Yanbrugh rzucił okiem na listę.

— Widzę tu paru recydywistów. Kilku z nich, o ile wiem, znów trafiło za kratki.

Nagle zmarszczył brwi i skrzywił się z niesmakiem.

— A więc siedział także z Jackiem Pope'em?

— Zna go pan, panie nadinspektorze?

— Jak zły szeląg. Był sierżantem w mundurówce w West End. Dziesięć czy dwanaście lat temu posadzili go za korupcję, a potem znów trafił do więzienia za malwersacje.

Yanbrugh pokręcił głową i powiedział z zawziętością w głosie:

— Nie znoszę nieuczciwych gliniarzy. — Wręczając listę sierżantowi, dorzucił lakonicznie: — Coś jeszcze?

— Dostaliśmy odpowiedź ze Scotland Yardu na temat tego prawnika, którego chciał pan odszukać; tego, który rozmawiał z Roganem w więzieniu. Nie figuruje w kartotekach.

Yanbrugh zaklął cicho.

— To znaczy, że Rogan nie uciekł na wariata. Cała rzecz została ukartowana. Inaczej nie można sobie wytłumaczyć faktu, że kilka tygodni przed ucieczką odwiedził go w więzieniu fałszywy prawnik.

— Wynika z tego, iż ten Soames wiedział o tym, że Rogan zna sposób ucieczki z więzienia. Niewielu ludzi o tym wiedziało, a Rogan nie wygląda na człowieka, który by gadał po próznicy.

— Nie ma pan pojęcia, sierżancie, jakich dziwnych rzeczy można się dowiedzieć od współtowarzysza z celi. Moim zdaniem każdy z facetów umieszczonych na tej liście mógł o tym wiedzieć.

Deszcz nagle przybrał na sile i obaj detektywi schronili się do landrovera. Yanbrugh wyjął termos z koszyka umieszczonego pod fotelem i nalał kawy do dwóch plastikowych kubków. Podał jeden sierżantowi, ten zaś rzekł:

— Jeśli pańskie przypuszczenie jest słuszne, Rogan może być w tej chwili daleko stąd, może nawet w Irlandii.

Yanbrugh pokręcił głową.

— Pierwsi byśmy o tym wiedzieli. Rogan to żywa legenda, niech pan o tym nie zapomina. Jego powrót do kraju byłby sensacją.

Nabił fajkę, Dwyer zaś spytał z wahaniem:

— Myśli pan, że go dostaniemy?

— Mam nadzieję, że nie, sierżancie. Mam nadzieję, że nie.

Yanbrugh, z fajką w zębach, spojrział na sierżanta z zagadkowym uśmiechem na ustach.

— Dziwi to pana?

— Po prostu nie rozumiem, panie nadinspektorze.

— To proste — mówił Yanbrugh, wkładając do cybucha nową porcję tytoniu i wydmuchując kłąb niebieskiego dymu. — Sean Rogan nie jest kryminalistą, lecz bojownikiem o wolność. To nie znaczy, że się z nim zgadzam. Ale nie zgadzam się też z systemem, który skazuje ludzi takich jak on na odsiadanie kary razem z pospolitymi przestępcami. W każdym razie teraz, gdy IRA zaprzestała działalności terrorystycznej, nie widzę powodu, by Rogan czy któryś z jego towarzyszy miał odsiadywać do końca wyrok.

— To rzeczywiście nie ma sensu.

Yanbrugh skinął głową zadowolony.

— Mimo to zrobię wszystko, co w mojej mocy, by go złapać i nakryć facetów, którzy mu pomagali.

— To musi być mężczyzna!

— Żeby pan wiedział!

Yanbrugh przytknął zapalną zapałkę za okno i zamyślił się, wspominając przeszłość.

— W czterdziestym trzecim byłem agentem we Francji, a Rogan dowódcą lokalnej partyzantki. Ktoś sypnął i dostałem się w łapy wywiadu niemieckiego.

— Ładna historia!

— Miał tamtędy przejeżdżać pociąg wojskowy zdążający do Nadrenii. Ci z wywiadu urządzili to tak, że pociąg miał mnie zabrać na małej stacyjce — w Blois. Zawieźli mnie tam w eskorcie dwóch czołgów i kompanii piechoty. Bali się ataku partyzantów.

— I co dalej?

— Gdyśmy dojechali do Blois, większość eskorty pozostała na zewnątrz, a mnie poprowadzili do małej poczekalni. Dwaj oficerowie, którzy mnie prowadzili, byli przykuci do mnie kajdankami dla pewności. W poczekalni spotkaliśmy Rogana, w mundurze pułkownika, z sześciu ludźmi. Obezwładnili eskortę i uwolnili mnie.

— No i?

— Mieli na noszach nieprzytomnego faceta, jakiegoś kolaboranta. Gdy nadjechał pociąg, Rogan wyprowadził go na platformę i oddał Niemcom. A ja wskoczyłem w mundur, który dla mnie przygotowali. Wyszliśmy sobie spokojnie ze stacji, minęliśmy eskortę i wsiedliśmy do dwóch niemieckich samochodów. Cała akcja nie trwała dłużej niż pięć minut.

— Boże, ten facet musi mieć stalowe nerwy!

— I głowę. To jeden z tych ludzi, którzy znajdują wyjście z najbardziej beznadziejnej

sytuacji.

Inspektor zapałzył się w nawałnicę za oknem, po czym rzekł:

— Teraz już pan wie, kim jest Sean Rogan.

Po długim milczeniu Dwyer powiedział:

— Sądzi pan, że tracimy czas, tkwiąc tutaj?

— Może — odparł Yanbrugh. — Niech pan zrobi tak: proszę pojechać do Londynu i dowiedzieć się wszystkiego o Soamesie. Niech pan zacznie od Towarzystwa Prawników. Faceci, którzy udają prawników, zwykle mają za sobą praktykę adwokacką. Niech pan zdobędzie listę osób, które w ciągu ostatnich kilku lat otrzymały zakaz wykonywania zawodu.

— A co z tą drugą listą, panie nadinspektorze?

— Z kumplami Rogana z celi? — Yanbrugh skinął głową. — Niech pan ich sprawdzi. Pewnie to nic nie da, ale w tej zabawie nigdy nic nie wiadomo.

— W porządku.

Dwyer wysiadł i ruszył w kierunku swojego samochodu, a Yanbrugh, wychyliwszy się z okna, zawołał za nim:

— Aha, Dwyer!

Sierżant odwrócił się.

— Słucham, panie nadinspektorze?

— To pilne. Mamy mało czasu.

Dwyer zawahał się i widać było, że chce coś powiedzieć; w końcu jednak rozmyślił się i poszedł do samochodu. Gdy podwładny odjechał, nadinspektor rozparł się wygodnie w fotelu i wyjął zapalki, marszcząc brwi z namysłem. Co, u diabła, skłoniło go, by zrobić tę uwagę? Mało czasu na co? Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Ale szósty zmysł, wyćwiczony podczas dwudziestopięcioletniej kariery policyjnej, mówił Dickowi Yanbrughowi, że za tym wszystkim kryje się coś więcej. Więcej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Deszcz miarowo dzwonił o szyby. Colum O'More spojrział w okno i powiedział:

— Wciąż pada, nic, tylko pada.

Spoczywał w fotelu przy kominku, oparłszy łaskę o poręcz; Rogan siedział naprzeciwko, pijąc kawę, wstrząśnięty widomymi oznakami postępu choroby, Twarz Columa była zupełnie szara, skóra policzków zwisała luźno żółtymi fałdami, a dwudniowy zarost dopełniał przykrego obrazu.

— Kiedy ostatni raz byłeś u doktora?

O'More niespokojnie poprawił się w fotelu i machnął niecierpliwie ręką.

— Przestań martwić się o mnie. Czuję się lepiej, niż na to wyglądam. Mamy ważniejsze sprawy na głowie.

— Rób, jak uważasz — powiedział Rogan, przypalając papierosa kawałkiem drewna wyjętym z kominka. — Co o tym sądzisz?

— O twoim planie? — zachichotał O'More. — Tego się właśnie po tobie spodziewałem: jest prosty, ale wymaga stalowych nerwów.

— Myślisz, że to się uda?

— Nie widzę powodu, żeby miało się nie udać, jeśli będziecie się trzymać planu.

— Widzisz jakieś słabe punkty?

Stary nabił fajkę marszcząc czoło.

— W pół godziny później zatrzymuje się w Rigg pociąg towarowy; zostawia paszę i maszyny rolnicze dla okolicznych farmerów.

Rogan wzruszył ramionami.

— To nam daje dwadzieścia pięć minut na wyniesienie się stamtąd.

— Ale to za mało, by dojechać tutaj. Jak tylko odkryją, co się stało, wszędzie zaroi się od gliniarzy. Pamiętaj, że w górach jest niewiele dróg; z łatwością odetną wam odwrót.

— Wystarczy, jeśli zdążę dojechać do zagrody Costella w Scardale. Przyjedziemy do ciebie w sobotę.

O'More zmarszczył brwi.

— Zatrzymają was!

— Mam na to sposób — uspokoił go Rogan, podstawiając kubek Hannie, która wróciła z kuchni z dzbankiem świeżo zaparzonej kawy. — W takich sytuacjach najgorzej jest dorwać szybki samochód. Przekonałem się o tym wielokrotnie, działając we francuskim ruchu oporu. Stary furgon, zdezelowana ciężarówka, wyciągająca ledwie czterdziestkę, załadowana sianem lub rzepą albo wioząca świnie — to najlepsze rozwiązanie. Najważniejsza rzecz to sprawiać wrażenie, że wykonujesz swoje codzienne obowiązki.

— To brzmi przekonywająco. Masz coś na oku?

Rogan zwrócił się do Hanny:

— Mówiłaś, że twój stryj ostatnio sprzedawał owce. Gdzie?

— Czasami oddawał je hurtownikowi w Kendal, czasami sam sprzedawał na targu.

— Czy w sobotę jest tu gdzieś w okolicy jarmark?

Dziewczyna skinęła głową.

— W Miliom. Pięć do sześciu mil na południe stąd.

— Doskonale — powiedział Rogan. — Pojedziemy ciężarówką Costella; załadujemy na przyczepę z tuzin owiec. Myślę, że policja nie powinna nas zaczepiać.

— Na szosie będą też ciężarówki innych farmerów.

— No więc postanowione.

Colum O'More skinął głową, ale twarz miał wciąż zatroskaną.

— Jedna rzecz nie daje mi spokoju. Z tego, co wiem o zasadach bezpieczeństwa tych strzeżonych transportów, kierowca dwukrotnie nawiązuje łączność radiową z główną komendą policji w hrabstwie. Najpierw meldują o przybyciu na stację w Rigg, a następnie o wykonaniu zadania. W jaki sposób nadacie drugi meldunek? Przecież jeśli policja go nie otrzyma, od razu wyślą radiowóz, żeby sprawdzić, co się stało.

— Pomyślałem o tym — odparł Rogan. — Jest tylko jedno wyjście. Musimy poprosić obsługę pociągu, żeby za nas zadzwonili. Powiemy, że telefon w samochodzie przestał działać, że mieliśmy uszkodzenie czy coś takiego. Nie powinno to wzbudzić podejrzeń — takie rzeczy się zdarzają.

Przez dłuższą chwilę w pokoju panowała cisza, wreszcie stan uderzył się po kolanach i zawołał:

— Boże drogi, to się naprawdę uda. Sean!

I zwracając się do dziewczyny, zapytał:

— Co ty na to, Hanno?

— To wy jesteście ekspertami — odparła dziewczyna, zabierając tacę ze stołu. — Zrobię coś do jedzenia — dodała i wyszła z salonu.

O'More roześmiał się wesoło.

— Czuję się, jakby mi dziesięć lat ubyło.

— Nie mów hop! — mitygował go Rogan, podchodząc do okna i wyglądając

w deszcz. — A Soames i Jack Pope — co oni mają z tym wspólnego?

— Nic — odparł Colum. — Zapłaciłem im z góry za tamtą usługą. Nie wiedzą nawet, gdzie przebywamy i jakie mamy zamiary. Soamesa widziałem raz. Pope'a znam tylko z fotografii. Kontaktujemy się listownie na adres Charlesa Granta w Kendal. Zatarłem za sobą wszystkie ślady. Dlatego zdecydowałem się zatrudnić Hannę jako pośrednika. Nawet jej stryj nie wie, gdzie jestem.

— Nie podobało mi się zachowanie Pope'a. Tego wieczora, kiedy uciekłem z więzienia, czekał na mnie w domku letniskowym. Potem, gdy się pożegnaliśmy, stanąłem kawałek za domkiem i wróciłem tam po kryjomu, bo coś mnie tknęło. Zajrzałem przez okno do pokoju: Pope z Soamesem siedzieli przy stole i naradzali się nad czymś.

Stary zmarszczył brwi.

— I co z tego?

— Jack Pope jest teraz w Ambleside i skontaktował się z Morganem. Hanna podsłuchiwała rozmowę Fletchera z Morganem. Z tego, co mówi dziewczyna, wynika, że jej stryj również należy do tego spisku.

— Łajdaki! — wykrzyknął stary. — Sprzedali mnie!

— Przecież to Soames zwerbował ich obu dla ciebie. Od początku się zwąchali. Ile dostali Morgan i Fletcher do tej pory?

— Pięćset każdy. Reszta ma być wypłacona w tydzień po skończonej robocie przez mojego człowieka w Liverpoolu.

Rogan pokręcił głową.

— To za mało, Colum. Ci faceci to zawodowcy. Kiedy pracują na zlecenie, biorą z reguły połowę sumy z góry. Powinieneś od razu coś wyczuć, gdy tylko zgodzili się wziąć tak niską zaliczkę.

— Skąd mogłem wiedzieć — warknął O'More. — Nigdy nie pracowałem z taką hotełotą.

— Nie ma powodu do obaw — powiedział Rogan, podnosząc uspokajająco dłoń i uśmiechając się zimno. — Zaczyna mnie to bawić.

— Mnie też, na Boga!

O'More wyciągnął z szuflady automatycznego kolta z czasów drugiej wojny światowej i popchnął go po stole. Rogan zręcznie chwycił broń, wyjął magazynek, sprawdził i wsunął z powrotem do kolby.

— Dawno tego nie używałem.

— Nie namawiam cię, żebyś pozostawił za sobą trupy, ale taka zabawka zawsze może się przydać — powiedział Colum. — Jak myślisz, kiedy wykonają ruch?

— Na farmie, po skończonej robocie. Gdyby zrobili to wcześniej, popsuliby wszystko. Myślę, że Morgan nie jest taki głupi.

Colum zaklął i walnął się pięścią po chorej nodze.

- Muszę tu siedzieć, kulawy, nikomu niepotrzebny, a ty tam będziesz sam.
- Mam jeszcze Hannę, przynajmniej jej mogę ufać — powiedział Rogan wstając.
- Nie martw się, Colum, najważniejsze to wiedzieć, na czym się stoi.

W tej chwili z kuchni wyszła Hanna zapinając płaszcz.

— Jesteś gotowy?

— Jak zawsze — rzucił Rogan i poklepując starego przyjaciela Mocno po ramieniu, dodał: — Niech każdy robi swoje, Colum. A to jest właśnie jedyna rzecz, którą potrafię robić.

Na dworze łało jak z cebra. Rogan przebiegł przez podwórko, Wskoczył do czekającego samochodu i włączył radio — akurat *zaczęły* się wiadomości. Gdy Rogan słuchał dziennika, nadeszła Hanna i usiadła za kierownicą.

Radio podało wiadomość o kryzysie na Dalekim Wschodzie, o strajku w zakładach samochodowych, o sprzeciwie opozycji wobec polityki rządu w kwestii imigrantów. Ostatnia wiadomość dotyczyła Rogana. Radio informowało, że wciąż przebywa na wolności, że policja dokładnie przeszukuje tereny wrzosowisk i że szef policji jest przekonany, iż wkrótce zbieg zostanie ujęty.

Wysłuchawszy wiadomości, Rogan wyłączył radio i uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Wszystko w porządku. Wracamy na farmę.

Hanna włączyła bieg i zawróciła do głównej drogi.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

— Powtórzmy jeszcze raz cały plan — powiedział Rogan. Pochylił się nad stołem, na którym leżała rozłożona mapa, reszta otoczyła go kołem; Fletcher o mało nie zawadził głową o lampę z wrażenia.

— Paddy wyruszy pierwszy ciężarówką i zaparkuje ją obok glinianek niedaleko Kendal. W pięć minut później my pojedziemy Morrisem; Hanna poprowadzi, a my wsiądziemy z tyłu z fałszywymi workami. Po drodze zabierzemy Paddy'ego.

Rzuciwszy okiem na Morgana, dodał:

— Pan i Fletcher będziecie w mundurach, tak jak powiedziałem.

— Eskorta honorowa — zadrwił Morgan.

— Niech pan da spokój żartom. Zjawimy się w Rigg nie wcześniej niż na pięć minut przed przybyciem transportu. My z Paddym Wejdziemy do środka i unieszkodlimy zawiadowcę. W tym czasie Hanna pojedzie tyłem do wnęki załadunkowej, wy dwaj piorunem Wniesiecie do środka fałszywe worki, a Hanna odjedzie i poczeka na pas przy gliniankach.

Hanna skinęła głową, a Rogan ciągnął:

— Paddy włoży mundur zawiadowcy i będzie zamiatać platformę, my poczekamy na przybycie transportu.

— Strażnicy nie wyjdą z samochodu, póki Paddy im nie powie, że przyjechał pociąg — zauważył Morgan. — Będziemy mieć bardzo mało czasu.

— Po prostu musimy się pośpieszyć. Kiedy tamci dwaj wciągną dwa pierwsze worki do hali bagażowej, załatwicie ich szybko i bez krzyku. Nie cackajcie się z nimi.

— Co potem?

— Pan i Fletcher włożycie ich czapki; to jedyny fragment garderoby, którego nie możemy podrobić.

— A jeśli nie będą pasować?

— To zrobicie coś, żeby pasowały. Włóżcie je na bakier, czy ja wiem co. Potem otworzycie drzwi i wyniesiecie fałszywe worki na platformę.

— Ile?

— Bóg raczy wiedzieć. Zabieramy sześć, a jeśli będzie więcej, skorzystają na tym. Taki worek pełen banknotów może ważyć nawet kwintal. Nie mamy czasu na żadne sztuczki.

— Jak zachowywać się na platformie?

— Musicie mieć oczy i uszy otwarte. Colum twierdzi, że obsługa pociągu zmienia się równie często jak obsługa samochodu, nie powinniście więc wzbudzić niczyich podejrzeń. Trzeba będzie załatwić formalności; pokwitują wam odbiór pieniędzy, rzucicie jakiś dowcip i po sprawie.

— A co z zawiadowcą? Czy możemy być pewni, że Paddy im nie podpadnie?

— Nie ma sprawy. W Rigg nie ma stałego zawiadowcy. Posyłają kogo popadnie z Kendal.

Zapanowała cisza; zerkając na Morgana, Fletcher spytał:

— Co ty na to?

— Plan wydaje się sensowny — powiedział Morgan.

I zwracając się do Rogana:

— A co z workami? Niełatwo je będzie dostać, zwłaszcza tu. w górach.

— Miałem nadzieję, że coś wymyślicie.

— Znam w Manchesterze jednego gościa, który się na tym zna.

— Świetnie — powiedział Rogan. — Jutro rano pojedziecie z Fletcherem do miasta. Przy okazji wyszukacie sobie odpowiednie ubrania; są takie sklepy ze starzyzną, gdzie sprzedają stare mundury z czasów wojny.

— Odpowiada mi to — powiedział Morgan. — Stęskniłem się już za wielkomijskim gwarem.

— Tylko się gdzieś nie zawieruszcie — przykazał Rogan. — Przed wieczorem macie być z powrotem. I zostaw to w spokoju — zwrócił się do Fletchera nalewającego whiskey do kubka. — W piątek musisz być trzeźwy jak świnia.

— Pilnuj swoich interesów, facet, a ja będę pilnował swoich — odparował Fletcher wychodząc na korytarz.

Morgan zapalił papierosa i wrzucił zapałkę w ogień.

— Jedno mnie martwi. Wrócimy na farmę — i co dalej?

— Zaczekamy do soboty, a potem każdy pójdzie w swoją stronę.

— Kiedy podzielimy łupy?

— Nie podzielimy. Wy dostaniecie swoją dolę, tak jak było umówione, przez człowieka Columa w Liverpoolu, dwa tygodnie później.

— A dlaczego nie tutaj, w tym wielkim dniu?

— Rozczarowuje mnie pan, Morgan — pokręcił głową Rogan. — Myślałem, że pan ma olej w głowie. Musimy się trzymać ściśle kontraktu.

— Panu nic nie grozi — zauważył Morgan. — Zawczasu przygotował pan sobie drogę odwrotu. A co ze mną i z Fletcherem? Ani się obejrzymy, jak wszystkie trasy zostaną obstawione przez gliny.

— Więc przeczekajcie tu tydzień albo dwa, póki sprawa nie przyschnie.

Morgan skinął głową.

— Może pan ma rację — powiedział i dodał ziewając: — Chyba się przejdę, a potem w kimono.

— Słusznie.

Kiedy Morgan wyszedł z pokoju, Paddy Costello klasnął w dłonie, śmiejąc się nerwowo.

— Niech Bóg ma nas w swojej opiece. To będzie wielki dzień, panie Rogan. Czuję się znowu młody. Pójdę teraz do kuchni zobaczyć, czy Fletcher obciągnął moją butelkę.

Po wyjściu stryja Hanna podniosła się z fotela, gdzie siedziała w milczeniu przez całą naradę.

— Co z Morganem? Myślisz, że poszedł zadzwonić do Pope'a?

— Sprawdzę to. Miej oko na wszystko, zaraz wrócę.

Wyszedł szybko na korytarz, zdjął z wieszaka płaszcz nieprzemakalny i otworzył drzwi na dwór. Deszcz bębnił o dach i rozpryskiwał się na brukowanym podwórku, tworząc srebrne wstęgi w żółtym świetle padającym z okien domu. Hanna, stojąc w oknie, przyglądała się Roganowi: była spokojna, na jej twarzy malował się wyraz powagi Rogan poczuł nieprzewartą chęć pogłaskania dziewczyny czule pr twarży, by dać do zrozumienia, że mu na niej zależy. Ale nie było n, to czasu; może już nigdy nie będzie na to czasu.

Szedł spiesznie w ciemności droga wiodącą przez trawiaste siodło wzgórza. U wyłotu, przy szosie, spostrzegł Morgana w oświetlone budce telefonicznej o jakieś sto metrów dalej. Kryjąc się w cieniu zbliżył się do budki na odległość dziesięciu metrów i ukrył za krzakiem

Morgan skończył rozmawiać, odłożył słuchawkę, otworzył drzwi budki i spoglądając w deszcz, zapalił papierosa. Rogan czekał; strug deszczu spływały mu po głowie, po twarzy. Gdyby nie ciężarówka jadąca w kierunku Ambleside, Morgan, stojący w oświetlonej budce telefonicznej, wydałby mu się jedynym mieszkańcem tego mrocznego świata.

Minęło dwadzieścia minut, wreszcie do uszu Rogana doszedł słaby warkot silnika od strony Ambleside. Po chwili z deszczu wyłonił się mały samochód, zatrzymał obok budki, a przez okno wychylił się Jack Pope i skinął na Morgana. Morgan wsiadł do auta i zaczęli rozmawiać, Rogan nie mógł usłyszeć ani słowa, toteż po chwili wycofał się ze swego stanowiska obserwacyjnego i ruszył z powrotem.

Cokolwiek Morgan i Pope mieli sobie do powiedzenia, nie ulegało wątpliwości, że chodzi o interesy. Ale gdzie się podziewa Soames, co porabia w tej chwili? Rogan wiele

by dał, żeby się tego dowiedzieć A może to Soames wszystkim kieruje? Bóg raczy wiedzieć — adwokat nie wyglądał na człowieka czynu.

Deszcz zdawał się przybierać na sile; wciągnawszy głowę w ramiona, Rogan spiesznie wracał do domu. Obszedłszy siodło wzgórze, ujrzał po prawej stronie, w dolinie, światła farmy; Hanna wołała go głośno po imieniu. Biegł ku domowi, rozbryzgując kałuże, nie zważając na nic, mając dziwne uczucie nierealności świata wokół — i nagle zobaczył w drzwiach sylwetkę dziewczyny. Hanna walczyła z Fletcherem, wpijając mu w twarz paznokcie. Obok, w kałuży, klęczał z zakrwawioną twarzą Brendan. Rogan sadydził ogromnymi susami czując, jak wzbiera w nim zimna, nieubłagana wściekłość.

Hanna miała rozdartą do pasa sukienkę; Fletcher, trzęsąc się od pijackiego śmiechu, usiłował pocałować dziewczynę — odwróciła głowę i wtedy Rogan ujrzał jej twarz. Nie było w niej strachu, tylko dzika furia i obrzydzenie. Dopadłszy Fletchera, Sean chwycił za kołnierz napastnika i jednym silnym ruchem odepchnął od dziewczyny.

Fletcher zatoczył się, stracił równowagę i opadł na kolana. Przez chwile trwał w tej pozycji, spoglądając ogłupiałym wzrokiem na niespodziewanego przeciwnika, wreszcie poderwał się z dzikim okrzykiem i rzucił na Rogana, wyciągając obnażone muskularne ręce.

Rogan zrobił zwód i uderzył napastnika kantem dłoni w okolicę nerek; Fletcher runął jak długi i krzyknawszy przeraźliwie, uderzył głową o ścianę. Gdy się odwrócił, Rogan wymierzył mu potężny cios w żołądek. Fletcher padł na kolana i oklapł jak balon, z którego uszło powietrze,

Sean zbliżył się do przeciwnika, gdy wtem potężna łapa chwyciła go za kostkę i szarpnęła; stracił równowagę i runął na kamienie. Łapa Fletchera zacisnęła się na gardle Seana. Rogan chwycił tamtego za rękę i potoczyli się, spleceni w morderczym uścisku, po ociekającym wodą podwórku, uderzając o ścianę obok kadzi z deszczówką. Wreszcie Roganowi nadludzkim wysiłkiem udało się uwolnić od napastnika i wstać. Fletcher, trzymając się kadzi, podźwignął się również. Gdy stanął na równe nogi, Rogan znów wymierzył mu cios w żołądek. Fletcher zgiał się wpół i w tej samej chwili twarde jak stal kolano trafiło go w twarz; bandyta runął w tył i wpadł głową do koryta z wodą, Rogan przysiadł na brzegu koryta, ciężko dysząc. Po chwili złapał Fletchera za koszulę i wciągnawszy go z wody, rzucił na brukowane podwórko. Wtedy odwrócił się i spostrzegł Hannę i stojącego obok niej Morgana. Gdy się odezwał, nie poznał własnego głosu, krew waliła mu w skroniach.

— Powiedz swojemu kumplowi, że jeśli go jeszcze raz zobaczę z butelką, rozbiję mu ją na łbie.

Odepchnął gwałtownie Morgana i zataczając się przeszedł przez podwórko w kierunku domu.

Ocknął się w fotelu przy kominku; Hanna mokrym ręcznikiem ocierała mu krew

z twarzy; łzy spływały jej po policzkach. Rogan chwycił dziewczynę w ramiona, przycisnął wargi do jej chłodnych ust czując się tak, jakby zawsze do siebie należeli.

Na dworze Morgan przykucnął obok Fleischera, wijącego się z bólu, z na pół przy-
mkniętymi oczami.

— Jak to mówiłeś, Jesse? – zadrwił z rannego. — Irlandzki osiłek? Jeden celny cios i po krzyku?

Roześmiał się z pogania, odwrócił się i wszedł do domu, zostawiając Fletchera na deszczu.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Następnego dnia, zaraz po śniadaniu, Morgan i Fletcher pojechali do Manchesteru. Fletcher był ponury jak noc i rzucał Roganowi nienawistne spojrzenia.

Sean stał w bramie, odprowadzając wzrokiem samochód, który oddala! się błotnistą drogą. Gdy zniknął mu z oczu, odwrócił się i spojrzał na góry. Czuł się rozluźniony i spokojny. Poranek był jasny i czysty: wokoło rozciągał się fioletowy kobierzec wrzosów, a jesienna mgiełka spowijała wszystko.

Sean odwrócił się — obok stała Hanna, przyglądając mu się z uśmiechem na twarzy.

— Ładny ranek — powiedziała.

— Kiedy ci dwaj pojechali, czuję się tak, jakbym pozbył się przykrego smaku na języku.

Rogan odetchnął pełną piersią, wciągając chłodny powiew wiatru, który zerwawszy się nagle nad potokiem w dolince, przyniósł ze sobą wilgotny zapach butwiejących liści.

— Jesień, moja ulubiona pora roku — powiedziała Hanna. — Ma w sobie jakiś łagodny smutek. Marzenia unoszą się w powietrzu niby lekka mgiełka i ociągają się chwilę, by zniknąć na zawsze.

Powiedziała to tonem chwytającym za serce; Rogan poczuł się głęboko wzruszony i wyciągnawszy rękę, pogłaskał dziewczynę delikatnie po policzku. Pochyliła głowę i pocałowała jego dłoń, zarumieniona i śliczna.

— Na co masz ochotę? — spytał. — Wygląda na to, że mamy cały dzień dla siebie.

Hanna odwróciła głowę i mrużąc oczy ocienione długimi rzęsami spojrzała ku skalistemu masywowi górskiemu.

— Chyba chciałabym pójść w góry. Przyjemnie byłoby znaleźć się tam wysoko i popatrzeć na świat w dole. Przygotuję trochę kanapek na drogę.

— To brzmi zachęcająco — powiedział Rogan, — A co z twoim stryjem?

— Odsypia wczorajsze pijaństwo. Brendan poszedł w góry pół godziny temu. Pew-

nie go tam spotkamy.

Wrócili do domu: Hanna poszła do kuchni, Rogan golił się w łazience. Gdy skończył, włożył ten sam płaszcz przeciwdeszczowy, w którym poprzedniego wieczoru śledził Morgana, stara tweedowa czapkę i wyszedłszy przed dom, czekał na Hannę. Po kilku minutach dziewczyna ukazała się w drzwiach: ubrana była w skórzane botki do kolan, dzinsy i kożuszek. Na głowie miała opaskę, w ręku trzymała stary wojskowy plecak.

— Daj mi to — powiedział Rogan, wyjmując jej z ręki plecak i wkładając go na ramiona.

Niebo ponad górami poszarzało, groźne chmury ukazały się nad horyzontem, słońce było zamglone, ale nie zanościło się na deszcz. Wyszli przez bramę i ruszyli doliną.

Stary trakt dosłownie ginął pod puszystym kobiercem mchu, kępy wybujałej trawy tryskały pomiędzy kamieni; droga, przytulona do zbocza, prowadziła lekko pod górę. Minęli siodło górskie i w dole, w malej kotlinie, ujrzeli ruiny starego osiedla górniczego. Gdy ruszyli po zboczu, dosięgła ich gwałtowna nawałnica; strugi deszczu wlewały się pomiędzy sterczące ściany domów pozbawionych dachów, jakby podkreślając charakter tego szczególnego miejsca.

— Tu musiało być kiedyś wspaniale — powiedział Rogan.

Hanna skinęła głową.

— Kiedyś przejrzałam książkę na ten temat w bibliotece w Ambleside. W najlepszym okresie w osadzie mieszkało dwieście do trzystu osób. Wydobywali tu ołów podczas wojen napoleońskich.

— A co się później stało z tym osiedlem?

— Złoże wyczerpały się około tysiąc osiemset dwudziestego roku — odparła Hanna wzdychając. — Na samą myśl o tym smutno się człowiekowi robi na duszy. Kiedyś la okolica tętniła życiem; ludzie się kochali, wzgórze rozbrzmiewały śmiechem i krzykami dzieci, w niedzielę biły dzwony w kościele — i nagle ołów się kończy i wszystko zamiera.

— Takie jest życie — powiedział cicho Rogan. — Złoże wyczerpuje się akurat wtedy, gdy najmniej się tego spodziewasz.

Hanna zwróciła ku niemu głowę; w oczach miała smutek.

— To nie *fair*, co? Życie nie głaszcze ludzi po głowach. Harujesz, wysilasz się, a potem dostajesz kopa.

— Bóg skraca cierpienia — uśmiechnął się Rogan. — To jedno z powiedzonek mojej babki.

— Wierzysz w to?

Rogan wzruszył ramionami.

— Wierzę w nadzieję, Hanno. Nadzieja zwycięża wszystko, bez niej życie nie miałoby sensu.

Zatrzymali się obok kościółka; Rogan przeczytał na wpół zatarty napis na pokrytej mchem tabliczce nad drzwiami: *Kaplica Metodystów w Scardale 1805*.

— Rok bitwy pod Trafalgarem — powiedział. — Stare dzieje.

— Jedno ze wspaniałych brytyjskich zwycięstw?

Rogan skrzywił się,

— Wśród załogi statku flagowego Nelsona było ponad pięćdziesięciu Amerykanów i dwa razy tylu Irlandczyków. Brytyjczycy mieli swoje sposoby.

— Człowiek codziennie dowiaduje się czegoś nowego.

Poszli dalej w dół po zboczu, główną drogą wioski, aż doszli do potężnej tamy zbudowanej z wielkich granitowych bloków, zwietrzałych i omszałych ze starości. Strumień przepływał przez wąski otwór u dołu tamy. Po drugiej stronie zapory, położone wyżej na wzgórzach, znajdowały się szyby kopalń. W kamiennym ogrodzeniu ujrzeli słoczone stadko dwunastu lub piętnastu owiec, kilka metrów dalej na potężnym okrągłym siedział Brendan Costello, zabawiając się wrzucaniem patyków do wody. Hanna zawołała go po imieniu i chłopak odwrócił szybko głowę; czarne oczy jarzyły się w bladej twarzy. Podbiegł do nich, skinął głową Roganowi, uśmiechając się nieśmiało. Hanna czule przejechała dłonią po jego czuprynie.

— Co robisz?

Brendan mówił krótkimi, urywanymi zdaniami, starając się opanować jąkanie i unikając słów, które sprawiały mu największą trudność.

— K-kazał m-mi przeprowadzić d-dużo owiec.

Hanna skinęła głową.

— Zostaniemy tu dłużej, wzięliśmy ze sobą kanapki. Chcesz zjeść z nami lunch.?

Chłopiec z wrażenia dostał wypieków na twarzy i zerkając ku Roganowi spytał:

— M-mogę?

— Jeśli masz ochotę.

— P-pokaże p-panu Długi Skrót. N-na pewno się p-panu sp-po-doba.

Rogan spojrział pytająco na Hannę,

— Długi Skrót?

Dziewczyna wskazała ręką zachodni koniec tamy, ginący w bujnej kępie krzaków rosnących na krawędzi wysokiego urwiska,

— Obejrzymy go sobie dokładnie, jeśli masz ochotę. Stąd nie widać wejścia, ale jest tam długi tunel. Górnicy przebili się przez wzgórze aż do doliny po drugiej stronie grzbietu górskiego. Jest to rodzaj kanału, którym spławiali rudę.

Okrążywszy kraniec tamy i minawszy kępę drzew, ujrzeli zmurszały pomost i ciemną czeluść wejścia do tunelu. Korytarz był bardzo niski; Rogan przykucnął i zajrzał do środka: z drugiej strony dostrzegł małeńki krąg światła.

— Jaką ma długość?

— Około sześciuset do siedmiuset metrów.

Rogan gwizdnął przez zęby.

— Musiało ich to kosztować sporo wysiłku.

— W tym miejscu był naturalny system pieczar. Myślę, że wystarczyło połączyć je ze sobą. Przedtem oczywiście nie było tu wody, dlatego zbudowali tamę.

— Mimo wszystko jest to dzieło godne podziwu.

— Możemy przedostać się na drugą stronę tunelem, jeśli masz ochotę.

Dziewczyna wskazała kciukiem za siebie, Rogan odwrócił się i zobaczył, że chłopiec wyciąga z kępy krzaków obok tamy płaskodenkę, jakich używają myśliwi polujący na ptactwo wodne. Chłopiec opuścił łódź, która zakołysała się na spokojnej toni; na dnie znajdowało się parę centymetrów wody.

Rogan uśmiechnął się niepewnie.

— Czy aby jest bezpieczna?

Hanna wskoczyła do łódki i usiadła na drewnianej ławeczce.

— Bardziej mokry już nie możesz być — roześmiała się.

Rogan poszedł w jej ślady. Ogarnęła go zimna, lepka ciemność, wąski korytarz z oślizłymi ścianami, z których nieustannie kapała woda. Tunel był tak niski, że Rogan musiał się schylić; obejrawszy się przez ramię, stwierdził, że Brendan, leżąc na plecach, przesuwa do przodu łódkę, odpychając się stopami od stropu. Po jakimś czasie dotarli do obszernej, wysoko sklepionej pieczary, gdzie najmniejszy hałas rozlegał się potężnym echem; dalej znów ciągnął się tunel. Minawszy kilka jaskiń, dotarli do ostatniego odcinka kanału, którego wylot rósł w oczach.

Opuściwszy tunel, natrafili na drugą zaporę i łódź uderzyła o kamienny pomost. Brendan wygramolił się na brzeg i przywiązał ją do zardzewiałego żelaznego pierścienia. Rogan wyskoczył na pomost i podał rękę Hannie, pomagając jej wysiąść.

Poszli przez zagajnik, mijając po drodze kilka rozpadających się budynków. Zachowała się jeszcze stajnia, przykryta dachem z blachy falistej. Nowe, mocne, drewniane wrota zamknięte były na kłódkę.

— Co tam jest w środku? — spytał Rogan.

Brendan puścił się biegiem i wnet wyciągnął klucz spod kamienia leżącego obok drzwi. Otworzył kłódkę, zdjął łańcuch i pchnął drewniane wrota. W środku stał stary dżip; zamiast brezentowej plandeki miał nowy dach sklecony z aluminiowej blachy. Oliwkowa karoseria nosiła ślady licznych zadrapań i otarć.

Rogan zrzucił plecak i usiadł za kierownicą.

— Dawno nie prowadziłem takiego dżipa. Musi mieć ze dwadzieścia lat.

Wyciągnął manetkę gazu i włączył starter; silnik od razu zaskoczył.

— Do kogo należy?

— Cała ta dolina to jedna wielka owcza farma, własność jakiegoś syndykatu — wy-

jaśniła Hanna. — Tak teraz wygląda rolnictwo. Trzymają tu zawsze w pogotowiu dżipa albo landrover z pełnym bakiem. Te samochody sprawdzają się, zwłaszcza przy złej pogodzie. Pasterze używają ich tak, jak niegdyś używali koni.

Rogan wysiadł z samochodu i wszyscy troje opuścili stajnię. Brendan zamknął drzwi na kłódkę i ukrył klucz pod kamieniem. Poprzez zasłonę deszczu Rogan dostrzegł tafelę wody w dolinie.

— Co to? — spytał.

— Rydal Water. Jeśli się zejdzie niżej, widać również jezioro Grasmere, na zachód stąd.

Rogan wyjął z kieszeni kurtki mapę wojskową i przykleknąwszy rozłożył ją na kolanie.

— Przypuśćmy, że mój plan nie wypalił i chcę się dostać stąd do Marsh-End. Jak by to wyglądało?

Hanna spojrzała na mapę marszcząc brwi.

— Owszem, jest pewien sposób. Znalazłam tu przypadkiem drogę, kiedy chciałam zgubić stryja. Zejdźmy niżej, to ci ją pokażę.

Zeszli ścieżką prowadzącą po zboczu jakieś sto metrów i zobaczyli oba jeziora: Rydal Water i Grasmere.

— Widzisz strumień łączący oba jeziora? — spytała Hanna. — Jest tam brama, za bramą mostek, a za mostkiem zaczyna się droga prowadząca do Elterwater. Stamtąd wyjeżdża się na szosę — niebezpieczną, bo pozbawioną barierek — która prowadzi przez przełęcz Wrynose. Około sześciu mil za przełęczą droga się rozwidla. Trzebajechać odgałęzieniem wzdłuż doliny rzeki Duddon na Seathwaite i Ulpha; po przejechaniu dziesięciu mil trafia się na drogę do Whicham.

— Jak daleko jest stamtąd do Whicham?

— Dziewięć do dziesięciu mil.

— A Marsh-End leży na wybrzeżu, dwie mile stamtąd — dokończył Rogan kiwając głową. — Nikt tamtędy nie jeździ?

— Nie sędzę. Nie o tej porze roku. Weź pod uwagę, że przy złej pogodzie ciężko jest przedostać się przez przełęcz. Trzeba mieć dobry wóz, zwłaszcza jeśli ma się ładunek. Ciężarówka stryja zdecydowanie nie dałaby rady.

— Na pewno nie użyłbym ciężarówki w sytuacji, o której myślę. — Zapalił papierosa, postawił stopę na kamieniu i oparł łokieć na kolanie. — Scardale to prawdziwa pułapka, gdyż prowadzi tam tylko jedna droga. Myślę, że w razie awarii Długi Skrót Brendan zapewni nam bezpieczny odwrót, zwłaszcza jeśli użyjemy dżipa.

— Rezygnujesz z planu użycia ciężarówki stryja?

Rogan pokręcił przecząco głową.

— Tylko wtedy, gdy nie będzie innego wyjścia. Czy twój stryj wie o Długim Skró-

cie?

Hanna skinęła głową.

— Ale nigdy nie przedostał się tunelem na drugą stronę. Zdaje się, że uważa to za niemożliwe.

— To znaczy, że Morgan i Fletcher nie wiedzą o tym? — spytał retorycznie i kiwnął głową, uśmiechając się złośliwie. — No wiec załatwione. Co robimy?

Hanna spojrzała poprzez zasłonę deszczu ku szczytowi Scardale Fell, spowitemu w nisko ciągnące chmury i mgły.

— Możemy wspiąć się na sam szczyt. Jest tam chatka służąca za schronienie turystom. Moglibyśmy zjeść tam lunch. Brendan odprowadzi łódź tunelem i dołączy do nas od drugiej strony.

Chłopiec ochoczo skinął głową, odwrócił się i pobiegł do przystani. Tymczasem Rogan i Hanna ruszyli pod górę, idąc obok siebie wąskim, krętym szlakiem wiodącym wśród namokłych, więdnących paproci. Po jakimś czasie ścieżka zwęziła się jeszcze bardziej i Hanna wyprzedziła Rogana, służąc mu za przewodnika. Sean przyglądał się, jak wchodzi, zgięta w pół, po zboczu. Dziewczyna odwróciła głowę uśmiechając się do niego i Rogan aż zdumiał się, że jest taka piękna.

— Jak ci idzie?

— Nie martw się o mnie — odparł. — To jeszcze ze trzydzieści metrów albo trochę więcej.

Brnął dalej w ulewnym deszczu, a gdy doszli do szczytu, owładnęło nim dziwne uczucie, że to wszystko już się kiedyś zdarzyło. Psychologowie nazywają to uczuciem *deja vu* — już to kiedyś widziałem. Cóż to mogło być? I nagle niemal to zobaczył.

Wrzesień czterdziestego trzeciego. Przechodzili przez Pireneje z Francji do Hiszpanii z papierami, które musiały dotrzeć w ciągu tygodnia do Gibraltaru. Padało jak diabli, a na dobitkę patrol niemiecki deptał im po piętach. Rogan przypomniał sobie, jak wspinali się zboczem, zupełnie tak jak teraz, on i baskijski góral przewodnik idący przodem. I nagle rozległ się wystrzał, zagłuszony ulewnym deszczem. Mężczyzna idący przed nim odwrócił się — miał ciemną dziurę między oczami i wyraz zdziwienia na twarzy. Rogan skoczył w zarośla i pędził jak szalony, ratując skórę.

Ocknął się nagle — Hanna wołała go po imieniu. Spojrzał w górę i zobaczył ją stojącą obok niskiej chaty, zbudowanej z ogromnych bloków skalnych i betonu na małym płaskowyżu piętnaście metrów powyżej.

— Brendana nie widać? — spytał, znalazłszy się obok dziewczyny.

Hanna zaprzeczyła ruchem głowy.

— Zajmie mu to jeszcze co najmniej dwadzieścia minut. Tamta ściana jest trudniejsza.

W schronisku były drewniane ławki, stół i palenisko. Usiedli; Rogan zdjął plecak,

Hanna wyjęła kanapki, owoce i termos.

— Chcesz jeść, czy poczekamy na Brendana?

— Poczekajmy z jedzeniem, ale chętnie napiję się kawy.

Rogan zapalił papierosa i przez chwilę siedzieli w milczeniu obok siebie. Wreszcie

Hanna spytała niepewnie:

— To się uda, prawda, Sean?

Rogan skinął głową i powiedział pewnym głosem:

— Oczywiście.

— A co potem?

— Wrócę do domu — odparł. — Do Kerry, na farmę ojca, o której ci mówiłem.

— I do kobiety?

Rogan pogłaskał ją po policzku.

— Jestem dla ciebie o dwadzieścia lat za stary, pomyślałaś o tym?

— Spędziłeś dużo czasu w więzieniu — odparła z figlarnym błyskiem w oku. — Nadrobienie tego zajmie mi sporo czasu.

Rogan roześmiał się serdecznie i przejechał ręką po włosach, powiedział:

— To najbardziej niebezpieczne słowa w twoim życiu, dziewczyno.

Hanna przytrzymała jego dłoń, śmiejąc się także, po czym umilkła i pocałowała Seana w rękę. Zerwał się z miejsca, aż ławka klapnęła o posadzkę, i obszedłszy stół porwał dziewczynę w ramiona. Miała łzy na policzkach, drżała. Sean odsunął ją na wyciągnięcie ramion.

— Wprawdzie nie jest to odpowiednie miejsce do zadawania takich pytań, ale czy ktoś już kiedyś prosił cię o rękę?

Słowa te zrobiły na Hannie piorunujące wrażenie. Przez chwilę wpatrywała się w Rogana zdumionym wzrokiem, wreszcie wtuliła się w jego ramiona, opierając głowę na piersi mężczyzny. Gdy znów podniosła twarz, jej oczy błyszczały gorączkowym blaskiem.

— Teraz nic się już nie liczy. Nic.

— Wiem, Hanno, wiem.

W tej chwili rozległ się łoskot kamieni spadających po zboczu powyżej płaskowyżu; Hanna odsunęła się szybko od Rogana i otarła oczy. Usiadła przy stole i zaczęła rozpakowywać kanapki; w drzwiach stanął Brendan. Zbliżył się do nich nieśmiało, a Rogan poklepał go życzliwie po ramieniu i powiedział:

— Usiądź, synu, czekaliśmy na ciebie.

Brendan wziął od Hanny kanapkę, ugryzł i westchnął zadowolony. I o dziwo — gdy przemówił, nie jąkał się ani trochę.

— Chciałbym, żeby ten dzień nigdy się nie skończył, proszę pana. Miał pan kiedy ta-

kie uczucie?

Rogan spojrział na Hannę i wiedząc, o czym myśli, powiedział:

— Nic nie trwa wiecznie, synu, z tym trzeba się pogodzić.

Hanna spochmurniała, jej twarz była nieruchoma i bez wyrazu, jak maska. Rogan westchnął, wstał i wyjrzał na dwór. Deszcz padał coraz mocniej i Sean poczuł przygnębienie. Jak by nie patrzeć, życie nie ma ani początku, ani końca, trwa wiecznie w tym samym kształcie, pochłaniając bez różnicy złe i dobre uczynki człowieka. Los zetknął go z tą dziewczyną, tak jak zetknął go z Columem O'More'em i Harrym Morganem, i wszystko, co kiedykolwiek zrobił w życiu, ułożyło się w ścieżkę prowadzącą właśnie do tego miejsca. Nie ma sensu czegokolwiek żałować. Jeśli się wyrwie jedną cegiełkę, całość przestaje istnieć. Dziwna myśl. Westchnął i wrócił do stołu.

Późnym popołudniem, gdy w dolinach zaczęły zalegać cienie, ruszyli w drogę powrotną. Gdy okrążyli wzgórze dzielące ich od farmy, ujrzeli samochód Hanny wjeżdżający na podwórko. Z wozu wysiedli dwaj mężczyźni; Fletcher poszedł prosto do domu, Morgan tymczasem zatrzymał się, czekając na nich.

— Paskudny dzień na wycieczkę w góry — zauważył ze swym zwykłym sardonycznym uśmiechem.

— Mieliście kłopoty?

Morgan zaprzeczył ruchem głowy. Otworzył tylne drzwi wozu i odchylił koc, pod którym leżały cztery worki pocztowe, starannie złożone, i dwa mundury zawinięte w szary papier.

— Tylko cztery dostaliście?

Morgan skinął głową.

— Tyle miał pod ręką. Gdybyśmy poczekali, postarałby o więcej, ale mieliśmy przecież wrócić przed wieczorem.

Tymczasem Hanna z Brendanem weszli do domu i dwaj mężczyźni zostali sami na deszczu.

— To by było na tyle — powiedział Rogan. — Teraz pozostaje nam tylko czekać.

— To by było na tyle — zawtórował mu Morgan, a w jego głosie pobrzmiwał drwiący ton.

Rogan popatrzył na tamtego przeciągle, a gdy mężczyzna zaczerwienił się i spuścił oczy, Sean odwrócił się i wszedł do domu.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Yanbrugh dotarł do Dworca Paddington około południa. Dwyer czekał już na niego przy wyjściu z peronu. Poszli do restauracji, zamówili kawę i usiedli przy stoliku w rogu sali. Nadinspektor wyglądał na zmęczonego; zapalił papierosa, co rzadko mu się zdarzało.

— Trafił pan na ślad Pope'a?

— Po tym, jak wysłałem panu wczoraj zdjęcia i te dokumenty, próbowałem go szukać pod innym adresem. To niedaleko stąd. Gospodyni powiedziała, że wyprowadził się tydzień temu, nie zostawiając nowego adresu. Posłałem paru ludzi, żeby go szukali, ale to beznadziejna sprawa. Zna pan aktualny stan osobowy wydziału.

— Komu pan to mówi? — rzucił Yanbrugh trąc twarz ze zmęczenia. — Niech pan da sobie spokój, Pope wyniósł się z miasta.

— Znalazł go pan, panie nadinspektorze?

Yanbrugh zaprzeczył ruchem głowy.

— Wiem tylko tyle, że ostatniej soboty wynajął samochód w Taunton. Kierownik wypożyczalni rozpoznał go na zdjęciu, które pan przysłał.

— Wypożyczenie auta to jeszcze nie przestępstwo.

— Zapewne, ale przebywanie w pobliżu więzienia w czasie ucieczki jego kolegi — tak.

— Więc sądzi pan, że Rogan nie ukrywa się w pobliżu więzienia?

Yanbrugh roześmiał się drwiąco.

— Jak to mówią? Nikt nie wydostanie się poza obręb wrzosowisk? A jednak Rogan się wydostał i to najprawdopodobniej w ciągu godziny od przekroczenia murów więzienia. Wszystko zdaje się na to wskazywać.

— W takim razie musi być w Irlandii, proszę pana. To już czwarty dzień od jego ucieczki.

— Gdyby dotarł do Irlandii — powiedział Yanbrugh, kręcąc głową — wiedzielibyśmy o tym, może mi pan wierzyć. Nie, nie, na pewno został jeszcze w Anglii, jestem

o tym przekonany. Ale dlaczego — oto pytanie.

Spuścił głowę i marszcząc brwi, wpatrywał się tępo w filiżankę. Wreszcie spytał:

— A co z Soamesem?

— Scott jest na jego tropie. Prawdziwe nazwisko Bertram Greaves. Dziesięć lat temu Towarzystwo Prawnicze odebrało mu prawo wykonywania zawodu za uchybienia w praktyce adwokackiej. Od tego czasu maczał palce w niejednej sprawie, posługując się różnymi nazwiskami. Soames to ostatnie nazwisko na długiej liście.

— Karany?

— Sześć miesięcy za podszywanie się pod cudze nazwisko w pięćdziesiątym ósmym, ale to jedyny taki wypadek. Należy do ludzi, którzy potrafią tańczyć na linie i nie spadają.

— Miejmy nadzieję, że Scott go dopadnie. Tymczasem chciałbym się widzieć z gospodynią Pope'a. Pewnie to strata czasu, ale niczego nie wolno nam zaniedbać.

Dwyer miał służbowy samochód i po dziesięciu minutach zatrzymali się przed domem z czerwonego piaskowca, położonym przy głównej ulicy. Kobieta, która otworzyła drzwi, powitała ich zimno i szorstko. W kąciку jej wąskich ust dyndał niedbale papieros, na głowie miała tanią jedwabną chustkę, a włosy poskręcane w mnóstwo małych loczków.

— Na miłość boską, to znowu pan? — powiedziała uprzejmie na widok Dwycera.

— Gorzej — odparł sierżant. — Nadinspektor Yanbrugh chce z panią mówić.

Na twarzy kobiety zjawił się nikły wyraz szacunku; otworzyła szerzej drzwi.

— Lepiej wejdźmy do środka.

W mieszkaniu uderzył ich odór moczu pomieszany z zapachem gotującego się obiadu; brudny dzieciak, goły od pasa w dół, stał drzwiami kuchni i trzymając palec w buzi, przyglądał się ciekawie. Kobieta zaprowadziła ich na górę i otworzyła drzwi z korytarza.

— Mieszkał tu przez tydzień. W poniedziałek wprowadził się Jamajczyk. Przynajmniej jest trochę porządniejszy od tej hołoty, która zwykle wynajmuje pokój — dodała, jakby pragnąc się usprawiedliwić.

Pokój był prawie pusty: stała tam staromodna szafa na ubranie i mosiężne łóżko; podłoga pokryta była zniszczonym linoleum. Zeszli na dół do nieporządknej kuchni. Kobieta stanęła obok kuchenki i oparła się o nią plecami.

— Wszystko powiedziałam sierżantowi, panie nadinspektorze. Sama bym chciała wiedzieć, gdzie on jest, naprawdę. Nie zapłacił mi.

— Nic więcej sobie pani nie przypomina? Zupełnie nic? — nalegał Yanbrugh. — Może uderzyło panią jakieś określenie, nazwisko, cokolwiek?

Kobieta uparcie kręciła głową.

— Naprawdę nic.

— Nikt go nie odwiedzał?

— Dziewczynki? Prowadzę porządny hotel.

Yanbrugh westchnął z rezygnacją.

— Więc twierdzi pani, że przez ten cały tydzień Jack Pope nie kontaktował się z nikim, nawet listu nie dostał?

— Nie — powiedziała kobieta kręcąc głową i Yanbrugh zwrócił się do wyjścia. — Ale zaraz! Zdaje się, że dostał kartkę. Tak, przypominam sobie.

Zmęczenie w jednej chwili opadło z nadinspektora.

— Kartkę? Skąd? — spytał żywo.

— Na miłość boską, panie nadinspektorze, skąd mogę wiedzieć?!

— Może to była widokówka z jakiejś nadmorskiej miejscowości? — podpowiedział Dwyer.

Kobieta zaprzeczyła ruchem głowy.

— Nie, nic z tych rzeczy. Pamiętam, że byłam trochę zaskoczona. — Nagle twarz jej się rozjaśniła. — Windermere! — wykrzyknęła. — Tak, jezioro Windermere!

Dwyer rzucił nadinspektorowi zdumione spojrzenie.

— Ona chyba żartuje, panie nadinspektorze. Kogo, na Boga, Pope mógłby znać w tamtych stronach?

Yanbrugh zwrócił się do kobiety:

— Bardzo nam pani pomogła. Bardziej, niż się pani wydaje.

Kobieta wzruszyła ramionami.

— To mnie mało wzrusza, panie nadinspektorze. Jeśli pan spotka tego łobuza, niech mu pan powie, że jest mi winien za pokój.

W tej chwili dziecko wybuchnęło płaczem, kobieta pobiegła zobaczyć, co się stało, a Yanbrugh i Dwyer szybko wynieśli się z mieszkania. Gdy wyszli przed dom, kierowca, wychylając się przez okienko, oznajmił:

— Wydział główny do pana nadinspektora. Chcą przekazać pilną wiadomość.

— Niech pan odbierze — zwrócił się Yanbrugh do Dwyer. — Miejmy nadzieję, że to pomyślna wiadomość.

Dwyer wsadził głowę przez okienko, a Yanbrugh zapalił kolejnego papierosa. Uniósł brwi. Lakę District. To zmieniało sprawę. W takim miejscu trudno się było spodziewać obecności ludzi pokroju Pope'a.

W tej chwili Dwyer zawołał podniecony:

— To był Scott! Trafił na ślad Soamesa w Hendon. Jego gospodyni twierdzi, że wyjechał na tydzień w interesach. Tak jej powiedział w sobotę. Od tego czasu go nie widziała.

— Jedziemy tam — powiedział Yanbrugh. — Sprawa nabiera rumieńców.

Znaleźli się w bardziej eleganckiej dzielnicy, spokojnej i dostatniej. Domy otoczone

były dobrze utrzymanymi żywopłotami, ogrody zadbane mimo późnej pory roku. Wyglądało na to, że jeśli Soames i Pope mieli ze sobą coś wspólnego, na pewno nie był to standard życiowy.

Scott czekał na nich w samochodzie przed małym domkiem jednorodzinny na końcu cichej, ślepej uliczki. Policjant był młody, spokojny; równo przycięty wąsik upodabniał go do wojskowego.

— Znalazł pan coś? — spytał Yanbrugh.

Scott pokręcił głową przecząco.

— Wyprowadził się ostatniej soboty. Gospodyni powiedział, że wyjeżdża na tydzień w interesach i od tego czasu wszelki śluch po nim zaginął.

Yanbrugh skinął głową.

— Proszę poczekać na nas, rozejrzemy się. Jak się nazywa gospodyni?

— Jones, proszę pana. Wdowa. Jest wzburzona z powodu całej afery, jeśli wolno założyć.

Pani Jones otworzyła drzwi, gdy tylko weszli na schodki; na pewno podpatrywała ich przez firankę. Miała puciołowatą twarz, wyblakłe, jasnoniebieskie oczy i wyglądała na zrzedę. Ubrana była w zieloną suknię.

— Pani Jones? Yanbrugh, nadinspektor ze Scotland Yardu. A to sierżant Dwyer. Chciałbym zadać pani kilka pytań na temat człowieka nazwiskiem Soames. Zdaje się, że mieszkał u pani?

— Panie nadinspektorze, naprawdę powiedziałam już wszystko temu młodemu człowiekowi, który tu był przed chwilą.

— Mógł przegapić jakiś szczegół — tłumaczył cierpliwie Yanbrugh. — Moglibyśmy zobaczyć pokój pana Soamesa?

Kobieta poprowadziła ich schodami na górę ani na chwilę nie przestając narzekać.

— Co sobie pomyślą inni moi goście? A taki się wydawał porządny ten pan Soames. Prawnik, tak mi powiedział. I że ma praktykę w City.

— Jak długo mieszkał u pani?

— Od początku maja. Sześć miesięcy.

Otworzyła drzwi na końcu wąskiego korytarza i wpuściła policjantów do schludnego, wygodnie urządzonego pokoju. W jednym rogu znajdowała się umywalka, dalej dwie eleganckie szafy na ubranie i czysto zasłane łóżko. Po przeciwległej stronie pokoju, oddzielonej od części sypialnej regałem pełnym książek, przy kominku stało biurko i dwa krzeselka; francuskie okno wychodziło na balkon od strony ogródka.

— Scott dokładnie przeszukał pokój — odezwał się Dwyer. — Nie znalazł żadnych papierów.

Yanbrugh podszedł do biurka i otworzył szybko szuflady, jedną po drugiej. Wszystkie były puste.

— Ostrożny ptaszek z tego Soamesa — zauważył.

Dwyer przeszukał szafy i wyłożył na łóżko znalezione tam rzeczy: szlafrok, dwa garnitury i kilka koszul na wieszakach. Przeszukali dokładnie kieszenie. Nie znaleźli nic godnego uwagi: kilka zużytych biletów autobusowych, jakieś drobne; w szufladach komody znajdowało się trochę bielizny, kilka par skarpetek, kilka ręczników.

Pani Jones przyglądała się rewizji z mieszaniną niepewności i zgrozy na twarzy. Yanbrugh bał się, że gospodyni zapyta ich o nakaz, którego nie mieli. Wychodząc z założenia, że najlepszą obroną jest atak, powiedział surowo:

— Powiedziała pani policjantowi Scottowi, że Soames wyjechał w ostatnią sobotę, czy tak?

— Tak, panie nadinspektorze, przed południem. Pamiętam to dokładnie, gdyż prosił o wcześniejszy lunch. Mówił, że się śpieszy na pociąg.

— Czy wziął taksówkę? — wtrącił Dwyer.

— Na końcu ulicy jest stacja metra. W dzisiejszych czasach, gdy jest taki ruch na ulicach, prędzej dojedzie się kolejką niż taksówką.

— Soames nie powiedział pani, dokąd jedzie?

Kobieta zaprzeczyła ruchem głowy.

— Powiedział tylko, że udaje się w podróż służbową. I że wróci za tydzień, najpóźniej za dziesięć dni.

— Czy przedtem też wyjeżdżał?

— Tak, bardzo często.

— I nigdy nie zostawiał pani adresu, dokąd przesłać na przykład pilną korespondencję?

— Raz go o to spytałam. Powiedział, że to nie ma sensu, bo będzie ciągle w ruchu.

— A jak wyglądało jego życie towarzyskie? Dużo osób go odwiedzało?

— Nikt. Kiedyś mi powiedział, że nie lubi mieszać interesów z życiem prywatnym. To spokojny, dobrze wychowany dżentelmen i nie był zarozumiały. Zwykle wieczorem wychodził do pubu George'a na rogu, ale nigdy nie bawił tani dłużej niż pół godziny. Lubił telewizję i zajmował się ogródkiem. Miał rękę do kwiatów.

— A co z pocztą? Dostawał dużo listów?

Pani Jones wzruszyła ramionami.

— Dwa, trzy listy na dzień, przeważnie okólniki czy coś w tym guście.

— Było tam coś interesującego?

— Mam lepsze rzeczy do roboty, niż przeglądać pocztę moich gości — ofuknęła go kobieta.

— Nie chciałem powiedzieć, że pani jest wścibska — tłumaczył cierpliwie Yanbrugh. — Ale przecież musiała pani codziennie segregować pocztę; kobietę tak inteligentną uderzyłoby coś niezwykłego.

Gospodyni odpowiedziała odruchowo:

— To zabawne, że pan o tym wspomniał, bo właśnie uderzyło mnie, że pan Soames dostawał zawsze pocztę z okolic Londynu, a w ostatnich dniach zaczęły do niego przychodzić listy z różnych miejscowości.

— Przypomina pani sobie którąś z nich?

— Były chyba dwa z Manchesteru i kilka znad jezior. W dniu wyjazdu dostał kartkę z Taunton; to jest na zachodnim wybrzeżu — dodała. — W zeszłym roku byłam tam na wakacjach.

Dwyer, poruszony, postąpił krok naprzód, ale Yanbrugh wstrzymał go ruchem ręki.

— A te listy z obszaru Lake District, pani Jones, czy pamięta pani, z jakiej były miejscowości?

— Oczywiście — powiedziała kobieta — pamiętam dokładnie, bo zaraz na nie odpisywał. Odnosiłam listy na pocztę. Były adresowane do jakiegoś pana Granta w Kendal.

— Przypomina sobie pani adres?

Kobieta pokręciła głową przecząco.

— Niestety nie. Był tam zawsze dopisek „c.o” i jakieś nazwisko. Myślałam, że to jest jakiś pensjonat czy coś takiego.

Przyglądała niecierpliwie włosy.

— Naprawdę, to już wszystko, co wiem, panie nadinspektorze. Yanbrugh uśmiechnął się do niej promiennie.

— Kochana pani Jones, nawet pani nie wie, jak bardzo nam pani pomogła. Nie będziemy już pani więcej niepokoić.

Nadinspektor zbiegł po schodach — Dwyer ledwo mógł za nim nadażyć — otworzył drzwi i poszedł zwirowaną alejką do samochodu, gdzie czekał Scott.

— Poszczyliło się panu, panie nadinspektorze? — spytał.

— Jeszcze jak! — wykrzyknął Yanbrugh i zwracając się do Dwycera, dodał: — Interesująca zbieżność, co? I Soames, i Pope są w kontakcie z kimś w Lake District.

— Ale czego oni tam mogą szukać, na Boga?! — denerwował się Dwyer. — To wszystko nie ma sensu!

— Och, nie wiem — powiedział Yanbrugh. — Ale to odległe, odosobnione miejsce i o tej porze roku nikt im nie będzie przeszkadzać.

— Jeśli oni rzeczywiście tam są — powiedział z naciskiem Dwyer.

Yanbrugh uśmiechnął się krzywo.

— Gdy pan przepracuje w tym zawodzie tyle lat co ja, odkryje pan interesująca prawidłowość, sierżancie. Praca w policji to żmudna rutyna, stawianie pytań i szukanie odpowiedzi, bezczynne wyczekiwanie, mozolne składanie faktów w sensowną całość.

— Wiem o tym, panie nadinspektorze.

— Ale to jeszcze nie wszystko — ciągnął Yanbrugh. — Z biegle; czasu człowiek roz-

wija w sobie dodatkową zdolność; instynkt, ktoś mówi mu, że dana rzecz ma się tak a tak, mimo iż nie potrafi tego dowieść. Dobry glina musi mieć ten szósty zmysł.

Wyjął z kieszeni fajkę i włożywszy ją do ust, z determinacją zacisnął zęby na ustniku.

— Soames i Pope są albo w Kendal, albo gdzieś w pobliżu — powiedział. — Jeszcze nigdy w życiu nie byłem niczego tak pewny.

— A Rogan, panie nadinspcktorze?

Yanbrugh potrząsnął głową i zasępił się.

— Tu mnie pan ma. Rzecz w tym, że to bez sensu. Podobnie ja to, że Rogan miałby iść ręką w rękę z facetami pokroju Soamesa i Pope’a, To po prostu nie w jego stylu.

— Co robimy?

— Jedziemy do biura. Muszę się zobaczyć z zastępcą komisarza i poprosić o delegację do Lake District. Będzie nam potrzebna pomoc tamtejszej policji.

— W Kendal możemy być dopiero o dziewiątej lub dziesiątej wieczór, panie nadinspektorze — zauważył Dwyer. — I tak nic nie zdziałamy do jutra.

— Mówił pan, że Soamesa przytknęli w pięćdziesiątym ósmym — powiedział Yanbrugh. — Niech pan weźmie jego fotografie z akt i prześle je do Kendal wraz ze zdjęciami Pope’a; to najlepsze, co pan teraz może zrobić. Im wcześniej tamtejsza policja zacznie się za nimi rozglądać, tym lepiej.

Gdy samochód ruszył, Yanbrugh usiadł wygodnie w miękkim fotelu; całe zmęczenie opadło z niego jak ręką odjął, czuł ogromne podniecenie objawiające się nerwowym skurczem żołądka. Był pewien, że rozwiązanie meczącej zagadki znajduje się w miejscu, w którym najmniej by się go spodziewał.

W tym samym czasie Soames siedział ukryty w kępie drzew przy szosie wzdłuż wybrzeża. O kilka metrów dalej znajdowała się tablica informacyjna wskazująca drogę do Marsh-End.

Zielona limuzyna z wypożyczalni w Broughton-in-Furness stała niedaleko na polance. Znalazł się tu przypadkiem — czekał na Pope’a, który poszedł w góry zobaczyć się z Morganem. Wtem zauważył znajomy samochód, w którym siedzieli Rogan i Hanna Costello; jechali szosą ze Scardale. Soames był niezwykle przebiegły, jego umysł pracował przez cały czas na najwyższych obrotach. Nie mógł przepuścić takiej okazji.

Rogan nie spodziewał się, że ktoś może ich śledzić. Nagłą decyzję widzenia się z Columem O’More’em podjął głównie dlatego, że chciał być sam na sam z Hanną. Poza tym miał ze sobą kluczyki od pozostałych pojazdów.

Pojechali dłuższą trasą przez Coniston i Broughton; na drodze był duży ruch, co ułatwiało Soamesowi zadanie. Ostrożny z natury, Soames nie miał upodobania do przemocy; za to miał nosa do wszystkiego, co mogło przynieść korzyść. Gdy samochód Rogana skręcił na drogę prowadzącą do Marsh-End, Soames zatrzymał się, zaparkował

swój wóz w bezpiecznym miejscu i, kryjąc się za drzewami, ruszył ostrożnie tą sarną trasą. Po jakimś czasie doszedł do farmy, przed którą ujrzał auto Rogana. Wtedy wrócił na główną drogę i ukrył się w kępie drzew.

Czekał kilka godzin w strugach ulewnego deszczu. Wreszcie ujrzał samochód Rogana, odskoczył w tył i przywarł do ziemi. Gdy warkot silnika począł się oddalać, zostawił swoją limuzynę na polanie i poszedł piechotą do farmy. Wokoło nie było żywej duszy; Soames przez chwilę stał przy furtce, spoglądając w okna wymarłego, zda się, domostwa, wreszcie przeszedłszy przez podwórko, pchnął drzwi.

Nie były zamknięte; Soames szedł ostrożnie pobielanym korytarzem. Drzwi do salonu były lekko uchylone; dochodził stamtąd czyjś kaszel. Soames otworzył drzwi i stanął w progu.

Colum O'More siedział w fotelu przy kominku, nabijając fajkę. Patrzył na Soamesa, jakby zobaczył ducha; w jego oczach pojawiły się złe błyski.

— Co pan tu robi, do cholery?!

— Pomyślałem sobie, że warto by pogawędzić, panie O'More — powiedział Soames, po czym zdjął kapelusz, otrząsnął go z deszczu i położył na stole.

— Nie mamy sobie nic do powiedzenia — odparł gniewnie O'More. — Zapłaciłem panu uczciwie za robotę i dość na tym!

— Mam przyjaciela w Dublinie, pewnie pan o tym nie wie — mówił spokojnie Soames, grzejąc nad ogniem zziębnięte dłonie. — Mój przyjaciel zasięgnął języka; domyśla się pan, w jakich kręgach — uśmiechnął się złośliwie. — Otóż w kwaterze głównej pańskiej organizacji w Dublinie, czy raczej jej niedobitków, nic nie słyszeli o panu od pięciu lat.

Soames zrobił pauzę, potrząsając z wyrzutem głową.

— Nie mówił nam pan prawdy. Ciekaw jestem, co by na to powiedział Sean Rogan?

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Zimny wiatr wypadający zza rogu budynku rzucił w okna garść deszczu. Yanbrugh wyglądał ponuro na ulicę, na wpół przekonany, że tym razem się pomylił. Przez pół dnia na próżno szukał śladu Soamesa lub Pope'a, przetrząsnął wszystkie hotele w Kendal — wszystko na nic. Niecierpliwiał się, gdzie się podziewa Dwyer.

W tej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Młody policjant przyniósł nadinspektorowi herbatę; wychodząc, w drzwiach zderzył się z Dwyerem.

— Ja też bym się napił — powiedział sierżant, otrząsając deszcz z kapelusza i rozpinając płaszcz. — Ale pogoda!

— Przynosi pan dobre wieści?

Dwyer pokręcił przecząco głową.

— Przetrzęsaliśmy każdy hotel, każdy pensjonat i nic. Zwolniłem ludzi, żeby coś zjedli; zameldują się za godzinę.

— Ja też nic nie znalazłem.

Ten sam młody policjant przyniósł mu herbatę. Dwyer siorbał ją ze smakiem.

— Pewnie wielu ludzi wynajmuje tu pokoje wczasowiczom, zwłaszcza w sezonie.

— Zbyt wielu — powiedział Yanbrugh. — Trzeba by przeszukać każdy dom. Nie mamy ani tylu ludzi, ani tyle czasu.

— Warto by wyjaśnić historię z Grantem, tym facetem, pod którego adresem przychodzą listy dla innych osób.

— Rozmawiałem w tej sprawie z naczelnikiem poczty — powiedział Yanbrugh. — Wiem z doświadczenia, że na ogół listonosze doskonale znają mieszkańców swojego rejonu.

— I co?

— Na razie nic. Większość z nich jest jeszcze w terenie. Naczelnik obiecał porozmawiać z każdym, a potem zatelefonuje do mnie. — Spojrzał na zegarek. — Druga. Mamy pół godziny.

— Na rogu jest knajpa — powiedział Dwyer. — Może dostaniemy tam jakąś kanap-

kę, kawałek wieprzowiny lub coś w tym guście.

— Na przykład pół kwarty piwa?

— Mieliśmy pracowity ranek, panie nadinspektorze. Yanbrugh skrzywił twarz w uśmiechu i powiedział, wkładając płaszcz:

— W porządku, sierżancie, ale pan płaci...

* * *

Spoglądając ponad ramieniem Hanny przez ociekającą deszczem szybę, Rogan ujrział Paddy'ego Costella. Stał na poboczu jakieś sto metrów przed nimi. Hanna zatrzymała samochód i mały człeczyna wsunął się szybko na fotel obok kierowcy, klnąc na czym świat stoi.

— Chryste Panie, jestem przemoczony do suchej nitki. Leje jak z cebra. Co za draństwo!

— Wszystko dobrze poszło? — spytał Rogan.

— Zaparkowałem ciężarówkę obok tej rozwalonej stodoły. Jest bezpieczna; na pewno nie zjawi się tam żywa dusza w taki dzień, jak dziś.

Rogan usadowił się wygodnie i zapalił papierosa. Wyciągnął paczkę do Fletchera, siedzącego sztywno naprzeciwko, w granatowym mundurze. Olbrzym wyjął papierosa drżącymi palcami.

— Co się z tobą dzieje? — spytał Morgan. — Masz pietra?

— Wypchaj się! — odpalił Fletcher, rozpierając się w fotelu i wydmuchując z satysfakcją dym z papierosa. — Jestem pewien, że się uda.

— A co, napisałeś do wróżki? — zadrwił Morgan.

Fletcher odwrócił się do towarzysza, zaciskając pięść, ale Rogan rzucił ostro:

— Dosyć! Jutro możecie sobie łby pourywać, nie obchodzi mnie to. Ale jak na razie, ja tu dowodzę.

Po kilku minutach wjechali na ulice Kendal. Rogan spojrzął na zegarek i powiedział:

— Kwadrans.

Pot spływał kroplami po karku siedzącego przed nim Costella; stary zdjął czapkę, ręce mu drżały. Fletcher był spokojny, a Morgan uśmiechał się drwiąco.

— Najtrudniejszy moment — rzucił.

Rogan milczał, wiedząc dobrze, co tamten ma na myśli. Ssanie w dołku, ściskanie w okolicy mostka, trudności z oddychaniem; właściwie to nie strach, tylko coś bardziej skomplikowanego — jakaś mieszanina podniecenia i niepewności. Było to dobrze mu znane uczucie, trwające tylko dopóty, dopóki nie wykona się pierwszego decydującego ruchu. Wtedy nie ma już czasu, by myśleć o czymkolwiek innym niż to, co się właśnie robi.

Morris sunął wolno wąską uliczką między wysokimi żywołotami i nagle znaleźli się na niewielkim parkingu przed stacją Rigg. Hanna przyhamowała i zręcznie wykręciła, tak że tył furgonetki dotknął wnętrza załadunkowej. Rogan otworzył drzwi, wyskoczył na betonowy podjazd i wszedł do budynku stacji.

Na szyi miał zawiązany jedwabny szalik; naciągnął go sobie na twarz i wsunął na oczy starą tweedową czapkę z daszkiem. Otworzył drzwi do pokoju zawiadowcy i wkroczył do środka. Briggs stał przy kuchence i wyciągał właśnie rękę po czajnik, w drugiej trzymając kubek. Nim zdążył się odwrócić, Rogan wyjął kolta z kieszeni, j Stary otworzył usta ze zdumienia. Nie mógł wydobyć z siebie głosu; szczęka mu opadła, jakby ktoś go uderzył. Do pokoju wsunął się szybko Paddy Costello, otworzył drugie drzwi i wszedł do hali bagażowej. Usłyszawszy, że tamten otworzył drzwi na dwór, Rogan powiedział do Briggsa:

— Proszę robić to, co panu każe, a włos panu z głowy nie spadnie. Niech pan zdejmie czapkę, kurtkę i kamizelkę i położy ubranie na biurku.

Stary stał nieruchomo, sparaliżowany strachem, z ustami wciąż szeroko otwartymi. Rogan postąpił krok do przodu i stuknął zawiadowcę lufą między oczy.

— Teraz, nie jutro!

To posunięcie wywołało właściwy skutek. Briggs odstawił kubek i szybko zdjął kurtkę. Gdy Costello wrócił do pokoju, zawiadowca stał przy kuchence, rękawy koszuli miał zawinięte powyżej łokci. Jedna ręka była wychudzona i powykręcana, ze śladami od szrapnela.

— Gdzie pan się tego nabawił? — spytał Rogan.

Briggs zdawał się powoli przychodzić do siebie.

— Nad Sommą, w tysiąc dziewięćset szesnastym.

— Jeśli pan przeżył tamto piekło, przeżyje pan wszystko. Niech się pan położy na podłodze i zamknie oczy.

Skinął głową Costellowi, ten szybko podszedł do zawiadowcy; w ręku miał kawałek liny. Tymczasem Rogan wszedł do bagażowni. Hanna akurat odjeżdżała morrisem — koła buksowały wściekle, wyrzucając fontanny drobnego żwiru; Fletcher dźwigał czwarty worek. Morgan zamknął drzwi i podszedł do Rogana. Skórę na policzkach miał mocno napiętą, oczy mu błyszczały gorączkowo.

— Wszystko w porządku? — spytał.

Rogan skinął głową, spoglądając na zegarek.

— Za pięć minut, może nawet wcześniej.

Costello zawiązał staremu zawiadowcy oczy chustką i zakleił usta plastrem, rękę zawiązał na plecach. Rogan trącił go czubkiem buta.

— Skończyłem, niech się pan przebiera.

Costello szybko zdjął deszczowiec i włożył kamizelkę zawiadowcy. Rogan tymcza-

sem ukląkł obok związanego i sprawdził, czy stary ma związane ręce dość mocno, lecz na tyle luźno, by nie sprawiało to bólu. Poklepał Briggsa po ramieniu.

— Wyniosę pana w bezpieczne miejsce. Proszę nie robić głupstw, a wszystko będzie dobrze. Rozumiemy się?

Stary skinął głową, Rogan zaś zaniósł go do toalety i położył na podłodze. Zamknąwszy drzwi, wrócił do pokoju. Costello właśnie zapinał guziki kurtki i wkładał czapkę za wiadowcy. Przejrzał się w pękniętym lustrze wiszącym nad kuchenką i zachichotał nerwowo.

— Ujdzie?

— Doskonale! — powiedział Rogan. — A teraz niech pan idzie na platformę i udaje bardzo zajętego.

Costello wyszedł; Rogan przez chwilę przyglądał się przez wąskie okienko biura, jak tamten wymachuje miotłą, po czym wszedł do bagażowni. Morgan uchylił jedno skrzydło podwójnych drzwi i ostrożnie wyglądał na dwór. Fletcher zaczął coś mówić, ale Morgan gestem nakazał mu milczenie; po chwili w ulewnym deszczu usłyszeli narastający warkot silnika.

Rogan podszedł do drzwi i wyjrzał przez szparę; w tej chwili furgon pocztowy wjechał na parking stacji. Wyglądał zwyczajnie; pomalowana na granatowy kolor karoseria nie miała na sobie żadnych specjalnych znaków czy napisów; tyle tylko, że na dachu znajdowała się antena radiowa.

Samochód zatrzymał się o kilka metrów od nich i Rogan mógł dokładnie przyjrzeć się konwojentom. Kierowca miał wygląd eks — podoficera gwardii; pod daszkiem czapki ze złotym wężykiem na ocienionej twarzy jeżył się czarny wąsik. Strażnik był młodszy od kierowcy; twarz miał kościstą, z długą blizną na policzku. Ziewnął i podniósł słuchawkę radiotelefonu. Skończywszy mówić, odłożył słuchawkę, zapalił papierosa i pochylił się do przodu, patrząc na zegarek, który mu pokazał kolega.

W tej chwili otworzyły się drzwi, prowadzące na platformę, i do bagażowni wpadł Costello.

— Już są!

— W porządku. Wyjdź i przywitaj ich — powiedział spokojnie Rogan.

Costello zawahał się. Morgan kopnął go w łydkę.

— Rusz się, do cholery!

Costello otworzył drzwi i pomachał ręką. Kierowca furgonu skinął głową, zawrócił i podjechał tyłem do dworca. Rogan usłyszał, że pociąg zwalnia, zbliżając się do stacji. Popchnął Costella i krzyknął:

— Na peron, i trzymaj się blisko drzwi!

Sean zaś wycofał się do biura, zostawiając Morgana i Fletchera w bagażowni — każdy z nich miał w ręce pałkę policyjną.

A potem wypadki potoczyły się z zawrotną szybkością. Huk nadjeżdżającego pociągu wypełnił budynek, drzwi do bagażowni otwarły się, skrywając Fletchera i Morgana. Najpierw ukazał się kierowca z fakturą w jednej ręce, drugą ciągnął worek. Z tyłu szedł strażnik z papierosem w ustach. Zza drzwi wyskoczyli Morgan i Fletcher, pałki z błędną precyzją opadły na głowy konwojentów. Kierowca osunął się na podłogę jak worek; od razu stracił przytomność. Strażnik zdążył się odwrócić i sięgnąć po własną pałkę. Otworzył usta, warkot pociągu zagłuszył krzyk, a Fletcher walnął go pałką w kark.

Rogan podbiegł, złapał za nogi kierowcę, wciągnął go do biura zawiadowcy i zastał za biurkiem, tak aby nie było go widać przez okno. Fletcher zrobił to samo ze strażnikiem. Rogan wrócił do bagażowni, gdzie w tej samej chwili zjawił się Morgan w czapce kierowcy wciśniętej na oczy.

— Ten cholerny samochód jest pusty — powiedział. — Tylko te dwa worki.

A więc Colum O'More się pomylił. Nie było teraz czasu o tym myśleć. Rogan już klęczał obok worków, manipulując kombinerkami. Każdy z nich był związany grubym drutem i opatrzony ołowianą pieczęcią z jakimiś kodami i numerami. Sean rozciął drut i włożył go w metalowe oka fałszywego worka, który trzymał Fletcher. Zaplątał drut najlepiej, jak potrafił, po czym wsunął końce w jedno z metalowych ok. To samo zrobił z drugim workiem. Morgan ukląkł obok i powiedział:

— Miejmy nadzieję, że nie będą dokładnie sprawdzać.

— Dlaczego mieliby to robić? — odparł Rogan spokojnie i wstał. — Jazda.

Czapka młodego strażnika była trochę za mała; Fletcher nasunął ją sobie fantazyjnie na oczy i podniósł jeden z fałszywych worków. Morgan wziął fakturę, drugą ręką chwycił pozostały worek i pośpieszył ku wyjściu na platformę. Przy drzwiach zawahał się, lecz zebrawszy się na odwagę, wyszedł na dwór. Rogan czekał z zapartym tchem.

Na platformie panowała podejrzana cisza, słychać było tylko cichy warkot diesla. Paddy Costello, wsparty na miotle, stał obok drzwi, demonstracyjnie spoglądając na zegarek; drzwi wagonu pocztowego były rozsunięte.

Morgan podszedł do pociągu; jeden z obsługi, wychylając się z okna, odezwał się:

— Zawsze musicie się spóźniać, łobuzy?

— Mnie się pytasz? — odparował Morgan. — Robię ten kurs po raz pierwszy w życiu.

Wrzucił worek do wagonu, Fletcher poszedł w jego ślady. Strażnik wyjął długopis i wyciągnął rękę.

— Szybko!

Morgan wręczył mu fakturę. Strażnik pokwitował, wyrwał oryginał, a kopię oddał Morganowi.

— To by było na tyle.

Chciał zamknąć okno, ale Morgan go powstrzymał.

— O Boże, zapomniałem! Czy mogę pana prosić o przysługę? Zrzuciłem słuchawkę, wysiadając z szoferki, i wciąż jestem na linii. Niech pan zadzwoni do centrali i powie, że skończyliśmy przeładunek.

— Nie ma sprawy.

Jakie to było proste. Rozsuwane drzwi wagonu pocztowego zamknęły się, Costello uniósł rękę, żegnając strażnika, który wychylił się z okna maszynowni. Rozległ się gwizd, diesel zawył i pociąg ruszył.

Gdy tylne światła ostatniego wagonu zniknęły w ulewnym deszczu, trzech mężczyźni wpadli podnieceni do bagażowni.

— Udało się, Chryste! — krzyczał Fletcher. — Udało się!

— Nie mów hop! — ostrzegł Rogan. — Załadujcie worki z pieniędzmi i nie zapomnijcie o naszych pozostałych fałszywkach. I nie zostawcie śladów. A pan mi tu pomoże — zwrócił się do Morgana.

Kierowca i strażnik furgonu byli wciąż nieprzytomni. Rogan przyjrzał im się uważnie. Z tyłu, nad uchem kierowcy była plama krwi. Rogan spojrzął z wyrzutem na Morgana.

— Wali pan na oślepa.

Morgan wzruszył ramionami.

— Nie dbam o to.

Rogan wyjął z kieszeni dwa pasy cienkiego sztruksu i szybko związała ręce na plecach obu nieprzytomnym mężczyznom.

— W porządku, teraz do samochodu i jazda! — powiedział Rogan. — Zaraz do was doszłusuję.

Wszedł do łazienki i ukląkł obok Briggsa. Stary oddychał z trudem przez nos; Sean szybko zerwał mu z ust plaster. Briggs chciwie łapał powietrze, spoglądając z wdzięcznością na Rogana. Ten poklepał go po ramieniu.

— Nic ci nie będzie, staruszkule. Za dwadzieścia pięć minut będzie tu pociąg towarowy.

Stary odwrócił głowę, usiłując dojrzeć twarz Rogana.

— Bóg z tobą, chłopcze. Nie uda ci się umknąć.

— Póki życia, poty nadziei — odrzekł Sean i wybiegł z biura.

Przez otwarte tylne drzwi furgonu, stojącego wciąż pod rampą, wyglądał Costello. Rogan wszedł i zamknął drzwi; Morgan, spoglądający do tyłu przez szybę pancerną, odwrócił głowę i włączył silnik. Pomknęli tą samą co przedtem wąską alejką między żywopłotami. Rogan nacisnął przełącznik radiotelefonu i powiedział do Morgana:

— Tylko spokojnie, zwłaszcza gdy będziemy przejeżdżać ulicami Kendal. Mamy dobry czas.

— Uważa mnie pan za głupca?! — odciął się Morgan, wyładowując w tym okrzyku

napięcie ostatnich dziesięciu minut.

Rogan wyłączył radio i usiadł wygodnie. Paddy Costello, z twarzą błyszczącą od potu, opadł na fotel, nerwowo zaciskając dłonie.

— W porządku — powiedział Rogan. — Wszystko będzie dobrze.

Stary skinął głową. Usta miał zaciśnięte, jakby się bał odezwać. Na ulicach Kendal ruch był umiarkowany; tylko dwa razy zatrzymali się na światłach. Wyjechawszy za miasto na drogę prowadzącą do Windermere, Morgan przyspieszył, po czym, dokładnie w osiem minut od chwili opuszczenia stacji w Rigg, skręcił w jodłowy lasek. Po chwili zatrzymali się i Rogan pierwszy wyskoczył z samochodu. Obok ciężarówki Costella czekała na nich Hanna. Ujrawszy Seana, podbiegła ku niemu z wyrazem niepokoju na twarzy.

— Wszystko w porządku? — spytała niecierpliwie.

Rogan skinął głową.

— Lepiej już nie może być. Co z morrisem?

— Stoi za stodołą.

Costello i Fletcher pospiesznie przenosili worki z furgonu pocztowego do ciężarówki; Morgan, wychylając się z okna szoferki, czekał, aż skończą. Wreszcie Fletcher krzyknął do niego, Morgan zwolnił ręczny hamulec i samochód potoczył się ku krawędzi urwiska. W ostatniej chwili Morgan wyskoczył, a wóz stoczył się w przepaść, nim Rogan z Hanną zdążyli podejść.

— Teraz morris — powiedział Rogan. — Lepiej zepchnąć go trochę dalej.

We trójkę popchnęli furgonetkę kawałek po dróżce biegnącej wzdłuż brzegu przepaści. Gdy samochód przechylił się ponad krawędzią niewielkiego występu, Rogan skręcił kierownicę i odskoczył w tył. Furgonetka ruszyła w dół i skręcając ostro w lewo, zniknęła im z oczu.

Costello siedział już za kierownicą ciężarówki, Hanna usiadła obok niego w szoferce. Zawył silnik; Rogan i Morgan wskoczyli na przyczepę, dołączając do Fletchera. Podskakując na wybojach, ciężarówka potoczyła się polną dróżką i zatrzymała na chwilę przy szosie, gdyż Hanna musiała zamknąć bramę, po czym pełnym gazem ruszyli w kierunku Windermere.

— Jak z czasem? — spytał Morgan.

Rogan spojrział na zegarek.

— Pociąg towarowy będzie w Rigg za dwanaście minut, jeśli się nie spóźni.

— Zawsze się spóźnia.

— Minie przynajmniej pięć, nim obsługa pociągu zorientuje się, co się stało, i zawiadomi policję. Zanim policja postawi na nogi swoich ludzi, minie następne dziesięć minut. To nam daje w sumie co najmniej dwadzieścia siedem minut przewagi.

— A do Ambleside jest tylko dziesięć mil — zaśmiał się Morgan. — Jesteśmy w do-

mu!

Fletcher, siedzący w kącie przyczepy, kopnął jeden z worków pocztowych.

— Boże, chciałbym wiedzieć, co się kryje w tych miłych woreczkach!

— Już ci mówię — powiedział Morgan. — Nie miałem czasu sprawdzić wcześniej.

Wyjął fakturę z kieszeni granatowej kurtki i zajrzał niecierpliwie do środka.

— *Konsygnacja towarów na przemiał* — przeczytał.

— Znaczy, że to stare banknoty. Tym lepiej.

— *Worek Rs3 — czterdzieści pięć tysięcy funtów w banknotach jednofuntowych, dwadzieścia pięć tysięcy w banknotach pięcioletnich. Worek Rs4 — pięćdziesiąt tysięcy w banknotach jednofuntowych, dwadzieścia w pięcioletnich.*

— Chryste! — szepnął Fletcher. — Sto czterdzieści tysięcy funtów w starych banknotach!

— Nieźle — rzucił Morgan. — Dzielone przez trzy to lepsze niż czterysta na łebka.

— Zajrzyjmy do środka! — powiedział Fletcher podekscytowany, sięgając po jeden z worków.

W tej samej chwili Rogan przycisnął mu butem dłoń. Fletcher upadł na kolano, warcząc jak podrażnione zwierzę; Rogan wycelował do niego z kolta.

— Tylko Colum O'More ma prawo otworzyć te worki, nikt inny! Przysunął się do Fletchera i stukając go lufą między oczy, powiedział zimno:

— Następnym razem cię zabiję. Nie żartuję.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Parking na stacji Rigg nigdy pewnie jeszcze nie był tak zatłoczony. Gdy Yanbrugh podszedł do rampy, nadjechał kolejny radiowóz. Z hali bagażowej wyszło dwóch sanitariuszy, niosących na noszach kierowcę furgonu pocztowego. Dwaj inni nieśli strażnika. Yanbrugh sięgnął do woreczka z tytoniem i nabił fajkę, przyglądając się sanitariuszom wnoszącym rannych do karetki; po chwili karetka odjechała.

On i Dwyer w towarzystwie inspektora Gregory'ego byli akurat w komendzie policji w Kendal i omawiali szczegóły nieudanej wizyty w głównym urzędzie pocztowym, gdy nadeszła wiadomość o wypadkach na stacji w Rigg. Yanbrugh, którym powodowało coś więcej niż zawodowa ciekawość, pojechał tam z Gregorym.

Zapalił fajkę; w tej chwili z hali bagażowej wyszedł Dwyer.

— Ci faceci mieli silne nerwy, trzeba im to przyznać. I tupet. Proszę sobie wyobrazić, że poprosili obsługę pociągu, by nadała meldunek zamiast nich.

— Dzieło geniusza — przyznał Yanbrugh.

Dwyer zawahał się, po czym rzekł niepewnie:

— Skądś znamy ten schemat, nie wydaje się panu, panie nadinspektorze?

Yanbrugh westchnął ciężko.

— Czy to nie dziwne, że właśnie wczoraj opowiadałem panu o tych wypadkach we Francji? Ten napad to kalka tamtej akcji.

W tej chwili podszedł do nich Gregory — wysoki, szczupły mężczyzna w, doskonale dopasowanym mundurze.

— Obejrzałem sobie to wszystko, panie nadinspektorze — powiedział do Yanbrugha.

— Dobra robota, nie ma co. Myśli pan, że to mógł być ten pański Rogan?

— Obawiam się, że tak — odparł Yanbrugh. — Czy mogę porozmawiać z zawiadowcą?

— Proszę bardzo.

Weszli do biura zawiadowcy; stary Briggs siedział przy biurku, trzymając w obu rękach filiżankę z herbatą. W drzwiach stał policjant, na brzegu biurka siedział sierżant,

spisujący zeznania zawiadowcy. Na widok wchodzących sierżant odsunął się na bok.

— Lepiej się pan czuje? — spytał Gregory, uśmiechając się do zawiadowcy.

— Nic mi nie jest; kropelka rumu postawi mnie na nogi — odparł stary.

— To jest nadinspektor Yanbrugh ze Scotland Yardu. Chce panu zadać kilka pytań.

Yanbrugh przebiegł wzrokiem notatkę sierżanta, kiwnął głową i powiedział:

— Zeznał pan, że nie widział pan twarzy człowieka z pistoletem. Czy to prawda?

— Nie mogłem. Miał chustkę na twarzy.

— To był wysoki mężczyzna?

— Po prostu olbrzym, byłem przy nim taki malutki!

Yanbrugh skinął głową.

— Jaki miał głos?

— Miał poprawną wymowę, to był wykształcony facet.

— Czy mógł być Irlandczykiem?

— Możliwe. Irlandczykiem lub Szkotem, trudno mi powiedzieć. Ale powiem panu, że wcale nie był taki zły.

— Z czego pan to wnosi?

Stary uniósł rachityczne ramię.

— Spytał mnie, gdzie tak oberwałem. Kiedy mu powiedziałem, że nad Sommą, roześmiał się i powiedział, że jeśli przeżyłem tamto piekło, to przeżyję wszystko. A potem, kiedy było po wszystkim, nie zapomniał wrócić do łazienki, żeby mi zdjąć plaster z twarzy. O mało co się nie udusiłem.

Yanbrugh kiwnął głową i zwrócił się do Gregory'ego:

— To Rogan, nie ma cienia wątpliwości.

Wyszli z hali bagażowej na rampę. Yanbrugh uderzył pięścią w drugą dłoń.

— Ale dlaczego? Coś mi się tu nie zgadza. Znam Seana Rogana od bardzo dawna, to nie w jego stylu.

— Był długo w więzieniu, panie nadinspektorze — powiedział cicho Dwyer. — Ludzie się zmieniają.

Nim Yanbrugh zdążył cokolwiek powiedzieć, z okna jednego z radiowozów wychylił się policjant i zawołał:

— Panie inspektorze, wiadomość z Kendal!

Gregory zeskoczył z rampy i sprężystym krokiem podszedł do radiowozu. Wsadził głowę przez okno, wziął słuchawkę, którą mu podał policjant. Po chwili wysunął głowę i krzyknął podnieconym głosem do detektywów:

— Mamy ten adres w Kendal! Znalazł się listonosz, który go sobie przypomniał. Zwicznął nogę w kostce i miał zwolnienie, dlatego nie mogli wcześniej z nim porozmawiać.

Yanbrugh zeskoczył na ziemię i szybko podszedł do radiowozu.

— Czy pan wie, co to znaczy?! — zawołał.

— Chyba tak — odparł chłodno Gregory. — Obawiam się, że możemy komuś sprawić niemiłą niespodziankę.

Był to adres kioskarza, prowadzącego punkt sprzedaży w jednej z bocznych uliczek w Kendal. Gdy Gregory i dwaj detektywi przybyli na miejsce, czekał na nich radiowóz; w środku siedział listonosz nazwiskiem Harvey i trzymając kulę między kolanami, gawędził z policjantami.

Gregory wsadził głowę przez okno i dwaj policjanci natychmiast wysiedli z radiowozu.

— Panie Harvey, jestem inspektor Gregory, Komenda Główna. Czy jest pan tego pewien? — zwrócił się do listonosza.

— Chodzi o te listy adresowane na Charlesa Granta c.o. Tomlinson? Jasne, panie inspektorze. Pamiętam dokładnie, bo żartowałem sobie z faceta z powodu tych listów, a on na to, że prasa nie idzie i że byłby głupi, gdyby zrezygnował z dziesięciu funtów tygodniowo za samo użyczenie swego adresu.

Gregory wyprostował się i spytał policjantów:

— Byliście w środku?

— Czekaliśmy na pana.

Gregory skinął nadinspektorowi głową:

— Pan pierwszy.

Tomlinson był szpakowatym mężczyzną w średnim wieku; nosił okulary w rogowej oprawie, poklejone taśmą izolacyjną. Gdy weszli kioskarz przechylił się przez ladę, ciekaw, co to znowu za afera.

— Pan Tomlinson? — upewnił się Gregory. — Jestem inspektor Gregory z Komendy Głównej. A to nadinspektor Vanbrugh i sierżant Dwyer ze Scotland Yardu. Rozumiem, że pan może nam pomóc w śledztwie, które prowadzimy.

Tomlinson był oszołomiony.

— Nie rozumiem, o czym pan mówi.

— Użyczył pan swojego adresu niejakiemu panu Charlesowi Grantowi, zgadza się?

Tomlinson skinął głową marszcząc brwi.

— To chyba nic złego, co?

— Zdaje się, że ten pan Grant jest człowiekiem, którego szukamy. Czy wie pan może, gdzie on się obecnie podziewa?

— Nie mam zielonego pojęcia — odparł Tomlinson. — Tylko raz go widziałem, za pierwszym razem. Był to starszy człowiek i chodził o lasce. Zdaje się, Irlandczyk; zdziwiło mnie, że ma szkockie nazwisko.

— Dużo listów dostawał?

Tomlinson skinął głową.

— Trzy lub cztery na tydzień. Zwykle odbierała je młoda dziewczyna. Zaglądała tu prawie codziennie po południu.

— Zna pan jej nazwisko?

Tomlinson pokręcił przecząco głową.

— Nie. Ale widziałem ją kilka razy na jarmarku w Ambleside. Przyjeżdżała ze starym facetem, Paddym Costellem. Niby to ma hodowlę owiec w Scardale, ale to pijak i karciarz, znają go w każdej knajpie w okolicy.

Gregory wyszedł z kiosku, podszedł do swego samochodu i powiedział przez okno do kierowcy:

— Proszę zadzwonić do komendy, niech się skontaktują z posterunkowym w Ambleside. Mają go spytać, co wie o Paddym Costellu, który ma hodowlę owiec gdzieś w okolicach Scardale. To pilne!

Odwrócił się i wyjął srebrną papierośnicę. W tej chwili nadeszli Yanbrugh i Dwyer.

— Wygląda na to, że jesteśmy na właściwym tropie — powiedział Gregory.

Poczęstował nadinspektora papierosem; stali, paląc nerwowo, nikt się nie odzywał. Czas zdawał się stanąć w miejscu. Wreszcie kierowca Gregory'ego wychylił się z okna.

— Są wiadomości o Costellu. Posterunkowy w Ambleside zna go bardzo dobrze. Wielokrotnie zatrzymywany za pijaństwo i czyny chuligańskie. Ma farmę na końcu Scardale, w górach, niedaleko starej kopalni.

— Czy mieszka sam?

— Ma syna. Od dziesięciu miesięcy mieszka z nim bratanica Hanna Maria Costello. Karana, panie inspektorze. W zeszłym roku siedziała sześć miesięcy w Holloway za nierząd.

Gregory zwrócił się do Yanbrugh.

— Niezłe, co?

— Jeszcze jedna rzecz, panie inspektorze — przerwał mu kierowca. — Ten człowiek, którego szuka nadinspektor Yanbrugh, Soames — złapali go pod Broughton. Pytają, co z nim zrobić.

— Mamy pilniejsze sprawy na głowie — rzucił Yanbrugh. — Niech go zabiorą do Kendal. Przesłucham go później.

Z kamienną twarzą zwrócił się do Gregory'ego:

— Przydałoby się ze dwudziestu ludzi.

— Nie ma sprawy — powiedział uprzejmie Gregory. — Zrobimy obławę w wielkim stylu. Ten pański kumpel Rogan będzie niemile zaskoczony.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Gdy dojechali do Scardale, Costello wprowadził ciężarówkę do stodoły, gdzie stał samochód Hanny. Zgasił silnik, a Rogan zeskoczył na ziemię i skinął głową Morganowi i Fletcherowi.

— Wy dwaj do środka i nie wychodzić.

Gdy Hanna i Paddy Costello podeszli do nich, Fletcher zaczął się awanturować.

— Co to znaczy, do środka, do jasnej cholery? Mam już dość ciebie i twoich głupich poleceń.

Rzucił się na Rogana, ten zaś poczekał, aż atakujący się zbliży, i uderzył go mocno w twarz koltem. Muszka rozdarła Fletcherowi policzek; krzyknął przeraźliwie i zasłonił dłońmi krwawiącą twarz.

— Poczekaj, sukinsynu — warknął przez zęby. — Jeszcze cię dopadnę!

Rogan spojrział zimno na Morgana.

— Są pytania?

Morgan wzruszył ramionami.

— Pan dowodzi.

Fletcher wyszedł ze stodoły, Morgan poszedł za nim. Rogan wyciągnął rękę do Costella.

— Kluczyki od ciężarówki.

Costello czym prędzej wręczył mu kluczyki.

— Ja też mam zostać w domu?

— Na razie tak.

Stary ruszył przez podwórko, a Hanna zdjęła chustkę i potrząsnęła głową, by rozprostować włosy.

— Nigdy nie myślałam, że potrafisz być taki twardy.

— Z szumowinami nie można inaczej.

Wziął ją za rękę i mocno uściśnął.

— Jak się czujesz?

— A jak mam się czuć? — wzruszyła ramionami Hanna. — Zmęczona, jak przekrecona przez magiel. Mogłabym spać tydzień.

— Potrzebujesz filiżanki herbaty z kroplą czegoś mocniejszego i czegoś do jedzenia. Dziewczyna uśmiechnęła się słabo.

— Może masz rację. A co z tobą?

— Zaraz przyjdę. Mam tu jeszcze coś do zrobienia.

Wziął ją w ramiona i pocałował szybko. Z góry posypał się na nich kurz. Podnieśli głowy; przez szparę w belkach spoglądał Brendan. Zeskoczył ze strychu na klepisko i natychmiast zerwał się na równe nogi, blady z podniecenia. Otworzył usta, lecz z wrażenia nie mógł wydobyć z siebie głosu. Hanna położyła mu uspokajająco rękę na ramieniu.

— Mamy czas, nie denerwuj się.

Chłopiec wziął głęboki oddech i wreszcie wyrzucił z siebie potok słów:

— Za domem jest mężczyzna. Przyszedł od strony doliny, jak tylko wyjechaliście.

— Wysoki, czarnowłosey?

— Tak.

— To Jack Pope — powiedział Rogan do Hanny.

— Jestem pewien, że mnie szukał — opowiadał chłopiec. — Zaglądał wszędzie, ale ukryłem się w sianie na strychu.

Hanna patrzyła pytająco na Rogana.

— Jak myślisz, co zamierzają zrobić?

— To oczywiste — powiedział i zastanawiał się przez chwilę, nim dodał: — Pójdiesz do domu i przygotujesz coś do zjedzenia.

Hanna chciała coś powiedzieć, ale Rogan popchnął ją lekko do wyjścia mówiąc:

— Wiem, co robię.

Fletcher tymczasem siedział na brzegu stołu kuchennego, klnąc za każdym razem, gdy kolega nalepiał mu kolejny plaster na świeżą ranę.

— Wygląda na to, że się na ciebie zawziął, Jesse — powiedział Morgan ze śmiechem.

Fletcher zaklął i chwycił kubek, do którego Costello nalał sporą porcję whisky.

— Załatwię tego wieprza.

— Chciałbym to widzieć! — zadrwił Morgan.

Zostawiwszy towarzyszy w kuchni, poszedł do swej sypialni zmienić ubranie. Rogan był nieustępliwy — twardy orzech do zgryzienia. Ale Morgan nie miał najmniejszego zamiaru rezygnować ze stu czterdziestu tysięcy funtów. Musi coś zrobić, żeby nie wymknęły mu się z rąk. Otworzył drzwi sypialni, a gdy się odwrócił, zamykając je za sobą, zobaczył w kącie pokoju Jacka Pope'a z pistoletem w wyciągniętej ręce. Ujrawszy Morgana, Pope odetchnął z ulgą i otarł pot z czoła.

— Myślałem, że to Rogan.

— Jest w stodole — powiedział Morgan. — Miałeś trudności z dostaniem się tutaj?

— Nie, ale nigdzie nie mogłem znaleźć tego smarkacza.

— Nie przejmuj się. Ten dzieciak szwęda się bez przerwy po okolicy.

Wyjął towarzyszowi pistolet z ręki i spytał:

— Skąd masz spluwę?

— Soames skądś wytrzasnął. Myślałem, że może się przydać.

— Masz zapasowe naboje?

— Sześć — powiedział Pope, wręczając mu je. — Ile zakosiliście?

— Sto czterdzieści tysięcy. Spodziewaliśmy się więcej, ale były tylko dwa worki.

— Rogan je ma?

— Właśnie. Mówi, że odda je O'More'owi.

— Wczoraj wieczorem dzwonił do mnie Soames — powiedział Pope. — Udało mu się znaleźć O'More'a w domku w Marsh-End. To jest zaraz przy drodze nadmorskiej, niedaleko Whitbeck.

— To znaczy, że ten stary łobuz ma łódkę, którą zamierza przeprowić się przez Morze Irlandzkie.

— Tak myślę. Co robimy?

Morgan podszedł do drzwi, otworzył je i zawołał na Fletchera i Costella. Za chwilę zjawili się obaj, Fletcher z butelką whisky w jednej ręce i kubkiem w drugiej.

— Jesteś, stary? — zarechotał pod adresem Pope'a. — Szczęściarz z ciebie! Dostaniesz niezłą sumkę!

— Nie byłbym tego taki pewien — powiedział Morgan i pokazując rewolwer na wyciągniętej dłoni, dodał: — To nam pozwoli wyprostować nieco sprawy.

— Niech nas ręka boska broni! — zawołał Paddy Costello.

— Masz jeszcze te zapasowe kluczyki od ciężarówki? — spytał Morgan.

Stary wyciągnął kluczyki z kieszonki kamizelki i podał je Morganowi. Morgan podszedł do okna i wyjrzał ostrożnie przez firanki. Właśnie Hanna wychodziła ze stodoły, kierując się ku domowi. Usłyszeli, jak otwiera drzwi frontowe i idzie korytarzem do kuchni. Morgan podszedł do drzwi i nasłuchiwał chwilę, po czym wrócił do okna. W drzwiach stodoły ukazał się Brendan, pchając wózek z kilkoma pękatymi workami.

— Dokąd ten dzieciak się wybiera? — spytał Morgan. — Nawet nie widziałem, jak tam wchodził.

Paddy Costello podszedł do okna.

— Nie przejmuj się nim. Snuje się po okolicy jak duch.

Tymczasem Brendan, pchając przed sobą wózek, wyszedł przez bramę i ruszył drogą w góry, w kierunku starej kopalni.

— Co ten smarkacz wiezie? — spytał Fletcher.

— Mamy w górach jeszcze parę owiec. Mam je jutro zawieźć, niby na ten targ w Mi-

liom. Pewnie wiezie im paszę.

W tej chwili ze stodoły wyszedł Rogan, niosąc po jednym worku na każdym ramieniu. Zatrzymał się, odprowadzając wzrokiem chłopca, po czym ruszył przez podwórko w kierunku domu.

— Załatwmy go teraz — zaproponował Pope.

Ale Morgan pokręcił głową, ważąc w dłoni pistolet.

— To dobry strzelec. Ani myślę atakować go od przodu. Poczekamy na lepszą sposobność. Zostaniesz tutaj — zwrócił się do Pope'a. — A wy dwaj pójdziecie ze mną.

Gdy Rogan wszedł do pokoju, zastał tam wszystkich trzech. Morgan i Fletcher siedzieli w fotelach, Costello na krześle przy stole. Irlandczyk zatrzymał się w drzwiach, mając w każdej ręce worek, i patrzył na nich spokojnie. Morgan czuł ciężar pistoletu w kieszeni marynarki i walczył z samobójczą pokusą użycia go. Rogan promieniował jakimś dziwnym magnetyzmem, aura nieśmiertelności, i zdawało się, że nikt nie zdoła go zranić. Miał jakąś dziwną władzę nad tamtymi trzema, gdy rzuciwszy w kąt izby oba worki, spokojnie rozpiął płaszcz.

— Skóra mi ścierpła, kiedy znalazłem tego pańskiego dzieciaka w stodole w sianie. Kiedyś oberwie kulkę.

— Przykro mi, panie Rogan — powiedział szybko Costello. — Spiorę mu tyłek, jak się tylko zjawi.

Hanna zawołała na nich z kuchni; Rogan wciągnął nosem zapach.

— Niech mnie drzwi ścisną, jeśli to nie jajecznicza na szynce — powiedział. — Nic tak nie zaostreza apetytu, jak dobrze wykonana robota. Chodźmy do kuchni.

— Ani myślę — powiedział Fletcher, sięgając po butelkę.

Rogan postąpił krok naprzód i wyjął mu butelkę z ręki. Postawił whisky na kredensie i odwrócił się z kamiennym wyrazem twarzy.

— Powiedziałem, idziemy jeść.

Fletcher siedział dalej, gapiąc się na Morgana. Ten poklepał go po ramieniu i powiedział:

— Chodź, Jesse.

Paddy Costello był już w korytarzu; Fletcher, ociągając się, poszedł za nimi. Morgan przystanął w drzwiach i powiedział do Rogana:

— Czasami posuwasz się za daleko, zastanawiałeś się kiedy nad tym?

— Jesteś mocny w gębie — odparł Rogan. — Powtarzaj to sobie często, a przekonasz sam siebie, że możesz dać mi radę.

Morgan zbladł, oczy mu zabłyśły i zgasły.

— Spędziłem dwa lata w obozie chińskim w Korei, Rogan, wiesz o tym? Kiedy mnie zwolnili, miałem obustronną przepuklinę, tyle razy strażnicy kopali mnie w krocze, i gruźlicę płuc.

— I co z tego? — spytał Rogan.

— Gdy wróciłem do domu, wszyscy mieli mnie gdzieś. Nawet nie zauważyli, że gdzieś tam toczy się wojna.

— Co chcesz przez to powiedzieć — że masz alibi?

Morgan roześmiał się chrapliwie.

— Nigdy nie potrzebowałem alibi, od kiedy nauczyłem się radzić sobie sam na tym paskudnym świecie. Powiem ci coś, przyjacielu. Jeśli przeżyłem tych sukinsynów Chińczyków, przeżyje i ciebie. Zastanów się nad tym.

Odszedł korytarzem, a Rogan uśmiechnął się zadowolony. Nie ma to jak wypowiedzenie wojny. Powiesił płaszcz za drzwiami, wyjął z kieszeni kolta i wsunął sobie z tyłu za pas, tak że nie było go widać spod marynarki, choć kolba uwierała Seana w plecy. Zapiął marynarkę i poszedł do kuchni.

Jedli w całkowitym milczeniu, w atmosferze pełnej napięcia. Hanna chodziła między mężczyznami, to dolewając im herbaty, to krojąc nowe kromki chleba. Kilkakrotnie udało jej się pochwycić wzrok Rogana; twarz miała ściągniętą niepokojem.

Wreszcie Rogan odsunął krzesło, wstał i powiedział:

— Najadłem się. Wracajmy do pokoju.

Fletcher łypnął na Morgana, ale ten dał mu znak nieznacznym ruchem głowy i wstał. Wyszli obaj z kuchni, a Costello podreptał za nimi. Hanna szybko podeszła do Rogana.

— Będą kłopoty, Sean, czuję to.

— Nie martw się — uśmiechnął się Rogan. — Wiem, co robię. Zostań tu.

Gdy wszedł do pokoju, nikt się nie odezwał. Wziął z kredensu butelkę whisky i kubek i usiadł na brzegu stołu.

— Dziwne, jak człowieka nagle opadają wspomnienia — zaczął. — Ostatni raz miałem taką przygodę w czterdziestym czwartym we Francji. Mieliśmy zaatakować pociąg wiozący miesięczny żołd dla niemieckiej dywizji pancерnej. Mogliśmy się nieźle obłowić.

— Nie wypaliło? — spytał Morgan.

— Nigdy się nie dowiedzieliśmy dlaczego. Rzecz w tym, że pociąg zamiast wypłaty wiózł oddział niemieckiej organizacji paramilitarnej; byli uzbrojeni po zęby i palili się do jakiejś akcji. I mówię wam, ci chłopcy byli dobrzy.

— Ktoś sypnął? — mimo woli zainteresował się Fletcher.

— Były trzy możliwości — ciągnął Rogan. — Jedna to rolnik, u którego na farmie mieliśmy w tym czasie główną kwaterę. Siusiał ze strachu, gdy listek bluszczu uderzył w szybę.

Costello zarumienił się, odwracając głowę, a Rogan mówił dalej:

— Drugim podejrzanym był uroczy osobnik, jakby wyjęty z powieści kryminalnej. Był to ogromny mężczyzna i damski bokser, wyżywający się na prostytutkach w porcie

marsylskim, gdy nie chciały oddawać mu połowy zarobków.

Fletcher drżącą ręką podniósł szklanke whisky i opróżnił ją jednym haustem. Morgan spytał spokojnie:

— A co z trzecim?

— To był najniebezpieczniejszy typ z całej trójki. Był nawet trzy lata w seminarium duchownym — powiedział Rogan i dodał, wskazując palcem na czoło: — Łobuz obdarzony inteligencją. Najgorszy typ. Wcielenie zła.

— Lucyfer, księżę ciemności, upadły anioł — dokończył Morgan. — Zaczyna mnie to interesować. I co było dalej?

— Wyprowadziliśmy ich do lasu — a zostało nas zaledwie kilku po tej akcji — i rozwaliliśmy.

— Wszystkich trzech?

— Nic innego nam nie pozostało w tej sytuacji.

— Najświętsza Panienko! — szepnął przerażony Costello. Rogan włożył do ust papierosa i pochylił się, sięgając do kominka po płonącą szczapę. Gdy się odwrócił, Morgan wykorzystał okazję, wyszarpnął z kieszeni rewolwer i wyciągnął rękę, celując w Senana.

— Mógłbym ci od razu rozwalić łeb! — krzyknął. — Jeden fałszywy ruch i strzelę. Rogan odwrócił się wolno, trzymając ręce z daleka od ciała, a Morgan zawołał:

— Pope, chodź tu szybko!

Na korytarzu rozległ się tupot nóg i w drzwiach stanął Pope.

— Co się dzieje?

— Cześć, Jack — powiedział Rogan. — Miło cię znowu widzieć.

— Weź te worki i pilnuj ich jak oka w głowie — powiedział Morgan. — Jesse, zabierz mu broń.

Fletcher podszedł ostrożnie do Rogana, twarz miał rozjaśnioną błogim, złośliwym uśmiechem. Przez dłuższą chwilę przyglądał się Roganowi, po czym szybko go obszukał. Odwrócił się marszcząc brwi i powiedział:

— Nie ma nic.

— Bzdura — powiedział Morgan, czujny jak żuraw. — Obszukaj go jeszcze raz, ale uważaj, to szczywany lis.

— Poradzę sobie — powiedział Fletcher.

Odwrócił się do Rogana i uderzył go krótkim sierpowym w policzek. Rogan poddał się bezwolnie ciosowi, zachwiał się i upadł w tył, przewracając się przez oparcie fotela. Padając wyszarpnął zza pasa kolta. Strzelił raz, ze stołu posypały się drzazgi; Morgan krzyknął ostrzegawczo:

— Wychodzić, szybko!

Strzelał prawie na oślep, nie trafiając Rogana, który przeturlał się po podłodze i ukrył

za starą kanapą, stojącą pod ścianą. Tymczasem Morgan wypchnął Fletchera i Pope'a za drzwi. Rogan strzelił w drzwi, pocisk przebił zmurszałe deski i odbił się rykoszetem od kamiennej ściany korytarza.

Krzycząc wniebogłosy, Costello rzucił się do wyjścia i wypadł na podwórko, za nim pędził Pope, worki obijały mu się o nogi. Morgan popchnął Fletchera.

— Biegnij za nimi, Jesse. Uciekniemy ciężarówką!

Przywarłszy plecami do ściany, wystrzelił jeszcze kilka razy, celując w drzwi pokoju, po czym odwrócił się i pobiegł za Fletcherem. Tamten był już w połowie podwórka; Pope i Costello znikali właśnie w otwartych drzwiach stodoły. Za biegnącym Morganem poleciało krzesło, rzucone przez okno; odwrócił się, wystrzelił na oślep, pocisk odbił się od muru. Morgan biegł zygzakiem przez podwórko. Rozległ się pojedynczy wystrzał, który podciął go jak biczem: Morgan rzucił się w otwarte drzwi stodoły, pocisk utkwiał w sianie.

Tymczasem Fletcher i Pope wrzucili worki na przyczepę. Morgan pomógł Costellowi wgramolić się na fotel kierowcy, sam usiadł obok niego.

— Ruszaj!

Twarz starego była szara ze strachu, z kącika ust ciekła mu ślina. Morgan uderzył go mocno w twarz.

— Ruszaj! — powtórzył.

Ścigający ich Rogan był już na środku podwórka. Przykląkł na jedno kolano, chowając się za kadzią z wodą, wycelował starannie i wypalił. Morgan i Costello schylili głowy; pocisk przebił przednią szybę ponad mmi. Costello krzyknął przerażony, przekręcił kluczyki w stacyjce i włączył pierwszy bieg.

Stara ciężarówka wytoczyła się ze stodoły, wyważając z zawiasów półotwarte skrzydło wrót, i pędziła po wybojach w kierunku furtki. Morgan wystrzelił na oślep w kierunku kadzi, tak że Rogan musiał schować głowę, i po chwili wyjechali za bramę. Rozległ się szczeł żelaza, gdy zawadzili prawą burtą o słupek.

Costello włączył ostatni bieg, wdepnął pedał gazu, zaparł się mocno drugą nogą o podłogę i zacisnął ręce na kierownicy. Morgan obejrzał się i roześmiał chrapliwie, widząc, jak Rogan, minawszy furtkę, biegnie drogą za ciężarówką.

— Możesz nam nadmuchać!

Morgan odwrócił głowę, wsadził rewolwer do kieszeni — i zrobiło mu się sucho w gardle: za zakrętem prowadzącym wokół zbrocza ujrzał pędzący z naprzeciwka radiowóz policyjny, a za nim co najmniej sześć innych wozów.

Costello krzyknął przeraźliwie. Radiowóz przyhamował i zatrzymał się, zawracając i tarasując drogę.

— Hamuj, głupcze! Hamuj! — krzyczał Morgan.

Costello zupełnie stracił głowę. Nacisnął pedał gazu zamiast hamulca i ciężarówka

wyprysnęła do przodu. Zewnętrzne koła zabuksowały na mokrej trawie pobocza, kierownica sama skręciła mu w dłoniach. Morgan zerknął na zbocze opadające stromo ku kamienistemu potokowi pięćdziesiąt metrów pod nimi, i bez wahania sięgnął do klamki. Wyskoczył w chwili, gdy ciężarówka zaczęła staczać się po zboczach; zatrzasujące się drzwi uderzyły w głowę Costella, próbującego pójść w jego ślady.

Morgan przekoziółkował kilkanaście metrów w dół i zatrzymał się na krzaku. Gdy stanął na nogi, ujrzał ciężarówkę piętnaście metrów niżej, uderającą o występ skalny. Poszybowała, obracając się wolno wokół własnej osi; Fletcher wypadł i koziółkował w powietrzu wymachując bezładnie rękami i nogami.

Ciężarówka z potwornym hałasem wylądowała na dachu w kamienistym łożysku potoku, a Fletcher upadł na nią. W tej samej chwili z ogłuszającym hukiem wybuchł zbiornik z benzyną; pomarańczowy gejzer wystrzelił w górę w strugach deszczu.

Tymczasem Morgan wspinał się szybko po zboczach. Był mocno poturbowany, z rany nad okiem sączyła się krew, zalewając mu policzek, ale instynkt samozachowawczy okazał się silniejszy od bólu. Znalazłszy się na drodze ku szczytowi, usłyszał głosy Podniósł głowę i zobaczył kilku policjantów biegnących w jego kierunku. Wystrzelił i jeden z nich upadł głową do przodu. Pozostali natychmiast ukryli się za skałami. Morgan zniknął w płytkim parowie, a po chwili kontynuował wspinaczkę.

* * *

Rogan przestał ścigać uciekinierów i zawrócił do domku. W tej chwili usłyszał pierwsze potężne uderzenie i zgrzyt metalu o kamień, gdy ciężarówka stoczyła się po zboczach. W chwili wybuchu benzyny biegł już co sił w nogach do farmy, a gdy Morgan wystrzelił do policjantów, mijał właśnie zakręt.

Widział, jak jeden z samochodów podjechał i zakręcił, aby zasłonić rannego policjanta. Z wozu wyskoczył postawny mężczyzna w beżowym prochowcu i przykucnął obok leżącego.

Rogan od pierwszego rzutu oka rozpoznał Dicka Yanbrugha. Błysnęła mu myśl, że obecność tamtego nie jest dlań zaskoczeniem, ale nie było czasu zastanawiać się nad tym. Sean odwrócił się i pobiegł na fannę. Hanna stała przy furtce.

— Co się stało?

— Nie pytaj, nie ma czasu. Bierz płaszcz i uciekajmy stąd. Mam kluczyki od twojego samochodu.

Gdy wyjechał ze stodoły, Hanna stała obok kadzi z deszczówką i właśnie zakładała swój kożuszek. Rogan otworzył drzwi, a dziewczyna wskoczyła na fotel obok niego. Gdy wyjechali za bramę i skręcili w lewo w dolinę, Hanna dotknęła jego ramienia pytając:

— Dokąd jedziemy?

— Przedostaniemy się przez Długi Skrót. Brendan czeka po drugiej stronie z worka-

mi. Tamte dwa, które przyniosłem do domu, miały zmylić tych drani.

— Co z tamtymi? Co się wydarzyło na drodze?

— Tam roi się od glin. Ciężarówka spadła w przepaść.

Hanna zbladła.

— A stryj?

— Ciężarówka spłonęła jak pochodnia.

Hanna odwróciła głowę, skurczyła się na fotelu. Rogan wyciągnął rękę i ujął jej dłoń; dziewczyna ścisnęła go mocno za rękę, gdy minawszy garb wzgórza, zjeżdżali w kierunku starej osady górniczej.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Siła wybuchu odrzuciła Jesse'a Fletchera w bok; upadł twarzą między kamienie, w płytką wodę. Ubranie na nim było spalone, ze zwęglonych pleców wystawało kilka żeber.

Gregory i Yanbrugh weszli do potoku i odwrócili ciało. Dziwnym trafem twarz Fletchera pozostała nienaruszona; znać było tylko na niej kilka siniaków — pamiątka po bójce z Roganem. Oczy znieruchomiały na zawsze, spoglądając w wieczność.

— Zna go pan? — spytał Gregory.

Yanbrugh pokręcił głową.

— Nigdy go nie widziałem na oczy.

Ciężarówka płonęła jak zapałka. Gdy podeszli bliżej, poczuli swąd palącego się ciała. Jeden z policjantów odwrócił głowę ze wstrętem.

— Jeden z nich został w kabinie, panie inspektorze — powiedział. — Widać go wyraźnie, jeśli się schylić.

Wszystko dokoła zdawało się falować w rozgrzanym powietrzu, przedmioty traciły ostre kontury, a postać, do połowy zwisająca z okna szoferki, zdawała się nie mieć w sobie nic ludzkiego.

— Paskudna droga — zauważył Gregory.

Yanbrugh skinął głową. Przeszli przez strumień, zapadając się po kolana w lodowatej wodzie. Po drugiej stronie policjant klęczał obok ciała człowieka leżącego w mokrej trawie.

— Nic się nie da zrobić, panie nadinspektorze — zwrócił się do nadchodzących. — Skręcił kark. Musiało go wyrzucić z przyczepy, gdy samochód wylądował w potoku.

Jack Pope leżał na plecach, jedno ramię miał zgięte, palce podkurczone. Oczy mu się zapadły, głowa była nienaturalnie skrzycona w bok.

— Co to za jeden? — spytał Gregory.

— Jack Pope. To ten, który siedział w celi z Roganem.

— Eks-policjant?

— Właśnie.

Odwrócili się; Yanbrugh, osłoniwszy oczy przed deszczem, spoglądał ku górom, gdzie kilku policjantów posuwało się tyralierą po zboczu. Nagle Gregory chrząknął znacząco i wyciągnął rękę.

— Tam jest, blisko krawędzi.

Yanbrugh spojrział we wskazanym kierunku; na chwilę mignęła mu sylwetka Morgana, kilkaset metrów powyżej linii ścigających go policjantów, i zniknęła za urwiskiem.

— Rudy — powiedział Gregory. — Dobrze choć tyle wiedzieć o tym sukinsynu.

A więc to nie Rogan! Yanbrugh odwrócił się i wszedł do potoku. Wyłowił z wody strzęp czerwonego płótna z worka pocztowego; tliło się jeszcze, rozkładając się w palcach.

— Koniec zabawy — powiedział Gregory.

— Na to wygląda.

Wrócili na drogę w chwili, gdy rannego policjanta wnoszono do służbowego samochodu. Miał twarz ściągniętą bólem, ale uśmiechnął się z wdzięcznością, gdy Gregory wetknął mu do ust zapalony papierosa.

— No jak?

Policjant z humorem dotknął skrwawionego bandaża, którym owinięto mu udo powyżej kolana.

— Okropnie boli, ale nic mi nie będzie, panie inspektorze.

— Dzielnny chłopiec — powiedział Gregory. — Nie martw się, dostaniemy go.

Landrover odjechał, a w tej samej chwili tuż obok nich zahamował samochód policyjny wracający drogą od strony farmy. Z wozu wyskoczył sierżant Dwyer.

— Znaleźliście coś? — spytał Yanbrugh.

— Nie ma tam żywej duszy, panie nadinspektorze. Ale wygląda na to, że mieli tu melinę przez dłuższy czas. Była jakaś strzelanina.

— A to co znowu za zagadka? — mruknął Yanbrugh, marszcząc brwi.

— Sto pięćdziesiąt tysięcy funtów to ładny grosz — zauważył Gregory. — Może któryś z nich chciał wziąć większą dolę.

Gregory zwrócił się do Dwiera.

— A co z tym samochodem, któryśmy słyszeli?

— Znaleźliśmy go o milę dalej, obok starej kopalni. Zielony sportowy morris oxford.

— A pasażerowie?

— Ani śladu. Sierżant i dwóch ludzi poszło tym tropem, ale potrzebują wsparcia.

Yanbrugh zwrócił się do Gregory'ego:

— Mówił pan, że nie można wydostać się z doliny inną drogą.

Gregory skinął głową.

— Drogą nie. Ale można przejść piechotą przez góry. Wyjął z kieszeni mapę i rozło-

żył ją.

— Proszę spojrzeć, tu jest stare osiedle górnicze i ruiny kopalni, po tej stronie grzbietu górskiego.

Yanbrugh przyglądał się przez chwilę mapie, po czym wskazał palcem podwójną przerywaną linię, oznaczającą Długi Skrót.

— Co to takiego? Kanał?

— Na to wygląda. Prawdopodobnie dawniej spławiali tamtędy rudę.

— Jeśli jest żeglowny, stanowi doskonałą drogę odwrotu. Powinno się go zasypać.

Gregory podszedł do najbliższego wozu policyjnego i połączył się z komendą. Yanbrugh popatrzył na zbocze. Policjanci ścigający Morgana dotarli na szczyt i znikali jeden po drugim za krawędzią grzbietu górskiego.

Niechaj im szczęście sprzyja, pomyślał. W tej chwili tamten jest już po drugiej stronie i dobrze wyciąga nogi.

— Ktoś, kogo znamy, panie nadinspektorze? — spytał Dwyer, podchodząc do niego i wskazując w kierunku strumienia.

— Jack Pope — odparł Yanbrugh. — Pozostałych dwóch nie znam. Zresztą jeden spłonął w samochodzie.

— A może to był Rogan?

— Nie sądzę. Za niski.

W tej chwili wrócił Gregory.

— Przyślą nam wszystkie samochody i wszystkich ludzi, jakich mają pod ręką. Obstawimy teren.

— A co z sąsiednią doliną?

— Posłałem tam dwa wozy — powiedział Gregory, ocierając deszcz z twarzy i uśmiechając się porozumiewawczo. — Na pewno nam się nie wymknie. To nie jest wielkie miasto z tysiącem bocznych uliczek. Z łatwością obstawimy te kilka dróg.

— Więc nie mamy o co się martwić — powiedział Yanbrugh. — Chciałbym rzucić okiem na farmę, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

— A co z tym Soamesem? Przyprowadzić go? Może uda się z niego coś wycisnąć?

— Doskonały pomysł — powiedział Yanbrugh. — Może nam wyjaśni kilka zagadek. Odwrócił się i w strugach ulewnego deszczu poszedł za Dwyerem do radiowozu.

* * *

Bystry umysł Soamesa pracował na pełnych obrotach, szukając jakiegoś wyjścia z trudnej sytuacji. Skuty kajdankami, siedział między dwoma policjantami w radiowozie jadącym drogą z Ambleside do Scardale. W pewnej chwili samochód zwolnił — kierowca ostrożnie omijał miejsce wypadku. Stało tam kilka samochodów; spoza zбочa na szosę gramoliło się kilku mężczyzn z noszami. Soames spojrział na bezkształtną masę

pod białym prześcieradłem. Jedna ręka zwisała bezwładnie z noszy, z martwych palców płatami odłaziło ciało, powiew wiatru przyniósł słodkawy zapach spalenizny.

Młody policjant, siedzący obok, odwrócił głowę i popatrzył zimno na zatrzymanego.

— Ma pan szczęście. Wyjdzie pan z tego z piętnastoletnim wyrokiem w przeciwnieństwie do tamtych.

Soamesowi zrobiło się niedobrze. Tylko raz w życiu okazał się na tyle głupi, by przekroczyć zaczarowaną granicę między tym, co zgodne z prawem, a tym, co nielegalne. Konsekwencje były opłakane. Nagle zrozumiał, że tym razem posunął się o wiele dalej. Włosy zjeżyły mu się na głowie i zaschło w gardle. Tymczasem radiowóz wjechał przez bramę na podwórko i zatrzymał się obok wozu policyjnego stojącego na wprost drzwi wejściowych.

Policjanci wyprowadzili Soamesa z samochodu. Szedł za nimi przez podwórko, a potem pobielanym korytarzem. To wszystko było jak zły sen. Nieprzytomnym wzrokiem przyglądał się trzem mężczyznom siedzącym w salonie.

— Henry Soames? — spytał krótko Yanbrugh. Soames oblizał spieczone wargi.

— Zgadza się. Chcę wiedzieć, dlaczego zostałem zatrzymany — powiedział i dodał niepewnie: — Znam swoje prawa. Żądam widzenia się z adwokatem.

— Przed chwilą jeden z pańskich kumpli zranił młodego policjanta — przeciął Yanbrugh sucho. — Rudowłosy. Jeśli policjant umrze, trafi pan na ławę oskarżonych pod zarzutem współudziału w morderstwie.

Soames oddychał z trudem, strach chwycił go za gardło. Wreszcie udało mu się przemówić.

— Człowiek, którego szukacie, to Morgan, Harry Morgan. To ten rudy.

— Kto z nim był?

Soames recytował pośpiesznie:

— Jesse Fletcher. Przyjechał razem z Morganem z Manchesteru. I jeszcze ten facet, właściciel farmy — Costello.

— A jego bratanica?

— Ona też.

— A co z Jackiem Pope'em? — wtrącił Dwyer.

Soames odwrócił się do sierżanta i potwierdził gorliwie:

— No tak, on też brał w tym udział.

— Kiedy pan odwiedził Rogana w więzieniu, omawialiście szczegóły jego ucieczki, tak? — spytał Yanbrugh.

— Tak. Tego wieczora, kiedy Rogan uciekł, Pope czekał na niego z samochodem i ubraniami.

— Kto kierował tym wszystkim?

— Facet nazwiskiem Colum O'More.
Gregory spojrział na inspektora, marszcząc brwi.
— Skądś znam to nazwisko.
— Pewnie — odparł Yanbrugh. — Był grubą rybą w IRA w latach trzydziestych i na początku wojny.
Yanbrugh zwrócił się znów do Soamesa:
— A więc stoi za tym IRA? Chodziło o fundusze dla organizacji. tak?
— Rogan tak myślał.
— Uporządkujmy to wszystko — powiedział Yanbrugh. — Morgan i Fletcher zostali wynajęci za wynagrodzeniem, tak?
— Pięć tysięcy na łebka. Rogan spłacał tylko dług wdzięczności. O'More wmówił mu, że powinien odwdziżyć się organizacji za wyrwanie go z więzienia.
— A więc reszta łupu przeznaczona jest dla organizacji?
— Tak przynajmniej O'More powiedział Roganowi.
— Ale pan wie, że było inaczej?
— To pan powiedział. Ten stary łobuz potrzebował pieniędzy dla siebie.
Yanbrugh kręcił głową z niedowierzaniem.
— Bajeczka dla grzecznych dzieci. Znam Columa O'More'a, wiem o nim wszystko. Ten facet nie mógłby wykręcić takiego numeru.
Soames wzruszył ramionami.
— Jest śmiertelnie chory, rak czy coś takiego. Choroba zmienia ludzi.
Gregory rzucił nadinspektorowi szybkie spojrzenie.
— Kupuję to.
Yanbrugh kiwnął głową.
— Gdzie jest teraz O'More?
Soames znów zwilżył językiem wyschnięte usta.
— Przysługa za przysługę — powiedział.
— Będziesz dyndał — powiedział spokojnie Yanbrugh. — Albo powiesz zaraz, gdzie jest O'More, albo tak cię skopię, że się nie pozbierasz.
— Jest na farmie ria wybrzeżu, zaraz przy szosie niedaleko Whitbeck — odparł ponuro Soames. — Miejscowość nazywa się Marsh-End.
— Ktoś z nim jest?
Soames zaprzeczył ruchem głowy.
— Jest sam. Rogan zamierzał jutro jechać do niego z pieniędzmi.
— Ale pan i pańscy przyjaciele mieliście inne plany — stwierdził Yanbrugh i zwracając się do Gregory'ego, powiedział: — To przynajmniej wyjaśnia strzelaninę na farmie. Prawdopodobnie chcieli zawładnąć łupem, a Rogan się sprzeciwił. Zna pan Marsh-End?

— Nie, ale znam Whitbeck. Przy tej pogodzie możemy tam być za czterdzieści pięć minut.

— No to ruszajmy.

Yanbrugh wyszedł szybko na dwór, Gregory i Dwyer poszli za nim. Soames został sam; rozejrzał się szybko, czy nie ma jakiejś możliwości ucieczki, gdy wtem w drzwiach stanął sierżant policji w średnim wieku, uśmiechając się szyderczo.

— Myślałeś, że zapomnieliśmy o tobie, co?

W tym momencie Soames zdał sobie wreszcie jasno sprawę z tego, w co wdepnął. Samochód z Gregorym, Yanbrughem i Dwyerem właśnie odjeżdżał. Słuchając oddalającego się warkotu silnika, Henry Soames po raz pierwszy w życiu poczuł się zupełnie samotny.

* * *

Rów był do połowy napełniony wodą. Morgan przeszedł nim, brodząc, jakieś pięćdziesiąt metrów, po czym wdrapał się na groblę i zniknął w jodłowym zagajniku. Po chwili nadjechał wóz policyjny, za nim drugi.

Wyglądało na to, że obstawili już wszystkie drogi. Morgan zastanawiał się, czy jakimś cudem uda mu się uciec. Jedno wiedział: musi dotrzeć na wybrzeże. Jego jedyną szansą było Marsh-End i Colum O'More. Gdy szedł przez zagajnik, nadjechał motocyklista i zatrzymał się niedaleko. Morgan ruszył ku niemu ostrożnie, kryjąc się za krzakami. Zobaczył policjanta, stojącego obok motocykla i studiującego mapę.

Po chwili policjant wyjął papierosa i zapalniczkę. Morgan, nie namyślając się, odruchowo ujął rewolwer za lufę, podskoczył i uderzył tamtego w głowę. Policjant wydał zduszony okrzyk i upadł na kolana. Morgan chwycił go za ramiona i wciągnął w krzaki. Podbiegł do motocykla, kopnął nóżki i szybko ukrył pojazd w zaroślach.

Pięć minut zajęło mu przebranie się w mundur. Związał nieprzytomnemu policjantowi paskiem ręce na plecach i pobiegł do motocykla.

Drogą nadjeżdżał właśnie kolejny wóz patrolowy. Morgan poczekał, aż warkot silnika się oddali, po czym wyprowadził maszynę na drogę i włączył starter. Silnik zawył; ścigany naśladując na oczy okulary i ruszył przed siebie.

Pół mili dalej był mostek. Część drogi zajmował samochód policyjny, zostawiając tylko jeden pas wolny. Blokowali go dwaj policjanci; Morgan przełączył bieg i zwolnił, gotów w każdej chwili dodać gazu.

Nie było potrzeby. Kiedy podjechał do mostka, policjanci usunęli się na bok, a jeden podniósł nawet rękę w geście pozdrowienia. Jakże to było proste! Morgan przerzucił biegi i pomknął przed siebie.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Rogan wyłączył silnik i wyskoczył z samochodu, rozglądając się za Brendanem, ale chłopca nigdzie nie było. Dokoła panowała cisza, słychać było tylko plusk deszczu w kanale.

Hanna wysiadła z samochodu i podeszła do Seana.

— Ciekawam, gdzie on się podziewa?

— Bóg raczy wiedzieć. Ale nie możemy czekać! Jeśli w ciągu piętnastu minut nie przeprawimy się przez tunel i nie wydostaniemy na drogę do Ambleside, jesteśmy zgubieni.

W tej samej chwili rozległo się przeciągłe beczenie i kilka owiec przebiegło między ruinami chat, umykając przed Brendanem, biegnącym za nimi z podniesionym kijem. Owce zbiegły po zboczu, a chłopak zatrzymał się obok Hanny i Rogana, z trudem łapiąc oddech i uśmiechając się przepraszająco.

— Pomyślałem sobie, że lepiej je uwolnić z zagrody.

— Przestań o nich myśleć. Musimy się spieszyć. Gdzie worki?

— W łodzi, proszę pana.

Zbiegli ze zbocza i minęli kępę drzew, zasłaniającą małą przystań. Brendan przywiązał łódkę liną do żelaznego pierścienia; znów na dnie była woda i worki leżały w jedynym suchym miejscu. Hanna usiadła na nich, Rogan przykucnął pośrodku, a Brendan mocno odepchnął łódź od brzegu.

Odgłos deszczu cichł, w miarę jak zagłębiali się w chłodny półmrok tunelu. Rogan spojrział na zegarek. Było prawie wpół do piątej; ściemni się dopiero o wpół do ósmej, z tej strony nie mogą spodziewać się pomocy. Policjanci w mig zrozumieją, co się stało, gdy tylko zobaczą ślady strzelaniny na farmie. Wystarczy, że pošlą szybki samochód, by zablokował wylot sąsiedniej doliny. Jasne, że skoro jest tam Dick Yanbrugh, pościg będzie zażarty.

A co będzie, jeśli w szopie nie zastaną dżipa? Rogan odsunął tę myśl od siebie. Jeśli uda im się wydostać na drogę do Ambleside, a potem trasą między jeziorami Rydal Wa-

ter i Grasmere w stronę Elterwater, mają jeszcze jakąś szansę. Tam dalej jest nieuczęszczony trakt przez przełęcz Wrynose — to stara droga dla jucznych koni, prowadząca przez grzbiet górski w dół ku wybrzeżu. Tamtędy można przejechać tylko dżipem albo małym, silnym samochodem.

W tej chwili łódź wypłynęła z kanału i na uciekających polały się strugi deszczu; grube krople bębniły o kamienną przystań. Brendan wyskoczył na brzeg i przywiązawszy łódź, pomógł wysiąść Hannie; Rogan wyszedł z łodzi ostatni, dźwigając worki z pieniędzmi.

Chłopak pobiegł przodem przez rzadki las, a Rogan i dziewczyna pośpieszyli za nim. Nim doszli do stajni, zdążył już otworzyć wrota; w środku stał dżip. Brendan otworzył tylne drzwi samochodu, Rogan wrzucił worki do środka.

— W porządku, ruszamy.

Brendan wskoczył z tyłu, Rogan usiadł za kierownicą, Hanna obok niego. Wyciągnął manetkę, włączył starter i silnik zaskoczył. Jednym płynnym pociągnięciem Rogan wyjechał tyłem ze stajni, obrócił kierownicę, wrzucił pierwszy bieg i ruszył w kierunku wylotu doliny.

— Spróbujemy pojechać tą drogą, o której mówiłaś mi we środę — powiedział do Hanny.

— Mamy szansę?

— To zależy, jak szybko uda im się dotrzeć do doliny. Jeśli zdążymy wyjechać drogą na Elterwater, o której mówiłaś, i zjechać w porę z głównej szosy, możemy im wyciąć sztuczkę.

Jechali bardzo szybko — Rogan dociskał gaz do końca, samochód był w bardzo dobrym stanie. Po upływie pięciu minut skręcili w jodłowy lasek i dotarli do głównej drogi. Rogan przyhamował ostro, gwałtownie obrócił kierownicą w prawo i wjechał na szosę do Rydal.

— Ile to jest?! — zawołał, przekrzykując wycie silnika.

— Nie więcej niż pół mili.

Deszcz bębnił jak oszalały w przednią szybę i wycieraczki nie nadały się ściierać wody. Rogan z przerażeniem pochylił się do przodu, gdy nagle minęła ich jadąca z przeciwka ciężarówka; Hanna wpiła się palcami w jego ramię. W tej samej chwili Sean ujrzał żelazną bramę obok kępy drzew i zahamował gwałtownie; wozem lekko zarzuciło. Hanna wyskoczyła i otworzyła wrota. Rogan przejechał i poczekał na Hannę, która zamknęła ją na powrót. Po chwili pędzili dróżką pośród drzew, a gdy Rogan zerknął w lusterko wsteczne, nie dostrzegł już szosy.

Miał sucho w ustach, a pot perlił mu się na czole. Ręka Seana drżała lekko, gdy ocierał twarz.

— Bądź tak dobra i poszukaj papierosów, cały się trzęsę — powiedział, zerkając

z uśmiechem na Hannę. — Chyba już jestem za stary na takie skoki.

— Ładna perspektywa.

Wyjęła z kieszeni pudełko i zapalki, zapaliła papierosa i wsunęła mu do ust. Rogan zaciągnął się z westchnieniem ulgi.

— Nareszcie.

— Wzięliśmy pierwszą przeszkodę — powiedziała.

Rogan skinął głową.

— I to jaką! Jak się czujesz?

— Jakbym po raz pierwszy w życiu naprawdę się od czegoś uwolniła.

— Wierz mocno, a spełni się.

Minęli mostek; Rogan zwolnił i jechał ostrożnie wąską aleją. Po trzech czy czterech minutach dotarli do drogi prowadzącej do Elterwater, po upływie kolejnych pięciu minut — do wioski. Uliczki były wyludnione i Rogan minął spokojnie wieś, trzymając się wskazówek Hanny, po czym, już w Eltermere, skręcił na drogę okrążającą miejscowość Little Langdale. W piętnaście minut później jechali już w górę, drogą na przełęcz Wrynose.

Po jakimś czasie trakt stał się bardzo stromy i mgła wlokła się po szczytach; dżip piał się uparcie naprzód, tylko silnik huczał głucho, gdy Rogan wrzucał coraz niższy bieg.

Stopniowo mgła otuliła ich białym całunem, a gdy znaleźli się na szczycie przełęczy, widzialność zmniejszyła się do dwudziestu lub trzydziestu metrów. Pokonawszy stromiznę, wciąż na wolnych obrotach zjechali wolno ku dnu przełęczy, po czym ruszyli wzdłuż rzeki Duddon. Po upływie dziesięciu minut dojechali do rozwidlenia dróg: jedna z nich prowadziła do Hard Knott, druga wzdłuż doliny do Seathwaite i Ulpha.

— Daj mi papierosa — powiedział Rogan.

Dziewczyna znów zapaliła papierosa i włożyła mu do ust. Brendan, przechylając się przez oparcie ławki, spytał:

— Jak idzie, proszę pana?

— Na razie nieźle, synu — odparł Rogan, zjeżdżając na bok i zatrzymując dżipa.

— Spójrzjmy na mapę.

Przyglądał się mapie ze zmarszczonymi brwiami.

— Wygląda na to, że nie da się objechać Seathwaite i Ulpha.

— Myślisz, że możemy mieć kłopoty? — spytała Hanna.

— Niewykluczone. Myślę, że mieli dość czasu, by się w tym wszystkim połapać.

Hanna jeszcze raz spojrzała na mapę i przejechała po niej palcem.

— Tędy prowadzi dzika, górská droga. Jest niebezpieczna, ale wiedzie przez Thwaites Fell wprost na wybrzeże. Trzeba przejechać przez Ulpha, ale inne miejsca omijamy.

— Gdzie się zaczyna ta droga?

— W Beckfoot, ze dwie mile stąd, na końcu Ulpha.

— W porządku.

Ruszył pełnym gazem. Gdy przejeżdżali przez wioskę Seathwaite, mgła zdawała się przerzedzać, lecz deszcz wciąż nie ustawał. Główna ulica była pusta, lecz gdy zbliżali się do gospody, Hanna schwyciła Rogana za ramię. Na schodach stał sierżant policji w czapce z daszkiem i obszernym płaszczu przeciwdeszczowym i rozmawiał z kobietą w średnim wieku. Rogan przejechał tuż obok nich; w lusterku wstecznym zauważył, że tamci patrzą w ślad za dżipem. Sierżant odwrócił się, powiedział coś do kobiety i oboje szybko weszli do gospody.

— Widziałeś? — spytała Hanna.

Rogan skinął głową z ponurą miną.

— Musimy pojechać tą dziką drogą, nie ma rady.

Nacisnął do oporu pedał gazu, strzałka szybkościomierza skoczyła od razu na osiemdziesiątkę i dżip pomknął drogą, wyrzucając spod kół strugi żwiru. Po kilku minutach byli już w Beckfoot; Rogan przyhamował i wjechał w górską drogę.

Znaleźli się w zupełnie innym świecie — szarym i ponurym; po obu stronach sterczały strome omszałe turnie, błyszczące od deszczu, spowite we mgłę. Przed nimi ciągnęła się droga, nie zabezpieczona barierkami, lecz o znośnej nawierzchni. Zaczął się stromy odcinek i dżip zwolnił.

Głuchy warkot silnika pracującego na niskim biegu szarpał nerwy; aluminiowe blachy drżały niepokojąco. Rogan spojrział na wskaźnik paliwa — benzyna się kończyła.

— Jak daleko jeszcze?! — krzyknął.

Hanna rzuciła okiem na mapę.

— Około sześciu mil do Bootle, ale nie musimy jechać przez wieś. Jest tam dróżka, wychodząca wprost na szosę wzdłuż wybrzeża. Stamtąd już blisko do Marsh-End. Starczy paliwa?

Rogan skinął głową, włączając ostatni bieg; zjechali w dół, minęli Mere Craggs, jadąc małym płaskowyżem tonącym we mgle. Sean zdumiał się, stwierdziwszy, że są prawie u celu; jeśli szczęście nadal będzie im dopisywać, za dziesięć, może za piętnaście minut będą w Marsh-End. Droga opadała stromo w szarą pustkę. Rogan nie zwalniał, tylko lekko hamował na zakrętach.

Jakieś ćwierć mili za Bootle ujrzeli drogowskaz z napisem: Whicham. Skręcili w wąską, wyboistą dróżkę, która w kilka minut później doprowadziła ich do szosy biegnącej wzdłuż wybrzeża. Znad morza pełzły ku nim tumany mgły, a wiatr przynosił orzeźwiający, słony zapach. Rogan poczuł radość. W tej chwili wychynął z mgły drogowskaz z napisem: Marsh-End. Rogan skręcił w kierunku wskazanym przez drogowskaz; jechali, trzęsąc się na wybojach, pomiędzy drzewami otaczającymi zatoczkę, wreszcie zatrzymali się na podwórku.

Rogan wyłączył silnik i spojrział na Hannę. Oczy jej błyszczały.

— A więc udało się!

Rogan uśmiechnął się, ściskając ją za rękę.

— Mam nadzieję, że jesteś dobrym marynarzem. Niełatwo jest przepłynąć morze małą łodzią.

Nad bagnistym terenem zatoczki kłębiły się białe opary mgły. Rogan otworzył drzwi i wysiadł, Brendan wyciągnął worki i położył je na ziemi. Dom był jak wymarły; ciemne okna spoglądały na nich pustymi oczodołami. Rogan zmarszczył brwi, podniósł worki i poszedł do domu. Hanna otworzyła przed nim drzwi i ruszyła przodem przez wąski korytarz.

Colum O'More siedział przy kominku, głowa opadła mu na ramię. Rogan rzucił worki na podłogę, a Hanna podbiegła do chorego.

— Nie żyje? — spytał Rogan.

Hanna zaprzeczyła ruchem głowy.

— Żyje, ale zupełnie zeszywniał z zimna.

W pokoju było chłodno, na kominku nie palił się ogień. Rogan znalazł w kredensie butelkę irlandzkiej whisky. Nalał pół szklanki, podszedł do O'More'a i wsączył mu parę kropel trunku między wargi. Colum zakasłał, kilka razy rzucił głową na boki i nagle otworzył oczy. Przez chwilę patrzył na Rogana nieprzytomnym wzrokiem, wreszcie odzyskał świadomość.

— Sean, chłopcze — powiedział po irlandzku — czy to naprawdę ty?

— Nikt inny, Colum Oge — odparł Rogan w tym samym języku.

Oczy starego spoczęły na Hannie. Uśmiechnął się słabo.

— Ty też, dziewczyno, kochanie? Hanna spojrzała bezradnie na Rogana.

— Nie rozumiem, co mówi.

— Poczekaj, zaraz się pozbiera.

O'More przetaił ręką twarz, otrząsnął się i sięgnął po szklankę whisky. Wypił jednym haustem i wzdrygnął się.

— Niech Bóg ma nas w swojej opiece, ale whisky nie zaszkodzi — powiedział po angielsku i nagle w jego oczach ukazał się błysk zrozumienia.

— Ale co wy tu robicie? Coś nie wyszło?

— Przyjechaliśmy dzień wcześniej, to wszystko — wyjaśnił Rogan. — Szukają nas wszyscy gliniarze w całym kraju. Musimy wiać, Colum.

— Macie forszę?

Rogan rzucił oba worki na stół.

— Oto ona.

Stary przyglądał się łupom, nie wierząc własnym oczom.

— Która godzina?

— Parę minut po siódmej.

— To niemożliwe. — Colum O'More potrząsnął głową. — Rano miałem atak i wziąłem tabletki. Może za dużo połknąłem?

— Na to wygląda. Jesteś spakowany?

— W sypialni jest walizka; mam w niej cały swój dobytek. Rogan zwrócił się do Hanny:

— Zrób mu coś ciepłego do picia. Wyślę Brendana przodem, zabierze walizkę Columa i przygotuje łódź, żebyśmy mogli szybciej wyjechać.

Hanna skinęła głową i poszła do kuchni. Rogan, z walizką Columa w ręku zaprowadził Brendana na tył domu, gdzie zaczynała się dróżka, prowadząca do przystani.

— Niedaleko stąd jest kamienna droga przez groblę — powiedział do chłopca. — Za groblą ciągnie się wąska ścieżka na prawo. Pójdiesz tą ścieżką i znajdziesz w zatoczce motorówkę. Jest przycumowana na dziobie i na rufie. Zwolnisz jedną linę i będziesz czekał na nas. Przyjdziemy za jakieś dziesięć minut.

Chłopiec skinął głową ochoczo i poszedł szybko; walizka obijała mu się o kolano. Rogan wrócił do domu — chory wciąż siedział na tym samym miejscu przy kominku. Razem z Seanem weszła do salonu Hanna z dzbankiem i filiżankami na tacy.

— A co będzie, jak już będziemy w Irlandii? — spytała, nalewając kawę. — Przyjmą nas jak bohaterów?

Colum O'More zachichotał.

— Ale skąd, dziewczyno! Znam jedno spokojne miejsce, paru przyjaciół. I tam się z wami pożegnam.

Hanna spojrzała na Rogana.

— A potem?

— Pojedziemy do mojego ojca, do Kerry. Nigdy nie ułatwiałem życia glinom. Niech się sami do mnie pofatygują.

Hanna zachmurzyła się.

— Znowu więzienie?

O'More roześmiał się chrapliwie.

— Ale nie na długo, dziewczyno, nie bój się. To tylko niezbędne formalności. W ciągu miesiąca będziesz go miała z powrotem.

Dziewczyna spojrzała pytająco na Rogana.

— Czy to prawda?

— Czy kiedyś cię okłamałem? — spytał Rogan, całując ją czule w czoło. — Włóż płaszcz, musimy iść.

Hanna spojrzała ponad jego ramieniem i zeszywniała; Rogan poczuł na karku lekki powiew chłodnego powietrza. W lustrze wiszącym nad kominkiem zobaczył, jak ktoś otwiera drzwi i w wejściu ukazał się motocyklista w policyjnym mundurze i wielkich goglach pod nisko opuszczonym białym kaskiem. Mężczyzna odpiął pasek, zdjął kask i okulary i uśmiechnął się. Był to Harry Morgan.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Na twarzy Morgana malowało się zmęczenie, a wyciągnięta ręka, w której trzymał rewolwer, drżała lekko.

— Jeden fałszywy ruch i zabiję cię, przysięgam — powiedział ochryplym głosem.
— Załóż ręce na kark.

Podszedł do stołu i pogłaskał worki wolną ręką.

— A więc tamte dwa były fałszywe? Trzeba przyznać, że potrafisz zachować zimną krew. Odwróć się do ściany.

Rogan odwrócił się z podniesionymi rękami; jego marynarka uniosła się i odsłoniła broń z tyłu za pasem. Morgan dał znak Hannie.

— Wyjmij mu spluwę lewą ręką i popchnij ją do mnie po podłodze. Hanna zawahała się, Morgan wycelował do niej.

— Zastrzeliłem glinę. Nie mam już nic do stracenia.

— Zrób to, co ci każe — powiedział Rogan.

Dziewczyna wyjęła kolta zza pasa Rogana i rzuciła go z obrzydzeniem na podłogę. Morgan schylił się, ale źle obliczył ruch i zamiast złapać broń, popchnął ją pod stół. Hanna odruchowo postąpiła krok naprzód, ale Morgan ją powstrzymał.

— Zostaw.

Rogan opuścił ręce.

— Co dalej?

— Udam się na małą przejażdżkę łodzią wraz z tym starym, tak jak uzgodnili to z Soamesem.

Hanna wstrzymała oddech z wrażenia. Rogan odwrócił się i spojrzał na O'More'a, marszcząc brwi.

— O czym on mówi?

Skóra na policzkach Columa była napięta; zacisnął zęby, oczy miał zapadnięte. Spoglądając wciąż na Morgana, powiedział:

— Ten drań próbuje nas poróżnić, nie widzisz tego?

— Tracisz węż, Rogan — zarżał Morgan. — Ten stary sukinsyn robił cię w konia od samego początku. Wcale nie szukał funduszy dla tej przeklętej organizacji, tylko chciał zapewnić sobie spokojną starość, a ciebie użył jako narzędzia. Soames to wszystko wykrył.

— Czy to prawda? — spytał spokojnie Rogan.

O'More spuścił oczy. Morgan roześmiał się chrapliwie.

— On mówi, że prawda. To dlatego mieliśmy zostawić cię na farmie. Zamierzaliśmy spotkać się tutaj jutro i podzielić łupy, gdyby nie gliny.

O'More spiorunował go wzrokiem.

— Nic o tym nie wiedziałem, Sean, wcale nie miałem takiego zamiaru. To prawda, że Soames odkrył prawdę. Groził, że wszystko ci powie, i wymusił na mnie, żeby go przypuścić do spółki. Nic więcej nie ustalaliśmy.

— A mówiłeś, że chodzi o pieniądze dla organizacji.

— Nie skrzywdziłbym cię, chłopcze.

— To za wysoka cena za moje dobre imię — powiedział Rogan, uderzając się w pierś. — Jestem Sean Rogan, żołnierz Irlandzkiej Armii Republikańskiej, a nie żaden złodziej.

— Do diabła z Irlandzką Armią Republikańską! — zawołał stary, waląc laską w podłogę. — Czterdzieści lat, Sean. Czterdzieści lat życia poświęconych organizacji. Z tego dwadzieścia lat spędziłem w więzieniach po obu stronach morza. I co mam z tego?

Chwycił go okropny kaszel i z trudem chwycił oddech, szarpiąc ręką kołnierzyk.

— Jestem wrakiem człowieka. Na Boga, chcę spędzić tę resztkę życia, jaka mi została, w dobrobycie.

Rogan pokręcił głową; na jego twarzy malowała się litość.

— To się nie uda, Colum. Takie rzeczy nigdy się nie udają.

— Nie daj się ogłupić, człowieku — powiedział Morgan.

Wyjął z kieszeni scyzoryk i rozciął sznurek, którym zawiązano worek. Włożył rękę w otwór i wyciągnął paczkę banknotów. Rzucił ją Roganowi, a ten odruchowo chwycił pieniądze.

— Ile tam jest, Rogan? Pięćset, tysiąc? — mówił, głaszcząc worek. — A tu jest o wiele więcej, wielki człowieku. Zaniesiesz mi te pieniądze do motorówki.

Rogan obejrzał dokładnie banknoty i na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

— Jeśli reszta jest taka sama jak te, to nie ma o co się spierać — powiedział i spytał, rzucając pieniądze O'More'owi: — Co ty na to, Colum?

Colum O'More wyjął z paczki kilka banknotów, obejrzał je pod światło i oczy wyszły mu na wierzch z wrażenia.

— Najświętsza Panienko, te banknoty są przedziurawione! Każdziutki jeden!

Podał jeden z nich Hannie, która obejrzała go pod światło i spojrzała pytająco na Rogana.

— Co to znaczy?

— Mówili mi o tym w więzieniu kilka miesięcy temu — powiedział Sean. — To najnowszy trik banków; stosują go wtedy, gdy odsyłają dużą liczbę banknotów na wymianę. Przepuszczają pieniądze przez maszynę elektroniczną, która perforuje na nich specjalny kod. Sami widzicie.

— Czy to znaczy, że są bezwartościowe?

— Jako legalny środek płatniczy — tak.

— O czym wy mówicie, do cholery?

Morgan wysypał zawartość worka na stół; banknoty spadały na podłogę. Z obłędem w oczach przeglądał paczkę po paczce, wreszcie odwrócił się, błądy jak ściana.

— Wszystkie są podziurawione, co do jednego!

— Masz dzisiaj zły dzień, Morgan — powiedział Rogan. Colum O'More roześmiał się na całe gardło.

— Szkoda, że nie widzisz swojej twarzy, gnido. A jednak warto było to zobaczyć!

— To twoja wina, sukinsynu! — wrzasnął Morgan. — Cała ta akcja od początku nie miała najmniejszego sensu. Gdybyś miał dokładniejsze informacje, wiedzielibyśmy, że to trefny towar.

— Wszyscy popełniamy błędy, chłopcze — odparł O'More wstając.

I wtedy Morgan strzelił mu dwukrotnie w brzuch. Impet pocisków odrzucił Columa z powrotem na krzesło, Hanna krzyknęła przeraźliwie, a Rogan dał nura pod stół i zręcznie chwycił pistolet za kolbę. Morgan odskoczył, by dobrze widzieć przeciwnika, ale było już za późno. Pierwszy pocisk wystrzelony przez Rogana trafił go w pierś, a drugi w żołądek, niemal przyszpilając bandytę do ściany. Rewolwer wypadł Morganowi z ręki; ranny upadł na kolana, twarz miał błądą i bez wyrazu. Wreszcie runął na podłogę.

Colum O'More skręcał się z bólu. Hanna, klęcząc obok fotela, próbowała unieść mu głowę. Rogan rzucił pistolet na stół i posadził starego przyjaciela na fotelu. O'More miał oczy zamknięte, zacisnął zęby z bólu, na czoło wystąpił mu pot. Rogan ostrożnie wziął go za ramię.

— Colum, słyszysz mnie? Jest bardzo źle?

Ranny otworzył oczy — wyzierała z nich śmierć.

— Najgorzej, jak może być, chłopcze — powiedział, patrząc w przestrzeń. — Mam za sobą długą drogę, z której byłem dumny, a teraz — taki koniec.

Zakasłał, z kącika ust pociekła strużka krwi.

— To nie byłem ja, Sean. To nie był Wielki Człowiek. To moja choroba. Myślę, że rzucało mi się na mózg.

Rogan wstał i zwrócił się do Hanny.

— Zostań tu. Ja idę po doktora.

— Marnujesz tylko czas! — zawołał Colum O'More za Roganem, który przestąpiwszy ciało Morgana, wyszedł na korytarz.

Otworzywszy drzwi frontowe, usłyszał hałas samochodów, spomiędzy drzew spowitych we mgłę dał się słyszeć przeraźliwy sygnał syreny policyjnej, gdy pierwszy samochód wyjechał na dróżkę prowadzącą do farmy. Rogan zatrzaskał drzwi, zasunął zasuwę i wrócił biegiem do pokoju.

— Gliny! — zawołał, chwycił Hannę za rękę, pociągnął do kuchni i otworzył tylne drzwi. — Znasz drogę do przystani. Biegnij tam i czekaj na mnie.

Hanna chciała protestować, ale Rogan wypchnął ją siłą za drzwi.

— Rób, co ci każę! Mam i tak dość zmartwień!

Hanna zniknęła w gęstych oparach mgły; Sean zatrzaskał drzwi i popędził z powrotem do pokoju.

— Zaraz tu będą, Colum. Pomogą ci bardziej niż ja.

— Nikt mi już nie może pomóc — powiedział ranny przez zaciśnięte zęby. — Ale ty masz szansę. Daj mi pistolet i wynoś się do diabła. Wezmę na siebie śmierć Morgana.

— Na litość boską, Colum...

— To rozkaz, do cholery! — wrzasnął stary.

Rogan podał przyjacielowi broń, a w tej samej chwili na podwórku gwałtownie zahamował wóz policyjny i na kocich łbach rozległ się odgłos pospiesznych kroków.

— Wynoś się! — wrzasnął Colum O'More i Sean wypadł na dwór przez drzwi kuchenne.

Był już w połowie podwórka za domem, gdy zza rogu wybiegł młody policjant, pędzący prosto na niego. Rogan uchylił się i uderzył chłopaka pięścią w policzek; tamten zacharczał i upadł. Rozległy się krzyki, ale Rogan zdążył dopaść linii drzew i pochłonęła go mgła.

Morgan podniósł się z wysiłkiem i oparł o ścianę. Ciało miał skręcone bólem, na ustach pokazała się krew. Spojrzał na Columa O'More'a i ohydny uśmiech wykrzywił mu twarz.

— Jeszcze się trzymam, stary sukinsynu. Mam dość sił, żeby wykończyć tego twojego Rogana.

— A teraz? — spytał O'More i strzelił mu prosto w głowę.

W chwili gdy otworzyły się drzwi, kolt wysunął mu się z dłoni i Colum O'More upadł twarzą do przodu.

Yanbrugh pierwszy wpadł do pokoju, Gregory tuż za nim. Ukląkł obok starego, unosząc mu lekko głowę, ale Colum O'More już nie żył.

— Ten ma dość — powiedział Gregory, podniósł się i podszedł do Morgana. — A co z tamtym?

Yanbrugh pokręcił głową, podnosząc z podłogi paczkę banknotów.

— Nie przyniosły szczęścia nikomu.

W tej chwili do salonu wpadł Dwyer.

— Ktoś uciekł przez kuchnię i powalił policjanta. To mógł być Rogan.

— Więc gońmy go — powiedział Gregory.

Yanbrugh wybiegł przez kuchnię i popędził przez podwórko. Zapadał zmierzch, a mgła kłębiąca się pośród drzew zamieniała to miejsce w jakąś tajemniczą krainę ciemni.

— Niech pan skrzyknie tylu ludzi, ilu się da — zwrócił się do Gregory'ego — a my z Dwyerem pobiegniemy za nim. Nie mógł uciec daleko.

Gregory odwrócił się i zagwizdał. Yanbrugh wpadł pomiędzy drzewa, Dwyer pędził tuż za nim. Gałęzie waliły ich po twarzy, osłaniali głowy rękami. Po chwili dobiegli do wąskiej kamiennej ścieżki przez groblę. Po drugiej stronie prowadziła dróżka w lewo. Yanbrugh zatrzymał się, ciężko dysząc.

— Ja pobiegnę tą ścieżką, a pan niech idzie prosto. Cokolwiek się stanie, niech pan nie próbuje sam go zatrzymać. Nie da pan rady! Jeśli go pan zobaczy, proszę zagwizdać i czekać na mnie.

Dwyer skinął głową i zniknął we mgle. Yanbrugh skręcił na ścieżkę wijącą się wśród poszycia i ruszył biegiem.

Rogan słyszał stłumiony przez mgłę odgłos gwizdków policyjnych. Pochylił głowę i pędził przed siebie, tratując młode jodełki, a gałęzie waliły go po bokach. Potknął się, upadł i stoczył po niewielkiej pochyłości. Znów usłyszał gwizdki. Podniósł się, zachwiały, po czym pobiegł skrajem zarośli, skręcając w bok na dróżkę prowadzącą do zatoki. Gnał co sił w nogach, w skroniach pulsowało mu boleśnie. Po chwili znalazł się nad brzegiem zatoczki, gdzie czekała motorówka.

Hanna wybiegła mu naprzeciw, jej blada twarz rysowała się wyraźnie w gęstniejącym mroku.

— Nic ci nie jest?

— Nie martw się o mnie — odparł. — Wszędzie jest pełno glin. Wsiadaj na pokład!

Brendan stał na rufie podniecony, trzymając w ręku rumpel.

— Odpływamy, proszę pana? Czy mam włączyć silnik?

— I ściągnąć nam na kark gliny? — Rogan pokręcił głową. — Popłyniemy z prądem do ujścia.

Zwolnił ostatnią cumę i odpływ w jednej chwili porwał motorówkę. Hanna krzyknęła:

— Szybko, Sean!

Rogan zrobił krok naprzód, gdy wtem z zarośli wybiegł Yanbrugh i wpadł z rozpędu na niego. Szczepieni w uścisku, tarzali się po ziemi, uderzając o zmurszałą palisadę; Rogan był górą. Schwycił przeciwnika za gardło — i w tej chwili poznał go. Zwolnił uścisk

i podniósł się na nogi.

— Wstań.

Stali naprzeciw siebie, a zewsząd odzywały się gwizdki policyjne. Hannie wyrwał się z piersi cichy okrzyk. Yanbrugh spojrział na nią. Sylwetka dziewczyny majaczyła w półmroku, zwiewna i nierzeczywista. Nadinspektor odwrócił głowę i spojrział na Rogana.

— Uciekaj, na rany Chrystusa!

Rogan rzucił się w wodę. Brnąc w grząskim mule, dotarł do motorówki, wciągnął się przez reling na pokład i wyjął chłopcu z dłoni rumpel. Odwrócił się i długo patrzył na Yanbrugh, po czym podniósł dłoń, jakby salutując, i skierował łódź na środek zatoki. Po chwili zniknęli we mgle.

Yanbrugh stał nieruchomo na brzegu, wpatrzony w szarą pustkę. Po chwili zjawił się Dwyer.

— Znalazł go pan, panie nadinspektorze? Yanbrugh pokręcił głową.

— Ma pan papierosa?

Dwyer wyjął paczkę papierosów. Kiedy podawał szefowi ogień, w oddali rozległ się przytłumiony odgłos zapalnego silnika. Dwyer zmarszczył czoło.

— Słyszał pan, panie nadinspektorze?

Yanbrugh nasłuchiwał chwilę, wreszcie pokręcił głową.

— Nic nie słyszałem, sierżancie. Chodźmy, tracimy czas na darmo.

Odwrócił się i poszedł wąską ścieżką, ginącą w gęstym poszyciu.

Gdy niesiona prądem motorówka opuściła zatokę i fale poczęły uderzać o burty, Rogan nacisnął starter. Potężny diesel zawarczał i pchnął łódź, która śmiałym łukiem ominęła ostatni skrawek lądu i wypłynęła na pełne morze.

Rogan odwrócił się i uśmiechnął do Hanny, stojącej obok niego w kokpicie. Objął ją ramieniem i przytulił. Po raz pierwszy w życiu poczuł, że udało mu się od czegoś uwolnić na zawsze.

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ PIERWSZY	3
ROZDZIAŁ DRUGI	12
ROZDZIAŁ TRZECI	17
ROZDZIAŁ CZWARTY	23
ROZDZIAŁ PIĄTY	28
ROZDZIAŁ SZÓSTY	37
ROZDZIAŁ SIÓDMY	43
ROZDZIAŁ ÓSMY	53
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY	58
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY	62
ROZDZIAŁ JEDENASTY	66
ROZDZIAŁ DWUNASTY	71
ROZDZIAŁ TRZYNASTY	79
ROZDZIAŁ CZTERNASTY	87
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY	95
ROZDZIAŁ SZESNASTY	99
ROZDZIAŁ SIEDEMNAŚTY	108
ROZDZIAŁ OSIEMNAŚTY	114
ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY	120